

*Christian de Montella*

## ***Bezimienny rycerz***

*Graal tom 1*

*Gdy rozum śpi, budzą się upiory,  
Nocą, gdy rozum śpi, ożywają fantazje:  
krwawiące włócznie,  
pękające miecze,  
święte naczynia.*

Jacques Roubaud



Nikt nie wie, gdzie leży Dolina bez Powrotu. Nie możemy też dokładnie ustalić położenia Jałowej Krainy, ponieważ informacje dostarczane przez rycerzy, których król Pelles gościł w swoim zamku, są sprzeczne.



# ROZDZIAŁ 1

## Dzieciństwo

### 1. Porwanie

- Panie, patrz!

Niewielki oddział jeźdźców wynurzył się z lasu i zbliżył do brzegu jeziora zwanego Jeziorem Diany. W świetle księżyca i gwiazd jego gładka powierzchnia połyskiwała jak rtęć. Spłoszone odgłosem końskich kopyt nocne zwierzęta ukryły się w gęstwinie. Panującą wokół głęboką ciszę rozpraszal jedynie świszczący oddech koni i świeży, letni wiatr muskający gałęzie. Jadący na przedzie król Ban z Benoiku wstrzymał konia.

Jego giermek, Hoel, wyciągniętą ku wschodowi ręką pokazywał czerwonawą poświatę rozjaśniającą niebo nad wierzchołkami drzew. Ze względu na wczesną porę nie mogły to być pierwsze promienie jutrzeńki. Ban w mgnieniu oka zrozumiał przyczynę tajemniczego zjawiska, lecz nie chciał dopuścić jej do świadomości.

- Pojadę na wzgórze i rozejrzę się. Zaczekaj tu na mnie, pani - rzekł do żony.

Królowa Helena zatrzymała klacz, która cichutko zarżała. Ban ujrzał niepokój na bladej twarzy swojej połowicy. „Jaka ona piękna i młoda” - pomyślał ze smutkiem. „Jestem już stary. Kto wie, jak długo jeszcze będę mógł chronić ją przed niebezpieczeństwem”. Pragnął raz jeszcze powiedzieć jej, jak bardzo ją kocha, lecz słowa więzły mu w gardle. Dłonią w skórzanej rękawicy dotknął zawiniątka z ciepłego sukna, które tuliła do piersi, i przez ściśnięte usta wyszeptał z trudem:

- Miej w opiece naszego synka.

Poczuł, że główka dziecka w beciku poruszyła się delikatnie. „Mój syn, przyszłość naszego rodu. Tylko on się teraz liczy”. Cofnął gwałtownie dłoń, spiął konia ostrogami i co sił popędził w stronę górującego nad pobliskim lasem wzgórza.

Helena i towarzyszący jej wojowie śledzili wzrokiem wspinającą się po zboczu czarną sylwetkę jeźdźca, doskonale widoczną na tle letniego nieba.

Widok, jaki roztaczał się ze szczytu, nappełnił króla smutkiem i gniewem: Trebe, stolica jego państwa, stała w płomieniach. Pożar trawił mury miasta, a czerwono-żółte języki ognia sięgały szczytu zamkowej wieży, tworząc wokół niej przerażającą, krwawą aureolę. „Zostałem zdradzony” - pomyślał król. „I to przez własnego seneszała. Wszystko stracone”.

Od wielu lat Ban z Benoiku bronił swoich ziem przed zakusami króla Klaudasa, władcy Ziemi Opustoszałej. Zaborczy Klaudas walczył wcześniej przez długi czas bez powodzenia z ich wspólnym suzerenem, królem Uterem Pendragonem. Uter miał w swej służbie znakomitego doradcę, maga Merlina. Merlin, syn demona i kobiety, wiedział wszystko o przyszłości i umiał ją przepowiadać. Klaudas

z trudem znosił gorycz porażki, lecz dopiero po śmierci starego króla, gdy Merlin gdzieś zniknął, prawdopodobnie wycofał się w leśne ostepy, by wieść żywot pustelnika, rozpoczął na nowo niszczycielskie podboje. Był pewien, że pozbawiony doświadczenia młody władca, nieślubny syn Utera, Artur, zaangażowany dodatkowo w wojnę z królem Szkocji, nie stanie mu na przeszkodzie.

Przez wiele tygodni oddziały Klaudasa oblegały Trebe. Ban z Benoiku dobrze rozumiał, że twierdza niebawem będzie musiała ustąpić pod naporem wroga, dlatego postanowił opuścić potajemnie zamek i udać się po pomoc do młodego króla. Powierzywszy obronę miasta swemu seneszalowi, wraz z żoną Heleną, kilkumiesięcznym synem i kilkunastoma zbrojnymi wymknął się pod osłoną nocy za mury i wyruszył w podróż. Nie minęła nawet godzina, gdy ujrzał swoją stolicę w płomieniach.

- Zostałem zdradzony - wyszeptał z goryczą Ban. - Seneszal otworzył bramy miasta Klaudasowi. Ciekawe, jaką nagrodę nikczemnik obiecał mu za wiarołomstwo. Część mojego królestwa? A może rękę królowej?

Gwałtowne ukłucie przeszło pierś starego króla. Ból promieniował, ogarniając szybko lewe ramię i okolice serca. Dotkliwie pieczenie za mostkiem utrudniało mu oddychanie. Powoli i ostrożnie zsiadł z konia i nie odrywając oczu od łuny pożaru, przeszedł jeszcze parę kroków. Na horyzoncie widział dokładnie trawiony płomieniami zamek, który zapadał się stopniowo, przypominając coraz bardziej stos dopalających się żagwi. Ban nie mógł opanować żalu. Choć zawsze starał się rządzić mądrze i sprawiedliwie, jego władza, całe życie, wszystko, co stworzył i czego bronił - obracało się teraz w zgliszcz. Klaudas, największy wróg...

Ból w piersiach stał się nie do wytrzymania. Król osunął się na kolana, zdjął rękawicę i położył dłoń na sercu. „To już koniec” - pomyślał. „Biedna Helena. Jaki los spotka ją i dziecko?”.

Czuł, że piersi i głowę ogrania mu ogień podobny do tego, który zamieniał w ruinę Trebe. Wiedział, że umiera, lecz nie obawiał się śmierci. Ani przez chwilę nie myślał o sobie. Najgorsze cierpienie sprawiała mu świadomość, że jego syn zostanie sierotą.

Upadł na trawę. Spłoszony koń bezradnie przebierał w miejscu kopytami; po chwili poderwał się i galopem ruszył w dół, ku dolinie.

Czekający nad jeziorem towarzysze nie widzieli, że król zsiadł z konia i osunął się na ziemię. Przedłużająca się nieobecność męża zaniepokoiła jednak królową Helenę.

- Coś musiało mu się przydarzyć - powiedziała zmarzwiona.

Młody giermek Hoel zbliżył się do królowej.

- Pozwól pani, że sprawdzę, co się stało.

- Zaczekaj! Pojedziemy razem.

Otuliła zawinięte w pieluszki dziecko ciepłą derką i podała je jednemu z wojów.

- Powierzam ci mojego syna. Teraz ty odpowiadasz za jego życie.

Starszy, krępy mężczyzna o zgrubiałych od władania mieczem dłoniach niezdarnie wziął niemowlę w ramiona. Helena spięła konia ostrogami i wraz z giermkiem pomknęła w stronę wzgórza.

Kiedy znalazła leżącego w trawie męża, zsiadła z konia i uklękła obok niego. Przez chwilę jej myśl błądziła obok pozostawionego na dole dziecka, ich dziecka. Podniosła wzrok

i w oddali ujrzała małe zawiniątko, leżące w trawie przy samym brzegu jeziora.

- Biedny sierota... - szepnął król Ban.

Nieszczęsny król z trudem próbował podnieść głowę.

Helena nachyliła się i powiedziała łagodnie:

- Jestem przy tobie. Wstań, proszę. Czeką nas długa droga.

Wspomagany przez wiernego giermka Ban z trudem przewrócił się na wznak i jeszcze raz spojrzął na żonę. „Jaka ona piękna i młoda” - pomyślał ze smutkiem i ledwo słyszalnym szepem powtórzył:

- Sierota...

- Co powiedziałaś, Banie? - zapytała, zbliżając ucho do warg męża. — Nie dosłyszałam.

- Heleno, mój syn zostanie...

Ostatnim wysiłkiem umierający wypowiedział trzy sylaby, składające się na wyraz „sierota”. Helena miała wrażenie, że właśnie w tym momencie dusza męża opuściła ciało. Byłby to jakiś znak? A może ostrzeżenie? Instynktownie podniosła głowę i skierowała wzrok ku brzegowi jeziora, gdzie wciąż leżało zawiniątko ze spowitym w pieluszki niemowlęciem.

Nagle usłyszała tętent koni i głośnie krzyki. Z lasu wyłonił się oddział około trzydziestu wojowników, uzbrojonych w maczugi, miecze i kopie. „Ludzie Klaudasa! Śledzili nas” - pomyślała z przerażeniem. Potężni rudowłosi mężczyźni odziani w niedźwiedzie skóry, w hełmach przyozdobionych rogami bawołu, jak burza natarli na niewielki oddział króla Bana. Z dzikim wrzaskiem, wznosząc wysoko miecze, atakowali zarówno ludzi, jak i konie, powalając je na ziemię jednym ciosem.

- Huel! - zawołała Helena.

Giermek położył rękę na jej ramieniu.

- Dosiądź konia, pani, i uciekaj - rzekł stanowczym głosem. - Natychmiast!

- Mój syn! - krzyknęła rozpaczliwie. Wskoczyła czym prędzej na siodło i smagając konia, ruszyła pędem w dół, w stronę jeziora.

W mgnieniu oka znalazła się w samym środku pola walki. Zaskoczeni nagłym atakiem wojownicy Bana padali jeden za drugim pod ciosami maczug i mieczy najeźdźców. Królowa ani przez chwilę nie myślała o grożącym jej niebezpieczeństwie. Nie czuła strachu. W głowie dźwięczały jej ostatnie słowa umierającego męża. Nie zwracając uwagi na rudowłosych zbirów, ani na własną zdziesiątkowaną eskortę, stała wpatrzona w otulone derką zawiniątko, w którego obronie walczył teraz stary wojownik, nie szczędząc sił. „To mój syn, mężu” - powtarzała w duchu. - „Nie sierota”.

W chwili gdy sama chciała rzucić się dziecku na ratunek, jej klacz stanęła w miejscu jak wryta. Ponaglana, zaczęła wierzcąc nogami i stawać dęba. Helena, uczepiona mocno grzywy, cudem utrzymywała się w siodle. Tymczasem grad ognistych strzał spadał na pole walki, kładąc pokotem jeźdźców i konie. Rozżarzone pociski osiągały jedynie wojowników Klaudasa. Niedźwiedzie skóry na ich grzbietach płonęły jak pakuły, miecze i maczugi lśniły w ogniu niczym błyskawice. Owładnięta myślą o ratowaniu leżącego nad brzegiem dziecka królowa nadal daremnie próbowała przełamać opór zwierzęcia.

-To czary! - zawołał młody giermek, zbliżając się do swej pani. Jego koń, podobnie jak klacz królowej, nie chciał ruszyć się ani o krok.



Chmury, które wcześniej zakrywały księżyc, rozsunały się i w srebrzystej poświacie ukazała się tafla jeziora. Jego powierzchnia była gładka i zupełnie pusta: żadnego okrętu, żadnych łuczników. Ze spokojnej toni raz za razem wzbijały się w niebo ogniste strzały, lecące tak szybko, że oko ludzkie nie było w stanie odróżnić jednej od drugiej. Pociski zakreślały w powietrzu czerwono-złotą parabolę i bezbłędnie trafiały w zaskoczonych wojowników Klaudasa.

- Jezioro wypuszcza strzały... - rzekł zdziwiony giermek.

Królowa wiedziała jedno: przysyłając niespodziewanie swą tajemniczą, bezlitosną broń, jezioro przyszło jej z odsieczą.

Podczas gdy ścigani gradem ognistych strzał wojownicy Klaudasa uciekali w panice z pola walki, oczom Heleny ukazał się niezwykle widok. Z wody wynurzyła się przebrana za mężczyznę piękna, młoda kobieta z długimi rozpuszczonymi włosami koloru złota i spokojnym krokiem szła po piasku w stronę, gdzie leżało dziecko. Miała na sobie krótki pancerz z polerowanego srebra i szerokie białe pludry z cienkiej, szlachetnej tkaniny.

Uklękawszy przy dziecku, rozwinęła pieluszki okrywające jego ciało i twarz, a po chwili przytuliła zupełnie nagie maleństwo do swojej piersi.

- Zostaw go, to mój syn! - krzyknęła głośno Helena.

Na próżno ścisłała boki swej klaczy ostrogami, zwierzę nie mogło ruszyć się z miejsca. Rozzłoszczona matka zeskokczyła na ziemię.

- Dziecko, które trzymasz w ramionach, jest synem króla Bana z Benoiku - zawołała.

- Król Ban nie żyje. Chłopiec jest sierotą - odpowiedziała spokojnie nieznajoma.

- Ma mnie. Jestem jego matką! - oburzyła się Helena.

Zdesperowana chciała zrobić krok do przodu, lecz powstrzymała ją przed tym jakaś tajemnicza siła.

- Hełeno - rzekła kobieta - wiem, że jesteś jego matką. Urodziłaś go, to prawda. Jest twoim synem, pochodzi też ze znamienitego rodu króla Bana. Nie porywam go. Pragnę być jego matką duchową. Wychować go, by był taki, jaki powinien być.

- Oddaj mi moje dziecko!

Daremnie próbowała rzucić się przed siebie.

- To dziecko nie ma ojca - rzekła złotowłosa, cofając się niespiesznie ku lśniącej tafli jeziora. - Ma za to do wykonania ważne zadanie. Zaufaj mi: wykona je dzięki mnie.

Trzymając niemowlę w ramionach, niewzruszona weszła do wody. Helena wydała krzyk rozpaczy:

- Nie zabieraj mi syna! Dlaczego chcesz go utopić? Nieznajoma kobieta bez słowa sunęła przed siebie, pograżając się coraz głębiej, aż zniknęła bez śladu w jeziornej toni.

Zaledwie trzech mężczyźni wyszli cało z morderczej walki. Śmiertelnie zmęczeni, chwiejnym krokiem chodzili wśród dymiących jeszcze niedźwiedzich skór, cuchnących spalonym tłuszczem. Mgła opadła. Powietrze było przejrzyste, tafła jeziora lśniła w blasku budzącego się dnia. Niemoc, która trzymała Helenę w bezruchu, przysła i królowa mogła wreszcie zbliżyć się do brzegu.

Straciła męża, straciła syna. Doszła do wody, padła na kolana i zaniosła się głośnym płaczem. Nagle, tuż przy sobie, poczuła ciepły oddech konia. Podniosła głowę i ujrzała pochylającego się z siodła wiernego giermka Hoela.

- Pani, musimy ruszać. Zbóje Klaudasa mogą wrócić w każdej chwili. Uszanujmy wolę króla i jedźmy do Kamelotu.

Bez słowa podniosła się z kolan. Błędnym wzrokiem ogarnęła gładką powierzchnię jeziora, jakby ostatni raz chciała dostrzec choćby cień tajemniczej kobiety, która uprowadziła jej syna. Nie dojrzała najmniejszego śladu. Jezioro wyglądało tak, jakby nic się nie wydarzyło. Jedynym świadectwem interwencji niewidzialnych łuczników były leżące na trawie ciała rudowłosych wojowników.

- Wiesz, kim była ta kobieta? - zapytała Hoela.

- Nie, pani, ale ludzie mówią, że...

Giermek zawahał się. Spojrzał w stronę lasu, obawiając się posiłków przysłanych walczącym przez Klaudasa. Bał się mówić w tym miejscu o cudownej interwencji tajemniczych łuczników i ich złotowłosej pani. Służąc u króla Bana, często był świadkiem jego rozmów z rycerzami króla Utera Pendragona. To, co zapamiętał z owych opowieści, było zarazem fascynujące i przerażające.

- Ludzie mówią - zaczął z wahaniem - że pod wodami jeziora kryje się potężne królestwo. Władą nim czarodziejka.

- Czarodziejka? Dlaczego jakaś czarodziejka chciałaby utopić moje dziecko?

- Nie wiem, pani. Wiem tylko, że ma na imię Wiwiana i posiada ogromną moc. Otrzymała ją od samego Merlina.

- Syna demona?

- Tak, pani. Podobno Merlin był w niej zakochany.

Giermek z trudem panował nad koniem, który gwałtownie zdawał się reagować na dźwięk imienia Merlin. Rżał, wierzgał nogami, stawał dęba, jakby wspomnienie maga sprawiało mu ból. Rozgniewana królowa zbliżyła się do szalejącego zwierzęcia i chwyciła je za uzdę.

- Jeżeli to Merlin dał jej moc, on jeden może nam pomóc. Gdzie mogę go spotkać? Mów, Hoelu!

- Nie znajdziesz go, pani.

Helena puściła uzdę i zrezygnowana zapytała:

- Dlaczego?

- Ludzie mówią, że Wiwiana rozkochała Merlina w sobie tylko po to, by nauczył ją magii. Kiedy dopięła swego, wykorzystwała jego własne czary i uwięziła go na zawsze.

Zawiedziona królowa zamilkła i przez chwilę patrzyła na jezioro, którego tafla, dzięki promieniom wschodzącego słońca, zaczęła przybierać różową barwę.

- Co mam robić? Poradź mi, Hoelu.

- Jedźmy stąd jak najprędzej, pani. Ruszajmy do Kamelotu.

Dzień wstał na dobre, gdy Helena i jej skromna świta, trzech rycerzy i giermek, znaleźli się znów w lesie. Tym razem był on tak gęsty, że promienie słońca z trudem rozświetlały mrok panujący wśród drzew. Potężne pnie były czarne i wilgotne. Raz po raz do uszu jeźdźców dochodziło pohukiwanie sowy czy wycie wilka, a spod końskich kopyt wzbijało się w górę stado spłoszonych przepiórek.

Na zakręcie ścieżki idący na przodzie koń Hoela zarżał niespodziewanie, a po chwili oczom podróżnych ukazały się trzy niewiasty w habitach: ksieni i dwie zakonnice. Na widok niewielkiego oddziału jezdnych kobiety nie okazały strachu. Najstarsza z nich zsiadła z konia i odważnie podeszła do napotkanych podróżnych. Jedno spojrzenie wystarczyło, by rozpoznała Helenę, którą widywała parokrotnie w zamku Trebe u boku króla Bana.

Pokłoniwszy się jej z należnym szacunkiem, zapytała, co robi z tak skromną świtą na odludziu, z dala od swych włości. Żalność i zmęczenie pokonały trzymającą się dotąd dzielnie królową. Zsunęła się z konia i szlochając, padła zakonniczy do nóg.

- Powstań, pani, proszę - powiedziała ksieni zdecydowanym tonem.

Królowa posłusznie podniosła się z kolan.

- Otrzyj łzy i mów, co się stało.

Bezbarwnym głosem Helena powiedziała:

- Król, mój mąż, umarł nagle tej nocy. Klaudas zdobył i spalił Trebe. A nasz syn, nasz mały synek...

Nie dokończyła zdania. Potok łez popłynął po jej wyblądłych policzkach. Ksieni podeszła bliżej i objęła Helenę ramieniem. Z serdeczną troską trzymając ją w objęciach, czekała, aż się wypłacze. Kiedy spostrzegła, że nieszczęsna przestaje szlochać, szepnęła jej do ucha:

- Jedź z nami do klasztoru, pani. Nie masz już zamku ani królestwa, ale masz moją przyjaźń. Przyjmij naszą gościńnię. Pomożemy ci ukoić ból.

- Dzięki ci matko za twoją dobroć - powiedziała Helena - ale nie mogę przyjąć waszej gościny. Trzeba mi dotrzeć na dwór króla Artura. Ban był jego wasalem. Musi go pomścić.

- On nic dla ciebie teraz nie uczyni. Zajęty jest wojną ze Szkocją i jednym z królów Irlandii. Wiem z pewnych źródeł, że królestwo Logru znalazło się w poważnym niebezpieczeństwie. Król Artur nie znajdzie więc rycerzy, których mógłby wysłać do walki z Klaudasem.

Słyszając te słowa, Helena wpadła w jeszcze głębszą rozpacz, ksieni wzięła ją więc delikatnie za rękę i doprowadziła do wierzchowca.

-Weź swą świętą, pani, i jedź z nami do klasztoru. Uwierz mi, lepiej ci będzie opuścić świat, w którym znalazłaś się sama, bez żadnej pomocy. W klasztornych murach Bóg ześle ci pokój i ukojenie.

Gdy giermek pomagał królowej dosiąść konia, dodała:

- Wyślę ludzi, by sprowadzili zwłoki króla Bana. Pocho-  
wamy go na naszym cmentarzu, blisko ciebie.

- A mój syn? Co będzie z nim?

Ksieni nie odpowiedziała, jakby nie usłyszała pytania. Dołączyła do dwóch pozostałych zakonnic, które czekały na nią nieopodal, i przodem ruszyła w stronę klasztoru Motier-Royal. Helena posłusznie podążała za nią. Przestała płakać. Przed oczami miała jeden obraz: złotowłosą kobietę w srebrnej zbroi, pogrążającą się w wodach jeziora i trzymającą w ramionach *jej nagiego synka*.

## 2. Jezioro

Giermek Hoel mówił prawdę: to, co powiadali ludzie nie było przesadą. Wiwianę istotnie można było nazwać czarodziejką. Równocześnie jednak nie była ona istotą nadprzyrodzoną, lecz kobietą z krwi i kości. Swą magiczną moc otrzymała od Merlina, który faktycznie był w niej zakochany. Znała wiele sztuczek i z upodobaniem praktykowała rozliczne czary, pierwszym zaś i największym jej dziełem było Jezioro, w którego toni pogrążyła się z dzieckiem Bana i Heleny.

Nazywała swe Jezioro wytworem wyobraźni. Jego gładka, lśniąca jak metal tafla kryła wąwóz, rozległą dolinę,

której środkiem płynęła bogata w ryby rzeka. Na obu brzegach stały piękne, bogate domy, w centrum zaś osady wznosił się potężny zamek. Głęboka, zimna toń istniała dla tych, którzy wierzyli w jej istnienie. Wiwiana i jej poddani, świadomi, że Jezioro jest tylko złudzeniem, mogli opuszczać swą krainę i powracać do niej tak łatwo, jakby przechodzili przez mgłę. Inni, schwytani w pułapkę wiary w rzeczywiste istnienie Jeziora, tonęli w jego głębinie. Żadna kraina na świecie nie była chroniona lepiej niż podwodne królestwo Wiwiany. Czar bronił go skuteczniej niż najgrubsze mury.

Po powrocie do zamku czarodziejka oddała niemowlę pod opiekę piastunki. Nikomu nie powiedziała, kim jest mały chłopczyk i jak się nazywa. Jedyne swojej najwierniejszej dworce, Saredzie, powierzyła tajemnicę jego pochodzenia. Wiedziała, że gdy nadejdzie czas, dziewczyna pomoże jej spełnić plany.

Kiedy syn Bana i Heleny skończył trzy lata, Wiwiana znalazła mu nauczyciela.

Chłopiec był dzieckiem nad wiek rozwiniętym fizycznie i umysłowo, zręcznym i sprawnym w rękach i w mowie. Mimo swojej siły wykazywał się zarazem grzecznością i posłuszeństwem, szczególnie wobec Wiwiany, którą uważał za własną matkę. Myślał rozsądnie, jak dorosły mężczyzna. Poddani wojowniczej czarodziejki w całym królestwie traktowali go tak, jakby był prawdziwym synem ich pani, choć wiedzieli, że nigdy nie miała własnego dziecka. Wszyscy, którzy go spotykali czy to na zamkowym dziedzińcu, czy na stromych ścieżkach wokół zaczarowanego Jeziora, zatrzymywali się, by go pozdrowić i zamienić z nim choćby kilka

słów. Przyjemnie było słuchać, jak cudowne dziecko stacynym tonem odpowiada na zadawane pytania oraz podziwiać jego urodę i nienagane maniery.

Nikt w całej krainie nie znał jego imienia. Wiwiana zawsze mówiła do niego „chłopcze”. Wszyscy inni też używali takiej formy, nic więc dziwnego, że słysząc od zawsze to słowo, brał je za swoje imię i przedstawiając się, mówił: „Jestem Chłopiec”.

Dama z Jeziora pragnęła przede wszystkim, by Karadok nauczył jej podopiecznego zachowania godnego królewskiego syna. Jak się okazało, nie było to trudne zadanie. Chłopiec od wczesnego dzieciństwa miał w sobie wrodzoną godność oraz skłonność do dobra. Zachowywał się jak małe książętko, dobre książętko: nie uznawał kaprysów ani pretensji. Miał świadomość, że jest kimś wyjątkowym, lecz zawsze był skromny i uprzejmy. Dumny i pewny siebie, darzył szacunkiem każdego, bez względu na pozycję i urodzenie, ot, choćby pannę służebną czy prostego rybaka, łowiącego ryby w rzece. Z biegiem lat ludzie kochali go coraz bardziej, z wiekiem bowiem jego zalety ujawniały się coraz wyraźniej: z rozkosznego chłopczyka wyrastał pogodny, przyjazny i pełen uroku panicz.

Kiedy Karadok uznał, że jego podopieczny jest już wystarczająco duży i silny, dał mu w podarunku łuk oraz kołczan ze strzałami i zaczął zabierać go do lasu. Znając wszechstronne zdolności Chłopca, nie dziwił się, że w krótkim czasie zaczął on wykazywać się wielką zręcznością w trudnej sztuce polowania. Prawdę mówiąc, nie docenił w pełni talentu i sprawności fizycznej młodego myśliwego i niebawem musiał zamienić zrobiony specjalnie dla niego dziecięcy łuk na inny, większy.



Ze swoich codziennych wypraw Chłopiec przynosił różne trofea: zające, kuropatwy i inne dzikie ptaki ustrzelone w locie. Uwielbiał chwilę, gdy głośny trzepot skrzydeł zapowiadał, że stado zaraz wzbije się w powietrze. Wznosząc się ku niebu, ptaki sądziły zapewne, że znajdą bezpieczne schronienie. Tymczasem bystrooki myśliwy napinał łuk, wybierał cel, zwalniał cięciwę. Wypuszczona z łuku strzała jak inny, szybszy ptak dosięgała i przesywała ofiarę przypominającą ciemny punkt na jasnym tle nieba. Trafiona zdobycz spadała ciężko na ziemię, a mały myśliwy biegł co sił w nogach, by zdążyć przed naganiaczami. Martwy ptak leżał w zaroślach lub na polanie z rozpostartymi skrzydłami, a z dzioba sączyła mu się krew. Kiedy Chłopiec podnosił go z ziemi, czuł, że jest jeszcze ciepły.

Upolowaną przez siebie zwierzynę przynosił do zamku, a Wiwiana nie szczędziła mu wyrazów uznania. Wieczorem, przy wysokim stole w jadalnej komnacie, z przyjemnością spożywał dziczyznę i dumny ze swoich wyczynów częstował nią współbiedniaków. Mając niespełna dziesięć lat wiedział, że dzięki talentowi myśliwego i sprawnej ręce łucznika potrafiłby przeżyć samotnie w najdzikszych nawet leśnych ostępach.

Kiedy zapadał zmrok, słudzy zapalali pochodnie i umieszczali je w specjalnych uchwytach mocowanych wzdłuż kamiennych ścian komnaty. Po wieczerzy nauczyciel i uczeń pozostawali sami przy stole. W świetle grubych łożowych świec Karadok uczył Chłopca gier, które rozwijają umysł, ćwiczą refleks i wyrabiają tak przydatną w życiu każdego człowieka, a szczególnie władcy, cierpliwość.

Przy triktraku młodemu graczowi nie zawsze dopisywało szczęście. Kiedy przegrywał, wpadał w złość. Złorzeczył

pionom, zarzucając im, że go zdradziły. Narzekał na złośliwy los, który kazał mu rzucić kością niewłaściwą liczbę oczek. Nauczyciel uderzał wtedy pięścią w blat i przywoływał go do porządku.

- Uspokój się! Władca musi umieć przegrywać z godnością.

- Przegrana uwłacza godności władcy - protestował Chłopiec.

Nauczyciel zamierzał udzielić mu sroższego napomnienia, widząc jednak kątem oka rozbawioną twarz Wiwiany, wołał zachować milczenie. Faktycznie, tak odważna i zdecydowana postawa u kogoś, kto dopiero niedawno przestał być dzieckiem, nie mogła budzić gniewu.

Podobne milczenie zachowywał Karadok przy szachach. Rozpoczął lekcje tej gry na wyraźne polecenie Wiwiany, kiedy Chłopiec skończył cztery lata. Zaznajamiał ucznia z regułami niejako wbrew sobie, był bowiem przekonany, że tak małe dziecko ich nie zrozumie. Sądził, że jego umysł nie będzie w stanie pojąć subtelności gry wymyślonej na potrzeby królów władających w dalekich krainach, gdzie wschodzi słońce. Nie miał nawet pewności, czy ich królestwa naprawdę istnieją. Największy śmiałek nie wyprawiłby się przecież, by to sprawdzić. O ich istnieniu mógłby zaświadczyć jedynie ów tajemniczy nieznajomy, który dawno temu do mglistych krain Północy przywiózł tę piękną i mądrą grę, przypominającą strategię wojskową.

Swoim zwyczajem Chłopiec uważnie wysłuchał wyjaśnień nauczyciela, starając się zrozumieć i zapamiętać zasady gry. Przyglądał się z zaciekawieniem poszczególnym figurom, obracał je w małych paluszkach, podczas gdy Karadok omawiał ich rolę i sposób, w jaki mogą poruszać się po szachownicy.

Dziecku gra kojarzyła się wyraźnie z bitwą, a figury z postaciami rycerzy i giermków. Zachwycone, w pewnym momencie powiedziało: „Zagrajmy”. I rozpoczęli.

Jak można było przypuszczać, pierwszą partię Chłopiec zakończył przegraną. Był dzieckiem i królewiczem: chciał odnieść zwycięstwo siłami „rycerzy”, najdzielniejszych i najszlachetniejszych jego zdaniem wojowników. Nie spodziewał się, że królowa i wieże przeciwnika pokonają go. Kiedy Karadok dumny z siebie postawił czarnego gońca obok białego króla przeciwnika i zawołał: „Mat! Król nie żyje”, ten wpadł w prawdziwą furję:

- Nigdy, przenigdy żaden poddany nie pokonał króla! Ta gra jest bez sensu! - krzyknął i gwałtownym ruchem zrzucił szachownicę na posadzkę.

Wiele błędów, jakie Chłopiec popełni w przyszłości jako dorosły już, znający swe prawdziwe imię mężczyzna, okaże się skutkiem jego niecierpliwości, tej samej, która ujawniła się podczas pierwszej partii szachów. Trudno mu będzie zrozumieć, że prawdziwa odwaga nie ma nic wspólnego z zuchwalstwem, że jest również cechą ludzi rozważnych, o chłodnym temperamencie. Karadok uczył go, że władca musi być człowiekiem rozsądnym, trzeźwo myślącym, nie dającym się ponieść emocjom, takim, który przed podjęciem decyzji starannie rozważy wszystkie za i przeciw. Ruszy do ataku dopiero wtedy, gdy stwierdzi, że „przeciw” jest lepszym, bardziej honorowym rozwiązaniem i doprowadzi go do zwycięstwa.

Podczas następnych partii Chłopiec nie bez żalu porzucił jednak upodobanie do gońców - rycerzy i ich złożonych ruchów, i skupił się na królowej. Każdy początkujący nawet gracz szybko pojmuje, że to właśnie ta figura jest najważ-

niejsza ze wszystkich na szachownicy i ma największą swobodę. Niedoświadczony, często jej nadużywa. Przepędza ją wzdłuż i w poprzek, patrzy, jak groźna i nieuchwytna odnosi kolejne zwycięstwa dopóty, dopóki nie padnie ofiarą własnej gry.

Uczeń Karadoka nie popełnił tego błędu: patrząc na swoją białą królową, widział w niej Wiwianę i grał tak, jak ona - jego zdaniem - by się zachowywała. Nie wykonywał żadnych gwałtownych ataków, żadnych długich skoków z jednego rogu szachownicy na drugi. Przeciwnie: rzadkie, niemal niewidoczne ruchy pod osłoną wież i przy wsparciu gońców. Później, po chwili przeskakiwania z pola na pole, jakby samo to sprawiało mu przyjemność, Chłopiec postawił jednego swojego rycerza na środku szachownicy, drugiego zaś - chronionego przez tamtego — między królową a królem przeciwnika.

- To chyba mat, król nie żyje - stwierdził z dziecięcym entuzjazmem.

Zdumiony nauczyciel musiał uznać własną klęskę i powstrzymując złość, poszedł spać.

- Naprzód!

Na ten okrzyk Chłopiec spiął konia ostrogami. Karadok pędził kilka metrów za nim. Obaj dosiadali najlepszych wierzchowców, nic więc dziwnego, że szybko wyprzedzili swoich towarzyszy. Przed nimi, jakieś dwie odległości strzału, biegł kozioł. Kluczył, raz pokazując się, raz znikając w gęstwinie. Uciekał zakosami, jednak ciągle na północ. Ścigający go Chłopiec pomyślał, że zwierzę chce odciągnąć myśliwych jak najdalej od łani i młodych.

Zjeżdżając na złamanie karku po stromej ścianie wąwozu, usłyszał za sobą krzyk i odgłos upadku. Domyślił się, że to Karadok spadł z konia. Widocznie jego wierzchowiec zatrzymał się gwałtownie przed przeszkodą. Trudno. Nie będzie wracał, kiedy niemal w zasięgu strzału ma pięknego kozła, a ulubiony ogar, podarowany niedawno przez Wiwianę, jest na jego tropie.

Nie przestając galopować, napiął łuk i założył strzałę. Psy ujadły coraz głośniej. Kozioł wybiegł z zarośli i teraz - widoczny jak na dłoni - umykał co siłą śródleśną drogą zbudowaną przed wiekami przez rzymskich najeźdźców. Chłopiec podniósł się w siodle, udami ścisnął boki wierzchowca i zwolnił cięciwę.

Strzała dosięgła ofiary i przeszła jej szyję na wylot. Trafione zwierzę runęło na ziemię. Rudobrunatne ciało miotało się jeszcze przez chwilę w konwulsjach, po czym zastygło w bezruchu. Młody myśliwy zsiadł z konia, spojrzął w mętne oczy konającego zwierzęcia, oparł stopę na jego karku, ujął strzałę za drzewce i jednym zdecydowanym ruchem wyszarpnął ją z rany. Po chwili przerzucił zdobycz przez siodło i ruszył w powrotną drogę.

Na niewielkiej polanie spotkał idącego giermka. Tuż za nim kuśtykał pokryty pianą, zmęczony koń. Zaskoczony Chłopiec podjechał bliżej. Nieznajomy miał nie więcej niż osiemnaście lat. Ubrany był w podarty kaftan i poplamione pludry, z u jego pasa zwisał miecz ze złamanym ostrzem. Młody człowiek był chyba tak samo wyczerpany, jak jego rumak.

- Co ci się stało, panie? - zagadnął Chłopiec.

Zaskoczony giermek zmarszczył brwi i spojrzął na pytającego, którego postawa i zachowanie zdradzały wysokie pochodzenie. Zmęczony i zrezygnowany oparł się ciężko o ga-

łąż. Trwał tak przez chwilę w milczeniu ze spuszczoną głową, a kiedy wstał, na pokrytej kurzem twarzy widać było wyraźne ślady łez.

- Jestem zhańbiony! - poskarżył się matowym głosem. Od dwu dni jechałem co koń wyskoczy, by zdążyć na dwór króla Klaudasa, gdzie mam być świadkiem w sprawie o zabójstwo mego wuja. Dziś rano wpadłem w pułapkę. Ktoś chciał mnie zabić, by uniemożliwić mi dotarcie do zamku. Cudem wyrwałem się napastnikom, dwóch z nich zabiłem.

Słyszając te słowa, Chłopiec spojrział na młodego giermka z większym szacunkiem. Jeżeli jednak rzeczywiście jest taki dzielny, to dlaczego płacze? - zastanawiał się w duchu. On sam nie pamiętał, by kiedykolwiek uronił łzę. Od dziecka umiał panować nad emocjami. Chcąc rozwiązać wątpliwości, zapytał wprost:

- Dlaczego płaczesz, panie? Postąpiłeś jak rycerz, choć nim jeszcze nie jesteś. Możesz być z siebie dumny.

Giermek, coraz bardziej zdumiony spokojnym, dojrzałym tonem młodszego od siebie rozmówcy, wyprostował się i wytarł oczy.

- Masz rację, książę. Wstydzę się swoich łez.

- Nie rozumiem, jak mężczyzna może płakać - odpowiedział chłodno Chłopiec, wzruszając ramionami.

Lekko urażony giermek próbował się wytłumaczyć:

- Nie płakałem nad sobą, tylko nad wujem. Byłem wściekły, że nie będę mógł pomścić jego śmierci.

- Dlaczego tak uważasz?

Młodzieniec wskazał ręką swojego wierzchowca. Koń miał nabiegłe krwią oczy, toczył pianę z pyska i ledwo trzymał się na drżących nogach.

- Nie zdążę na czas, mój koń nie ma już sił.

-1 to jedyny powód? - zapytał lekko drwiącym tonem Chłopiec.

Podszedł do swego rumaka i zaczął rozplątywać sznur, którym przytroczył do siodła upolowanego kozła.

- Pomóż mi, będzie szybciej.

Giermek posłuchał bez słowa, choć nie bardzo wiedział, o co chodzi. Kiedy odczepili zdobycz, Chłopiec poprosił, by pomógł mu przełożyć ją na jego zmęczonego konia.

- Po co to robimy?

- Muszę przecież jakoś dowieźć mój łup do zamku.

Giermek wreszcie zrozumiał. Jego twarz zarumieniała się z zakłopotania:

- Książę, czyżbyś chciał?...

- Tak. Daję ci mojego konia. To najlepszy wierzchowiec ze stajni mojej matki. Na nim na pewno zdążysz na czas.

- Nie mogę go przyjąć...

- Milcz! - skarcił go Chłopiec. Nie trać czasu na protesty i nie dziękuj. Wskakuj na siodło i jedź czym prędzej do zamku.

Młodzieniec przestał się wzbraniać. Bez słowa przeniósł kozła na swojego konia i przymocował go starannie do siodła, po czym dosiadł podarowanego wierzchowca.

- Dzięki ci, książę. Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś. Powiedz, jak masz na imię.

- Nie mam imienia. Wszyscy nazywają mnie Chłopcem. Matka czasem mówi do mnie „piękny królewiczu”, ale zupełnie nie wiem, dlaczego.

- Musisz być królewskim synem! - zawołał giermek. Wystarczy na ciebie spojrzeć i posłuchać, jak mówisz, by mieć pewność, że pochodzisz ze znakomitego rodu i jesteś wybitnym człowiekiem.

- Chłopiec przyjął komplement zupełnie obojętnie. Podniósł tylko rękę na pożegnanie, życząc odjeżdżającemu powodzenia.

Przez chwilę słuchał, jak jego rumak oddala się galopem na wschód, potem ujął zdrożonego konia giermka za uzdę i pieszo ruszył w drogę powrotną do zamku.

W myślach rozważał ostatnie słowa nieznajomego: „pochodzisz ze znakomitego rodu i jesteś wybitnym człowiekiem”. Nigdy jeszcze nie zastanawiał się, kim naprawdę jest. Przyzwyczał się, że nie ma imienia. Wiwiana, okazując mu tyle miłości i przywiązania, nie mogła niczego przed nim ukrywać. Dlaczego jednak nazywa mnie królewiczem? Dlaczego nie mam imienia? Czyżby moje imię okryte było tak wielką hańbą, że nikt nie chce go wymawiać? Jeśli jestem królewiczem, to który król jest moim ojcem?

- Kiedy tak kroczył zamyślony leśną ścieżką, ujrzał tuż przed sobą jadącego z naprzeciwka na siwym koniu starszego mężczyznę z łukiem i kołczanem. Tuż za nim szły dwa wspaniałe charty. Chłopiec pozdrowił go grzecznie.

- Skąd się tu wzięłeś, młody książę? - zapytał podróżny.

- Byłem na polowaniu. Ustrzeliłem kozła.

Starzec spojrział na przytroczone do siodła martwe zwierzę i *westchnął*:

- Miałeś szczęście. Widocznie jesteś lepszym myśliwym ode mnie. Od samego rana uganiam się po lesie i wracam z pustymi rękami.

- Zdarza się - rzekł chłopiec.

-Wiem, ale dziś jest mi szczególnie przykro. Wydaję córkę za męża. Liczyłem, że podam gościom dziczyznę: sarnę, dziką, parę kuropatw czy choćby takiego pięknego, tłustego koziołka jak ten.



Chłopiec przykłęknął, aby pogłaskać jednego z chartów.

Szczupły i zgrabny pies o idealnych proporcjach miał szare umaszczenie i pięknie wypielegnowaną sierść. Wyczuwalne doskonale pod cienką skórą mięśnie drgały nerwowo, jakby zwierzę chciało wyrwać się i popędzić w dal.

- Co teraz zrobisz, panie? - zapytał współczująco Chłopiec.

- Sam nie wiem. Tak mi wstyd, że nie mam ochoty wracać do domu.

Młody książę wstał. Starzec wpatrywał się w niego spod przymrużonych powiek.

- Jak masz na imię? - zapytał. - Twoja twarz wydaje mi się dziwnie znajoma.

- Nie mam imienia i nie sędzę, byśmy się kiedykolwiek spotkali.

-A jednak...

Przerwał w pół słowa. Nie mógł go wcześniej widzieć, lecz dostrzegł wyraźne podobieństwo do kogoś, kogo dobrze znał. „Kogo on mi przypomina?” - zastanawiał się.

Chłopiec podszedł do konia, żeby odwiązać sznur przytrzymujący ubitego kozła.

- Giermek niepotrzebnie tak się starał - mruzczał, uśmiechając się pod nosem.

Kiedy skończył, odwrócił się do starca i rzekł:

- Panie, sprawisz mi prawdziwą przyjemność, jeżeli weźmiesz tego kozła i podasz go gościom na uczenie weselnej.

- Dzięki, książę, lecz nie mogę przyjąć takiego daru. To twoje trofeum, ty go wytropiłeś i ustrześliłeś.

-I co z tego? Miałem dobrą zabawę. Zresztą, nie daruję go tobie, lecz twojej córce. Obrażę się, jeżeli nie zgodzisz się go wziąć.

Stary rycerz nigdy jeszcze nie spotkał chłopca, który przemawiałby tak władczy i zarazem tak naturalnym tonem. Jak to możliwe, że dotąd nie słyszał o nim na dworze? Kogoś tak niezwykle nie można przecież nie zauważyć. Grzeczność nakazała mu stłumić ciekawość i nie zadawać pytań. Zsiadł z konia i podszedł do ofiarodawcy:

- Skoro tak, to dzięki ci, młody książę. Przyjmuję twój dar z radością, pozwól jednak, że w zamian podaruję ci jednego z moich chartów. Wybierz sam, którego chcesz. Oba są szybkie, wytrzymałe i łagodne.

- To piękne psy - stwierdził Chłopiec, z trudem maskując radość, jaką nieznajomy sprawił mu nieoczekiwanym podarunkiem.

Tak naprawdę był jeszcze dzieckiem i gdyby nie wpajany mu przez wychowawców odruch panowania nad sobą w każdych okolicznościach, zareagowałby chętnie spontanicznym wybuchem radości. Powstrzymał jednak emocje i wskazał tego, który wydał mu się lepszy, z pozorną obojętnością, jakby brał pierwszego z brzegu.

- Tego wezmę - zdecydował.

- Jak sobie zyczysz, książę.

Przez chwilę Chłopiec bawił się z psem, zachęcając go do aportowania. Chart biegał za patykiem, a on z przyjemnością podziwiał zgrabną, szczupłą, lecz doskonale umięśnioną sylwetkę zwierzęcia oraz jego szybkość w biegu. W tym czasie rycerz zajął się przeniesieniem koziołka na swojego konia i przywiązaniem go do siodła. Kiedy był gotowy, poźegnali się i każdy ruszył w swoją stronę.

Chwilę potem, jadąc samotnie przez las, rycerz doznał olśnienia. Wiedział już, kogo przypominał mu młody nieznajomy. Oczywiście Bana, króla Bana z Benoiku, u którego

przed laty wiernie służył i przy którym był tamtej tragicznej nocy, gdy stary władca umarł ze zgryzoty, widząc swoje ukochane Trebe w płomieniach.

Zmienił zamiar i zamiast do domu, ruszył w przeciwnym kierunku. Dojechał na skraj lasu, zatrzymał się, lecz choć wyteżał wzrok, nie dostrzegł już sylwetki Chłopca z koniem i biegnącymi za nim psami. W oddali, w głębi doliny, lśniła jasna tafla jeziora.

Jak żywe wróciło wspomnienie nocy sprzed lat. Królowa Helena powierzyła jego opiece niemowlę, a on niemądry położył je na trawie u brzegu jeziora i wdał się w walkę ze zbójcami Klaudasa. Smutek po stracie króla i wyrzuty sumienia przez lata ścisnęły mu serce. Na myśl o podobieństwie młodego myśliwego do Bana, o jego szlachetnej postawie i pewności siebie, poczuł ulgę. Niebo wydało mu się bardziej pogodne, serce w piersi zabiło swobodniej.

Zawrócił konia. Musiał wracać do domu, gdzie czekało go wesele. Miał dziwne przeczucie, że pewnego dnia ktoś przegna Klaudasa z Benoiku i z Trebe a król Ban zostanie pomszczony.

- Na święty krzyż, nigdy więcej nie popelnisz takiego głupstwa!

Rozzłoszczony Karadok rzucił się na Chłopca i wymierzył mu siarczysty policzek. Cios był tak mocny, że młodzieniec zachwiał się na nogach. Mimo bólu, bez słowa, nie dotykając nawet twarzy, natychmiast wstał i z podniesioną głową ruszył prosto na nauczyciela. Pełnym gniewu wzrokiem spojrzął mu w oczy.

Wracając do zamku, na skrzyżowaniu dróg w pobliżu Jeziora, Chłopiec spotkał pozostałych myśliwych. Karadok, bez humoru po upadku z konia, wpadł we wściekłość, gdy wychowanek opowiedział mu o koziołku podarowanym staremu rycerzowi i wierzchowcu zamienionym na zajeżdżoną szkapę giermka.

- Kto ci pozwolił oddać obcemu konia Damy z Jeziora? I to takiego konia! To był najlepszy wierzchowiec z jej stajni. Nie miałeś prawa nim rozporządzać!

- Matka mówi do mnie „piękny królewiczu”. Jestem pewny, że będzie dumna z mojego zachowania - odpowiedział hardo.

Tym razem policzek był tak silny, że chłopiec upadł prosto pod kopyta konia. Znow wstał i wytrzymując spojrzenie Karadoka, rzekł spokojnie:

- Zresztą koń i zwierzyzna mało mnie obchodzą. Chart, którego dostałem, wart jest dwa razy więcej.

Nauczyciel dotknięty do żywego zuchwalstwem ucznia chwycił laskę i z całych sił zaczął okładać grzbiet psa. Zwierzę zawył z bólu i upadło na ziemię. Z długiej ciętej rany na jego boku ciekła krew.

Na widok rannego charta Chłopiec wpadł w szal:

- Jeśli uważasz, panie, że zasługuję na karę, uderz mnie. Ale psa zabraniam ci bić!

- Ty mi zabraniasz?

Chłopiec trząsł się z gniewu.

- Strzeż się, dobrze ci radzę!

- Jeszcze zobaczymy, kto komu będzie rozkazywał!

Karadok podniósł laskę i rzucił się na skowyczące ze strachu zwierzę. Chłopiec chwycił łuk i uprzedzając kolejny cios, uderzył nauczyciela z całej siły w głowę. Cios był tak

mocny, że łuk złamał się na pół, a Karadok ogłuszony stracił na chwilę świadomość. Rana na czole i policzku krwawiła obficie, podobnie jak ta, którą zadał wcześniej psu.

Zanim inni myśliwi zdążyli interweniować, Chłopiec podbiegł do konia Karadoka, jednym susem wskoczył na siodło i pomknął przed siebie. Długi czas galopował bez celu po okolicznych wzgórzach. Nigdy wcześniej nie czuł takiej złości. Nie przypuszczał nawet, że jest do niej zdolny.

Jazda konna uspokoiła Chłopca. Wracając do zamku, nie myślał już o przykrym zdarzeniu. Pragnął jak najprędzej opowiedzieć Wiwianie o spotkaniach w lesie i pokazać jej wspaniałego charta, którego podarował mu stary rycerz.

Kiedy wszedł do jej komnaty, zastał tam nauczyciela. Z zakrwawioną twarzą wydawał się jeszcze bardziej ponury niż zwykle.

- Wreszcie jesteś - powiedziała Dama na jego widok. - Zbliź się.

Nigdy wcześniej nie widział u niej tak srogiego wyrazu twarzy. Podeszedł posłusznie, bez słowa.

- Twój nauczyciel powiedział mi, co uczyniłeś. Kto pozwolił ci dysponować moją własnością? Co masz na swoje usprawiedliwienie?

- Pani - odpowiedział rezolutnie - uczyniłem to, co uznałem za słusne. Jeśli ty i mój nauczyciel uważacie, że postąpiłem źle, wyjaśnij mi, dlaczego mówisz do mnie „królewiczu”.

- Myślisz, że daję ci to jakieś specjalne prawa?

- Sądzę, że skoro tak do mnie mówisz, powinienem zachowywać się jak syn króla.

Wiwiana w duchu podziwiała dumną postawę wychowanka, nie dawała jednak tego po sobie poznać i z wyrzutem pytała dalej.

- Uważasz, że wolno ci bić nauczyciela? Oddałam mu ciebie pod opiekę i powinieneś okazywać mu całkowite posłuszeństwo.

- Nie miał prawa uderzyć mojego charta. Niech bije mnie, jeśli ma ochotę. Kpię sobie z tego. Razy otrzymane od kogoś takiego nie robią na mnie żadnego wrażenia. Ale ostrzegam, jeżeli jeszcze raz dotknie mojego zwierzęcia, oddam mu tak, że popamięta.

Trudno było spodziewać się innej odpowiedzi. Dama z Jeziora dobrze знаła silną osobowość i dumną naturę Chłopca. Nie chciała jednak, by sądził, że wszystko mu wolno.

- Nakazuję ci, żebyś pogodził się z Karadokiem. Dopóki jest twoim nauczycielem, jesteś mu winien szacunek.

Chłopiec przyjął jej polecenie z nieukrywaną pogardą:

- Czynię to ze względu na ciebie, pani, ale zapewniam: jeżeli jeszcze raz ośmieli się podnieść rękę na mojego psa, albo na jakąkolwiek inną moją własność, odejdę stąd na zawsze. Wiem, że jestem w stanie poradzić sobie sam w każdych warunkach i nie zniosę, żeby ktoś mówił mi, co mam robić.

Po tych słowach odwrócił się na pięcie i skierował do drzwi. Wiwiana przywołała go do siebie. Karadok odprawiony przez nią wymownym gestem niechętnie opuścił komnatę. Kiedy wyszedł, rozchmurzyła czoło i odezwała się z uśmiechem:

- Masz rację, mój piękny królewiczu. Choć jesteś jeszcze bardzo młody, nie potrzebujesz już nauczyciela. Posłuchaj uważnie: od tej chwili z mojej woli sam sobie będziesz pa-

nem. Udowodniłeś, że szlachetnością i odwagą nie przyniesiesz ujmy swojemu wielkiemu ojcu.

Chłopiec pobladł z wrażenia. Po raz pierwszy Wiwiana przywołała przy nim nieznaną, tajemniczą postać ojca.

- Kim on jest? Zdradź mi, proszę, jego imię.

Dama z Jeziora patrzyła z czułością, jak hardy i wyprostowany niecierpliwie czekał na odpowiedź. Wreszcie pokręciła odmownie głową:

- Nie, mój drogi. Jeszcze nie czas.

## ROZDZIAŁ II

# Bezimienna Rycerz

### 1. Podróż

Orszak był wspaniały. Ludzie, którzy obserwowali jego przejazd utrzymywali, że był najbardziej okazały i wytworny ze wszystkich, jakie kiedykolwiek w życiu zdarzyło im się widzieć. Czterdziestu odzianych w białe szaty rycerzy na białych koniach, w towarzystwie giermków, stajennych i służących, również w bieli. Ustawieni w dwóch rzędach ochraniaли przystrojoną białą draperią lektykę, w której podróżowała Dama z Jeziora w towarzystwie trzech dworek. Obok niej jechał konno przystojny młodzieniec ubrany na biało, z białą tarczą ozdobioną dwiema czerwonymi szarfami.

Chłopiec skończył właśnie osiemnaście lat. W ostatnim czasie urósł i zmężniał, a jego dawna uroda - choć trudno to sobie wyobrazić - dopiero teraz rozbłysła pełnym blaskiem. Dzień przed urodzinami Wiwiana wezwała go do siebie i zapowiedziała, że nazajutrz wyruszą w drogę. Przygotowania do podróży okryte były wielką tajemnicą, tak że by niczego się nie domyślił. Dopiero teraz obwieściła, że



przyszedł czas, by udał się na dwór króla Artura, który pasuje go na rycerza. Z racji wieku i odebranego wychowania był na to gotowy. Nie pozwalając mu zbyt długo okazywać radości, pokazała mu piękny miecz, jaki poleciała wykuć specjalnie dla niego. Zgrabny i długi, miał sprężyste ostrze i piękną rękojeść, a w dłoniach władającego nim przyszłego rycerza wydawał się lekki jak sztylet. Uradowany Chłopiec z pasją atakował nim wyimaginowanych wrogów wokół siebie. Po chwili roześmiana Wiwiana poprosiła, by oddał jej broń. Nie miał prawa nosić miecza dopóty, dopóki nie zostanie pasowany na rycerza.

Podróż trwała dwanaście dni. Przemierzając lasy, wzgórza i doliny ludzie - Dama z Jeziora, jej wychowanek oraz cała świta - dotarli do portu na północy kraju, skąd statkiem przepłynęli przez morze do położonego na drugim brzegu królestwa Logru. Stamtąd niedaleko już było do Kamelotu, stolicy królestwa i siedziby dworu Artura. Dotarli tam w wigilię świętego Jana. To właśnie z okazji tego święta król miał zwyczaj pasować młodych giermków na rycerzy.

Po drodze Wiwiana często opuszczała wygodną lekturę, by jechać konno u boku Chłopca. Nie lękała się niebezpieczeństw i trudów podróży. Śmiała się często, żartowała i ścigała się z nim, galopując po zboczach wzgórz. Nigdy wcześniej nie wydawała się tak szczęśliwa. Jej wesołość była jednak tylko powierzchowna, serce bowiem miała pełne smutku na myśl, że wkrótce go straci. Wiedziała, że kiedy jej „piękny królewicz” zostanie już rycerzem i pozostanie w służbie króla Artura, nie będzie mogła widywać go codziennie w swoim zamku. Nie było jej łatwo, bo przywiązała się do wychowanka jak matka do ukochanego syna.

Nie miała jednak wyboru. Musieli się rozstać. Miał przed sobą ważne zadanie, a ona opiekowała się nim, by mógł je wypełnić.

W jedenastym dniu podróży, już za morzem, zatrzymali się na nocleg w zamku Lawenor oddalonym o dwadzieścia mil od Kamelotu. Myśl, że znów zostanie sama, odbierała jej sen. Zeszła do stajni, wyprowadziła swoją białą klacz i na oślepie błąkała się po okolicy. Pod osłoną ciemności, z dala od ludzkich spojrzeń, mogła spokojnie się wypłakać. Wcześniej nie wiedziała, co to są łzy.

Tuż przed świtem wróciła do zamku, oddała zmęczoną klacz stajennym, a sama udała się wprost na górę. Z zapaloną łojową świeczką weszła do pokoju, gdzie spał młodzieniec, i zaczęła mu się przyglądać. Kiedy był dzieckiem, często nocą siadała przy jego łóżku. Podziwiała jego urodę, zastanawiała się, jaka czeka go przyszłość. Tym razem wiedziała, że nie będzie już mieć okazji oglądać go we śnie, dlatego pragnęła na zawsze zachować jego wspomnienie w pamięci i w sercu. Usłyszał jej głośne westchnienie i otworzył oczy.

- Obudź się, mój piękny królewiczu. Chcę z tobą porozmawiać.

Zadowolony, że widzi przy sobie przybraną matkę, uśmiechnął się i położył rękę na jej dłoni opartej o brzeg posłania.

- Ruszamy w dalszą drogę?

-Mamy czas. Przed południem będziemy w Kamelot. Zanim wyruszymy, muszę ci jeszcze coś powiedzieć.

Zaciekawiony podniósł się na łożku.

- Mów, proszę. Słucham.

- Nie będę uczyć cię cnót rycerskich. Wierzę, że je znasz, inaczej nie przywoziłabym cię na dwór króla Artura. Powtórzę jednak zasadę, o której nigdy w życiu nie powinieneś zapomnieć.

Usiadła obok niego i delikatnie położyła białą dłoń na jego piersi.

- Rycerz - rzekła - ma dwa serca: jedno nieugięte, twarde jak diament, drugie - czułe i miękkie jak wosk. Serce z diamentu sprawia, że potrafi być brutalny, bezwzględny i okrutny. Serce z wosku natomiast czyni go dobrym, współczującym w smutku i bólu, pomocnym w potrzebie, a nawet łagodnym i pokornym.

- Rozumiem.

-Wiem, że rozumiesz. Pamiętaj jednak, że brutalnym, bezwzględnym i okrutnym możesz być jedynie wobec tych, którzy sami są brutalni, bezwzględni i okrutni. Wobec słabych, nieszczęśliwych i pokrzywdzonych musisz być czuły, dobry i współczujący. Gdybyś kiedyś okazał słabość wobec okrutnych a okrucieństwo wobec słabych, nie tylko stracisz prawo do nazywania siebie rycerzem, lecz zgubisz duszę.

- Wiem.

- Jestem tego pewna.

Z żalem zdjęła dłoń z piersi młodzieńca, stanęła przy łożku i powiedziała:

- Przyjdzie dzień, gdy poznasz swoje imię i dowiesz się, kto był twoim ojcem. Ta chwila nastąpi już niedługo. Nie powiem ci nic więcej, nie mogę. Sam musisz poznać prawdę. Na dworze Artura będziemy nazywać cię po prostu giermkim.

- Król nie rozgniewa się, gdy nie wyjawię mu swego imienia?

- Jutrzejszy dzień będzie pełen zaskakujących wydarzeń. Nawet nie zwróci na to uwagi.

- Skąd wiesz, co się zdarzy?

Wiwiana zawahała się, czy powiedzieć mu o Merlinie, który z miłości nauczył ją czarów, wykorzystanych przez nią, żeby go sobie podporządkować, zdradzić a następnie uwięzić. Nie, lepiej nie. Ma zbyt mało doświadczenia, by zrozumieć, co może zdarzyć się dwóm wyjątkowym istotom, które...

- Poznałam kiedyś niezwyklego mężczyznę, mającego rzadki dar przepowiadania przyszłości. Opowiedział mi o tobie, zanim przyszedłeś na świat. Od niego wiem, jakie niezwykle przygody jutro przeżyjesz.

Młodzieniec wyskoczył z łóżka.

- Powiedz, proszę, co mi się przydarzy. Chcę wiedzieć. Coś dobrego, czy coś złego?

- Nie wolno mi nic powiedzieć. Gdybym wyjawiała ci to, co wiem, twoja przyszłość nie byłaby już taka sama.

- Przyznaj się. Wiesz o mnie wszystko? Znasz nawet godzinę i okoliczności mojej śmierci, prawda?

- Bądź spokojny. Znam tylko przebieg najbliższych dni i wiem o kilku mężnych czynach, jakich być może dokonasz w późniejszym czasie.

- Dlaczego „być może”?

Wiwiana delikatnie dotknęła dłonią jego policzka.

- Przyszłość nigdy nie jest pewna. Wystarczy chwilowa słabość czy brak lojalności z twojej strony, a cały plan może lec w gruzy.

- Nigdy, przenigdy nie okażę się słabym ani nielojalnym.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Mam taką nadzieję, królewiczu - powiedziała jakby ze smutkiem, pocałowała go szybko w usta i zaraz wyszła.

## 2. Prezentacja

Wkraczający przez Bramę Galijską do Kamelot orszak Damy z Jeziora wywarł na wszystkich znakomite wrażenie. Obserwowali go obecni w mieście najwybitniejsi rycerze królestwa: Iwen Wielki, syn króla Uriena, seneszał Keu, Tohort, syn Aresa, króla Autycji, podczaszy Lukan, konetabl Beduier i wielu innych, z Gowenem, siostrzeńcem Artura, znanym z sukcesów odnoszonych na wojnach i pośród dam. To on jako pierwszy podszedł do kroczących w podwójnym szyku rycerzy w śnieżnobiałych szatach, którzy towarzyszyli Wiwianie i jej wychowankowi.

Wiwiana rozpoznała zbliżającego się Gowena, którego znała z opisów. Pozwoliła światu iść przodem, a sama ze swoim młodym towarzyszem wyszła mu naprzeciw. Kiedy wymienili pozdrowienia, Gowen zapytał, co sprowadza ją na dwór z tak wspaniałym orszakiem.

- Przybyłam, panie, na uroczystość świętego Jana. Jutro król pasuje giermków na rycerzy. Zaprowadź mnie do niego, proszę. Pragnę przedstawić mu tego giermka.

Mówiąc te słowa, wyciągnęła rękę i wskazała Chłopca. Z białą tarczą ozdobioną dwiema czerwonymi szarfami stał dwa kroki z tyłu i przytrzymał za uzdę swego rumaka. Gowen podjechał bliżej i przyglądał mu się uważnie z nieukrywanym podziwem.

—Silny chłopak i przystojny. Sądzę, że król Artur chętnie widziałby go w zastępie swoich rycerzy. Szkoda, że zgodnie z pradawnym zwyczajem nie służył mu za giermka.

—Wychowywał się na moim dworze i zależy mi, żeby mógł nosić broń, którą sama mu dałam.

—Doprawdy, niezwykle żądanie. Musi to być ktoś zupełnie wyjątkowy. Jak masz na imię? - zapytał wprost.

- Zapewniam cię, panie - wtrąciła Wiwiana - że pochodzi z wysokiego rodu.

- Sądząc po postawie, nie wątpię - odrzekł Gowen, mierząc wzrokiem giermka, który niewzruszony wytrzymał jego spojrzenie.

Dama z Jeziora spięła klacz ostrogami.

- Ruszajmy już. Pragnę, byś jak najszybciej przedstawił nas królowi.

Po wejściu do zamku przybysze ujrzeli grupę około dwudziestu giermków czekających w otoczeniu koniuszych na pojawienie się króla.

Zgromadzone licznie w wielkiej komnacie na parterze panny, przybyłe do zamku z okazji uroczystości świętego Jana, z nieukrywanym podziwem wpatrywały się w przyszlých rycerzy. Z upodobaniem porównywały rysy twarzy, strój i postawę, a ich komentarzom raz po raz towarzyszyły wybuchy śmiechu. Spierały się, który jest najprzystojniejszy, który wykaże się największą dzielnością podczas turnieju.

-Według mnie zwycięży ten w środku. Patrzcie, jakie ma szerokie ramiona! - stwierdziła z przekonaniem jedna.

- Mnie podoba się tamten blondyn z tyłu. Jakie on ma śliczne rumieńce! - zachwycała się druga.

- Nie ocenia się rycerza po rumieńcach. Ważne są mocne nogi - odpowiedziała z przekąsem trzecia. Patrzcie na tamtego bruneta! Jego nikt nie wyrzuci z siodła ani nie powali na ziemię w pieszej walce.

Na widok nieznanego wysokiego giermka, który wszedł do sali prowadzony przez damę we wspaniałej białej szacie, dziewczęta umilkły jak zaczarowane. Nigdy dotąd nie widziały młodzieńca o tak doskonałych proporcjach, tak jasnym spojrzeniu i tak godnej postawie. Zachwycone, wprost pożerały go wzrokiem. Wszystkie zgodnie pragnęły, aby to on okazał się zwycięzcą turnieju, w jakim nazajutrz mieli uczestniczyć nowo pasowani rycerze. Każda marzyła, aby to ją właśnie wybrał na damę swego serca, a z powodu zazdrości w dawnych towarzyszkach widziała odtąd jedynie rywalki.

Wreszcie do zebranych wszedł król Artur z małżonką, królową Ginewrą, u boku. Dopiero pojawienie się królewskiej pary sprawiło, że panny odwróciły wzrok od nieznanego młodzieńca w bieli.

Nowym obiektem ich zainteresowania nie był król, lecz królowa. Każda z nich chciałaby być do niej podobna. Artur wziął ją za żonę, gdy była bardzo młoda. Teraz, mimo że od ślubu upłynęło już sporo czasu, cudem, o jakim marzy każda kobieta, nadal taką pozostała. Wyglądała jakby wciąż miała osiemnaście lat, podobnie jak giermkowie przybyli na ceremonię pasowania, którzy teraz wpatrywali się w nią jak w obraz, zapomniawszy zupełnie o swoich rówieśnicach. Nikt lepiej niż królowa Ginewra nie łączył w sobie cech dojrzałej kobiety i młodej dziewczyny. Jasnowłosa, o śniadej cerze, była zarazem silna i delikatna, łagodna i władcza, po-

ważna i odpowiedzialna jak żona króla oraz radosna i bez troska jak księżniczka. Jej mądrość, maniery i naturalny wdzięk budziły ogólny podziw. Panny i dziewczęta marzyły, żeby choć trochę upodobnić się do swej pani, którą darzyły szczerym uwielbieniem, bez cienia zazdrości.

Nie tylko panny nie mogły oderwać wzroku od pięknej Ginewry. Wszyscy przybyli na uroczystość mężczyźni, od dojrzałych rycerzy po młodych giermków, wpatrywali się w nią z nieukrywanym zachwytem. W chwili pojawienia się królewskiej pary w komnacie zapadła głęboka cisza. Król Artur, najlepszy i najdzielniejszy władca od czasów Pendragona, budził powszechny szacunek. Giermkowie przybyli na dwór bardzo licznie, przyjęcie bowiem do stanu rycerskiego przez tak wybitnego władcę było największym marzeniem każdego młodzieńca. W dodatku uroda królewskiej małżonki sprawiała, że wszyscy chcieli dorównać Arturowi i zasłużyć na miłość kobiety takiej jak ona.

Gowen zawiadomił króla o przybyciu na dwór Damy z Jeziora. Opisał mu, jak wystawnie i elegancko prezentował się jej orszak, wspominał też o wrażeniu, jakie wywarł w Kamelocie towarzyszący jej młody giermek, którego pragnęła przedstawić królowi do pasowania na rycerza. Artur wiele słyszał o Wiwianie i jej tajemnej mocy. Wiedział, że Merlin, który na początku panowania był jego nieocenionym doradcą, z miłości do niej stracił wolność. To za jej sprawą króla opóścił przyjaciel, któremu zawdzięczał tron i pierwsze zwycięstwa.

Dama z Jeziora budziła w nim szacunek zabarwiony jednak pewną obawą, dlatego właśnie od niej rozpoczął ceremonię powitania gości. Nie była jego poddaną ani nieprzyjaciółką, lecz kobietą potężną i niezależną, w dodatku znającą czary. Jako jedynej na świecie udało się jej usidlić i pokonać



Merlina zwanego synem demona. Artur, będąc mądrym władcą wiedział, że, aby być wielkim królem nie wystarczy wygrywać wojen i zwyciężać wrogów na polu walki, trzeba również być przebiegłym dyplomatą i umieć zjednywać sobie potencjalnych przeciwników.

- Pani - zwrócił się do Wiwiany - wielka to dla mnie radość, że zechciałaś zaszczycić nas swoją obecnością. Wiem od Gowena, że przywiozłaś z sobą wychowanka. Czy to ten młodzieniec?

Ubrany na biało giermek wyprężył się jak struna, ukradkiem spoglądając w stronę królowej. Choć w swym zachwycie nie był odosobniony, zauważył, że Ginewra jego jednego raczyła wyróżnić swoim spojrzeniem.

- Giermek, którego tu widzisz, panie - rzekła Wiwiana, będzie ci służył jak nikt dotąd.

- Mam w swoim otoczeniu wielu wybitnych rycerzy - odpowiedział Artur. - Da Bóg a z biegiem czasu również on dorówna im sprawnością i męstwem.

- Nie trzeba czekać - zapewniła go Dama z Jeziora. - Już dziś hart jego ducha, męstwo i umiejętności nie mają sobie równych.

Król - nieco zaskoczony stanowczym tonem swojej rozmówczyni - uśmiechnął się i położył dłoń na ramieniu Chłopca.

- Pani Wiwiana wysoko cię ceni. Powiedz, jak się nazywasz i z jakiego wywodzisz się rodu?

- Nie odpowie ci, panie, ponieważ nie zna swojego imienia ani swojej rodziny. Dopiero służąc tobie, dowie się, kim jest.

- Wyjaśnij mi, co to za tajemnicza historia.

- Nie mogę, królu. Powiem tylko, że wynika ona z pewnej przepowiedni, którą wyjawiał mi Merlin.

Zdumiony Artur przez chwilę spoglądał z jeszcze większą ciekawością na młodego towarzysza Wiwiany, po czym skinął na Gowena.

- Zabierz tego giermka i przygotuj go do jutrzejszej uroczystości - rozkazał, po czym ściszył głos i spytał:

- Co o nim sądzisz?

- Prawie nic, panie. Mimo to uważam, że jeśli w boju okaże się równie waleczny, jak się zapowiada, zyskasz jednego z najznamienitszych rycerzy, jakich kiedykolwiek miałeś - rzekł z przekonaniem Gowen.

- Ty też tak myślisz, pani? - zwrócił się król do małżonki.

Ginewra spuściła wzrok.

- To bardzo możliwe - odpowiedziała cichutko.

Przez cały wieczór na ulicach i placach Kamelotu mówiono tylko o tajemniczym bezimiennym giermku, przybyłym do miasta w towarzystwie Damy z Jeziora. Jego osoba wywarła na wszystkich wielkie wrażenie. Tymczasem on, w towarzystwie Gowena, udał się na wieczerzę. Podczas posiłku królewski siostrzeniec zadawał chłopcu liczne pytania dotyczące dzieciństwa, czasu spędzonego u Damy z Jeziora, wychowania i ulubionych rozrywek, Chłopiec zaś szczerze i ochoczo na nie odpowiadał. Ze szczególnym entuzjazmem wspominał konne wyprawy na otaczające zamek Wiwiany wzgórza i polowania w leśnych ostępach wokół Jeziora. Gowen, od wczesnej młodości zapalony myśliwy, z ciekawością słuchał barwnych opowieści nowego znajomego i wkrótce poczuł do niego nieskrywaną sympatię.

-Wyberzemy się razem na łowy. Zobaczysz, w lasach Logru nie brak dzików, saren i innej zwierzyny.

- Polowanie w twokn towarzystwie sprawi mi wielką radość, panie. Jednak przede wszystkim pragnę, by jak najszybciej móc walczyć u twego boku.

Rozbawiony jego zapalem Gowen pokręcił głową.

- Wkrótce przyjdzie na to pora. Przed miesiącem wróg podstępnie najechał północne rubieże naszego królestwa i wziął w niewolę dziesiątki mężczyzn, kobiet i dzieci. Zaraz po zakończeniu uroczystości świętojańskich nasi rycerze wyruszą, by ich odbić.

- Kim jest śmiałek, który odważył się zaatakować ziemie naszego króla i pojmać jego poddanych?

- To Malagant, syn Elfrydy z Gorre. Przed kilkoma laty służył w Kamelot jako giermek w drużynie seneszala Keu. Widząc, że dowódca nie może poradzić sobie z jego pychą i brutalnością, król Artur, wyrozumiały zazwyczaj i cierpliwy, postanowił go odprawić.

Młody giermek uderzył pięścią w stół.

- Nikczemnik! Wyzwę go na pojedynek!

Gowen roześmiał się głośno.

- Spokojnie, chłopcze. Nowo pasowani rycerze muszą najpierw sprostać wielu próbom. Malaganta nie będzie już wśród żywych, kiedy uzyskasz prawo, by się z nim zmierzyć.

Gowen nachylił się nad stołem do swojego towarzysza.

- Jeden tylko rycerz zdolny jest pokonać Malaganta. Ja nim jestem! - oświadczył z dumą półgłosem i z przymrużeniem oka dodał: - Wierz mi, mój drogi, skromność jest wrodzoną cechą mojego charakteru.

Po zapadnięciu zmroku wstali od stołu i udali się do kościoła. Zgodnie z tradycją młody giermek spędził tam całą

noc na czuwaniu. O świcie Gowen, który sprawował nad Chłopcem pieczę, zaprowadził go do sypialni.

- Odpocznij, prześpij się trochę, a potem przygotuj na południową sumę. Będziesz jednym z członków królewskiego orszaku.

Ledwo Gowen wyszedł z sypialni, zmęczony giermek zapadł w głęboki sen. Śniła mu się dziwna scena: ubrany w lśniącą zbroję, z białą tarczą ozdobioną dwiema szkarłatnymi taśmami, czekał na pasowanie na rycerza. Wreszcie król zbliżył się do niego i już miał wręczyć mu miecz, gdy nagle jego oblicze zmętniało, a w jego miejscu ukazała się nieskazitelnie piękna twarz Ginewry.

- Dowiedziałeś się czegoś o protegowanym Damy z Jeziora? - zapytała królowa Gowena, który na jej wezwanie wszedł do komnaty. Posadzkę wyścielała warstwa świeżej, wonnej słomy. Rycerz przeszedł po niej, stanął przed swoją panią i pokłonił się dwornie. Ginewra siedziała na brzegu łoża i zniecierpliwiona czekała na odpowiedź.

-Wydaje mi się, pani, że spełnia wszelkie warunki, by król mógł pasować go na rycerza.

- W to nie wątpię - rzekła oschłym tonem. - I nie o to pytam - dodała. - Czy powiedział coś, co pozwoliłoby nam poznać jego imię lub wyjaśnić tajemnicę jego pochodzenia?

-Ani słowa, pani. Wychował się na dworze Damy z Jeziora. Uwielbia grać w szachy i polować. Rozmawialiśmy o koniach, dzikach i sarnach.

- Nigdy nie wydoroslejesz, Gowenie - skarciła go łagodnie. - W głowie ci same przyjemności.

Zraniony w swej dumie rycerz spuścił głowę.

-Wybacz mi, pani. Nie wiedziałem, że życzysz sobie, bym wypytywał go o imię i pochodzenie.

- Nie zastanawia cię, dlaczego Wiwiana przywiozła go tutaj? Czy to nie dziwne, że oddaje go królowi na służbę, a nie chce wyjawić, kim naprawdę jest?

- Obawiasz się jej, pani?

- Mam swoje powody. Pamiętasz, jaki los zgotowała Merlinowi? Kto wie, czy tym razem nie zamierza wciągnąć w pułapkę króla Artura.

Gowen zamyślił się i po chwili rzekł:

- Sądzę, że jeśli nawet Dama z Jeziora coś knuje, ten chłopak niewiele jej pomoże. Jest prawy, szczerzy, pełen dziecięcego zapału, który będziemy musieli jakoś okiełznać.

- Dlaczego w takim razie ukrywa przed nami swoje imię?

Gowen wzruszył ramionami.

- Widocznie sam go nie zna lub też jakaś przysięga nakazuje mu zachować je w tajemnicy.

Ginewra wstała i zrobiła kilka kroków. Mocny zapach słomy wypełnił komnatę.

- Nie martw się o króla, pani - uspokajał ją Gowen.

Zatrzymała się w pół kroku i niczym pogrążona we śnie, spojrzała na niego obcym wzrokiem.

Zakłopotany rycerz powtórzył:

- Nie ma powodów do niepokoju.

Królowa zdawała się powracać do rzeczywistości.

- Jeśli się martwię, to nie o króla - wyznała.

Ruchem ręki nakazała Gowenowi, by zostawił ją samą, i podeszła do okna wychodzącego na zamkowe ogrody. Od samego rana prześladowała ją wizja, jaką miała we śnie.

Przyśnił się jej ognisty miecz, który trzymała w dłoniach. Miecz ten zranił jej palce. Dłonie krwawiły, lecz nie czuła najmniejszego bólu. Kiedy podawała go nieznanemu giermkowi, poczuła rozkoszne podniecenie, uczucie, jakiego wcześniej nie знаła.

### 3. "Kiecz

W czasie uroczystej sumy Chłopiec był wyjątkowo roztargniony i nerwowy. Wspominał dziwny sen i zastanawiał się, jakie może mieć on znaczenie. Wierzył w znaki, wróżby i przepowiednie, nic więc dziwnego, że czuł niepokój. Zastanawiał się, dlaczego we śnie nie król wręczył mu miecz, lecz królowa.

Po zakończeniu ceremonii kościelnej posłusznie poszedł za Gowenem do zamku. Zgodnie z wymogami pasowania doświadczony rycerz pomagał młodemu giermkowi zakładać wszystkie części zbroi i przystroić się godnie od stóp do głów. Chłopiec prezentował się doskonale. Miał na sobie lekki pancerz ze lśniących srebrnych lusek, śnieżnobiały kaftan i taką samą pelerynę ze szlachetnego sukna, a ramię osłaniał białą tarczą z dwiema szkarłatnymi szarfami.

Gowen rozłożył ręce z podziwu. Z przekonaniem zapewnił młodego towarzysza, że zaprezentuje się świetnie i zyska powszechne uznanie. Chłopiec pochylił się, by zabrać z sobą miecz, który miał otrzymać od króla na znak przyjęcia do stanu rycerskiego, lecz zaskoczył go głos Wiwiany.

- Pozwól, że ostatni raz cię uściskam, mój piękny królewiczu - powiedziała ubrana we wspaniałą białą szatę podbitą popielicami Dama z Jeziora, która wśliznęła się niepo-

strzeżenie do izby. Chłopiec objął ją serdecznie ramieniem, lecz gdy pocałowała go w usta, poczuł dziwną przykrość i gwałtownie się odsunął. Zdał sobie sprawę, że odkąd ujrzał królową Ginewrę, Wiwiana przestała być dla niego ideałem kobiecości. Żadna dama ani panna nie wytrzymała porównania z królewską małżonką.

-Wiem, mój królewiczu, co dzieje się w twoim sercu. Nie martw się, wszystko będzie dobrze - szepnęła czule. Dzisiejszy dzień zadecyduje o twojej przyszłości. Przeżyj go tak, jak powinienes.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Dama z Jeziora podeszła do Gowena i wzięła go pod ramię.

- Powierzam ci tego giermka, panie. Król na niego czeka.

Gotowy do uroczystości pasowania Chłopiec zbliżył się do nich i razem wyszli na korytarz. Przyszły rycerz był zamysłony. W lewej dłoni trzymał tarczę, prawa - była pusta.

Dwudziestu okazałych giermków w lśniących zbrojach i paradnych pelerynach stało w szeregu na środku wielkiej komnaty. Wszyscy wyposażeni byli w tarcze herbowe i barwy, jakie od tej pory prezentować mieli na turniejach i w boju. Jak przystało na synów najznamienitszych szlacheckich rodów, każdy przeszedł odpowiednie przygotowanie do stanu rycerskiego. Wychowywany najpierw przez piastunkę w bliskim kontakcie z matką i jej dworkami, po ukończeniu siedmiu lat przechodził pod opiekę ojca. Towarzyszył mu wszędzie, z wyjątkiem pola bitwy. Od niego i jego drużyny uczył się dosiadać konia, polować. Pod jego okiem zdobywał sprawność fizyczną, ćwiczył się w strzelaniu z łuku

i władaniu mieczem. W wieku dwunastu lat trafił na dwór do najwyższego suwerena, króla Artura, gdyż tylko tu mógł się nauczyć kodeksu rycerskiego i poznać maniery potrzebne prawdziwemu rycerzowi.

W służbie u króla wszyscy obecni dziś na ceremonii musieli wykazać się pracowitością, dyscypliną i milczącym posłuszeństwem. Zdobyli też ogładę i umiejętności przydatne na dworze. Uczyli się śpiewu, tańca i dwornego zachowania wobec dam. Każdy miał opiekuna w osobie doświadczonego rycerza, którego naśladował i wypełniał jego rozkazy. Podczas turniejów i w czasie kampanii wojennych czuwał nad jego uzbrojeniem i utrzymywał je w należytym stanie. Giermkom nie przysługiwało prawo bezpośredniego udziału w walce. Śledzili ją jedynie z daleka jako obserwatorzy. Każdy niecierpliwie czekał na nadejście tego wielkiego dnia - pasowania. Odtąd i on dołączy do grona rycerzy swego króla i będzie mógł bić się u jego boku.

Wychowanek Damy z Jeziora przyszedł ostatni i ustawił się na końcu szeregu. Z całego grona on jeden nie był giermkim w służbie Artura i nie odbył regularnego szkolenia przewidzianego kodeksem rycerskim. Godząc się pasować go na rycerza, król uczynił wielki zaszczyt Chłopcu i jego przybranej matce. Świadomy tego giermek wiedział, że musi pokazać, iż jest lepszy od innych. Gotów był podjąć to wyzwanie i nie mógł doczekać się chwili, gdy przyjmie miecz z rąk króla i będzie mógł wiernie mu służyć. Rytuał przyjmowania giermków w szeregi rycerzy był prosty i z pozoru brutalny. Artur podchodził kolejno do każdego z nich, a wówczas pretendent do stanu rycerskiego klękał na kolano. Wtedy król wypowiadał tradycyjną formułę: „W imię Boga pasuję cię na rycerza” i wymierzał policzek. Jedyny



cios, jaki rycerz mógł przyjąć i pozostawić bez odpowiedzi. Odtąd jego obowiązkiem będzie pomścić każdą, nawet najmniejszą zniewagę.

Kiedy Artur stanął wreszcie przed Chłopcem, ten przykleknął i pokornie pochylił głowę. Na słowa „w imię Boga pasuję cię na rycerza” serce zabiło mu mocno w piersi. Król wymierzył mu cios silniejszy niż innym giermkom, lecz on nawet nie drgnął, jakby wcale nie poczuł bólu. Wśród obserwujących uroczystość panien rozległ się szmer podziwu. Artur wyciągnął ręce i osobiście podniósł dzielnego młodzieńca z kolan.

- Oto uczyniłeś pierwszy krok, by pewnego dnia zająć miejsce przy Okrągłym Stole. Czy jesteś teraz gotowy wyjawić mi swoje imię?

- Panie mój i królu, mogę jedynie powtórzyć to, co powiedziała ci Dama z Jeziora: nie znam imienia swojego ani moich przodków.

Artur przyglądał mu się chwilę w skupieniu.

- Trudno byłoby mi uwierzyć, że kłamiesz.

- Ja nie kłamię, panie.

Król podszedł do królowej, która stała nieco z tyłu, na podwyższeniu usłanym świeżą, zieloną trawą. Nadszedł czas, by zakończyć uroczystość wręczeniem każdemu z nowo pasowanych rycerzy przygotowanych dla nich wcześniej mieczy.

Młodzieniec napotkał spojrzenie Ginewry. Odczytał w nim wyzwanie, lecz również troskę i niepokój. Natychmiast odwrócił wzrok, gdyż przypomniał sobie sen, w którym królowa wręczała mu miecz.

„Miecz” - pomyślał i pobladł jak płótno. Rozkojarzony niespodziewaną wizytą Wiwiany zapomniał zabrać go z sobą. Bez wahania opuścił szereg. Nie mógł znieść myśli, że

król podejdzie do niego z pustymi rękami. Kątem oka dostrzegł, że dziwnie rozbawiona Wiwiana przygląda mu się z drugiego końca sali. Torując sobie drogę wśród rycerzy asystujących królowi podczas ceremonii poczuł, że ktoś chwytą go mocno za ramię. To Gowen.

—Dokąd idziesz? - zapytał.

—Zapomniałem zabrać miecz. Zaraz wrócę.

—Niedobrze. To zły znak.

—Wybacz, panie.

—Pospiesz się.

Bezimienny giermek wbiegł po schodach na piętro. Na początku pobłądził w plątaniu korytarzy. Zamek królewski był o wiele większy niż rezydencja Wiwiany. Kilka razy wracał w to samo miejsce, aż wreszcie napotkany strażnik wskazał mu drogę.

Wszedł do izby. Stalowe ostrze lśniło w promieniach słońca. Szybkim ruchem chwycił miecz i popędził w dół. Kiedy wbiegł na szerokie kamienne schody prowadzące do wielkiej sali, zamarł zdumiony niezwykłym widokiem. Skłębiony tłum strażników na próżno próbował powstrzymać intruza w czarnej zbroi, który na czarnym koniu forsował drzwi.

#### 4. \0>?z\Danie

— Królu Arturze, kiedy widzieliśmy się ostatni raz, miałem piętnaście lat. Minęło sporo czasu, lecz myślę, że mnie pamiętasz. Gdybyś nie wyrzucił mnie ze swojego dworu, byłbym dziś tu, w gronie nowo pasowanych rycerzy.

- Malagant! — powtarzane z ust do ust imię czarnego rycerza pobrzmiwało przez chwilę złowieszczo w wielkiej sali.

- Tak, to ja, Malagant, księżę Gorre! - powiedział z dumą, unosząc w górę miecz. Ten sam, którego służbą pogardziłeś, królu. Ten sam, którego okryłeś hańbą. Ten sam wreszcie, którego nie chciałeś uczynić swoim rycerzem!

Czarny rumak nerwowo przebierał nogami. Podkute kopyta uderzające o kamienną posadzkę krzeswały snopy iskier. Na ten widok panny i damy dworu cofnęły się w głąb sali. Starsi i młodzi rycerze skupili się przy królu gotowi osłonić go przed Czarnym Rycerzem, który jednak opanował początkowy gniew i powściągnął konia. Zachowując zimną krew, mówił głośno i dobitnie, starannie cedząc słowa. Z odkrytą głową i kruczoczarnymi włosami opadającymi swobodnie na ramiona zdawał się tworzyć z wierzchowcem jedną potężną, przerażającą całość. Oczy w dwu różnych kolorach nadawały jego twarzy nieprzenikniony wyraz. Oko lewe, o ciepłej barwie orzecha, było spokojne i zamyślane, prawe natomiast, ołowianoszare jak niebo przed burzą, kipiało gniewem i pragnieniem zemsty.

- Czego chcesz? - zapytał groźnie Artur.

- Chcę - Malagant zrobił przerwę i zawiesił głos. - Chcę udowodnić ci, królu Arturze, że odsuwając mnie od siebie, popełniłeś życiowy błąd. Chcę zemścić się na tobie i twoich wasalach za moją poniżoną dumę.

Czarny Rycerz zastygł w bezruchu. Ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy, kiedy niskim, spokojnym, lecz wyrażnie prowokacyjnym tonem obwieścił:

- Królu Arturze, najechałem twoje ziemie i wziąłem w niewolę wielu twoich poddanych. Wiesz o tym doskonale,

lecz nie masz siły i odwagi, by ich uwolnić, rzucam ci więc wyzwanie.

W sali dał się słyszeć pomruk oburzenia. Gowen i stojący obok niego seneszał Keu wystąpili przed szereg, trzymając dłonie na rękojeściach mieczy. Malagant spojrział na nich z uśmiechem pełnym pogardy i rzekł:

- Królu, jeśli znajdzie się tu choć jeden rycerz zdolny przyjąć me wyzwanie i pokonać mnie w pojedynku, przysięgam uroczyście, że twoi poddani wrócą cali i zdrowi. Pod jednym wszakże warunkiem.

- Mów, słucham cię - powiedział Artur.

- Rycerz, który odważy się ze mną zmierzyć, ma przybyć do Północnego Lasu za miastem w towarzystwie królowej Ginewry. Jeśli go pokonam - a jestem pewny, że tak się stanie - zabiorę ją z sobą do Gorre.

Po tych słowach Malagant spał konia ostrogami i ruszył do drzwi wyjściowych zadowolony z wrażenia, jakie wywarła jego mowa na obecnych. W sali panowała kompletna cisza. Nawet Gowen zdjął dłoń z rękojeści miecza.

- I co? Nie ma chętnych - zapytał Czarny Rycerz drwiąco. W gronie tylu znamienitych rycerzy nie znajdzie się nikt, kto miałby odwagę stanąć ze mną do walki?

Stojąc na schodach, młody Bezimienny Rycerz z oburzeniem obserwował rozgrywającą się poniżej scenę. Stopniowo ogarniała go wściekłość, jakiej nie czuł od pamiętnego dnia, gdy nauczyciel Karadok uderzył jego charta. Uważnym spojrzeniem ogarnął całą salę. Istotnie, Czarny Rycerz miał rację. Wyglądało na to, że nikt ze zgromadzonych nie zamierza podjąć jego wyzwania. Nie rozumiał, jak to możliwe. Czyżby sławni i powszechnie szanowani rycerze nie zdawali sobie sprawy, że zachowują się jak tchórze?

Z mieczem w dłoni ruszył w dół gotowy rzucić się na Malaganta. Nie zastanawiał się, co robi. Wstyd i złość sprawiły, że w jednej chwili zatracił jasność umysłu i spojrzenia. Kiedy był już blisko grupy rycerzy otaczających króla i szykował się, by odpowiedzieć na wyzwanie przeciwnika, ktoś starym głosem zawołał:

- Ja będę z tobą walczył. Obronię honor króla i uratuję królową.

Seneszał Keu uczynił krok naprzód, wyprężył zgarbione skutkiem wieku i stoczonych walk plecy i dobył miecza. Bezimienny, zaskoczony, z bijącym sercem i przyspieszonym oddechem czekał, co będzie dalej. Miał trochę za złe seneszałowi, że go uprzedził. Po chwili jednak zastanowił się, podszedł do Gowena i powiedział mu szeptem do ucha:

- Oto odważny i godny szacunku człowiek. Nie rozumiem, dlaczego ty, panie, nie zgłosiłeś się do walki.

Gowen zmarszczył brwi i pokiwał głową.

- Nie wiesz, co mówisz. Keu jest odważny, ale głupi. Dał się złapać w pułapkę jak dziecko.

- W pułapkę? Jak to? Czyżbyś sądził, że walka nie będzie uczciwa?

- Popatrz na seneszala! Czy walka takich przeciwników może być uznana za uczciwą?

- Ktoś przecież musiał odpowiedzieć na wyzwanie Malaganta.

- Skoro nic nie rozumiesz, lepiej zamilcz i wiedz, że nawet ja nie ośmieliłbym się podjąć takiego ryzyka.

Teraz młody rycerz istotnie przestał cokolwiek rozumieć.

- Boisz się, panie? Przecież podejmowanie ryzyka jest obowiązkiem rycerza.

Zdenerwowany Gowen zbliżył twarz do twarzy młodzieńca.

- Obowiązkiem rycerza jest chronić królową, a nie wydawać ją na pewną niewolę.

Bezimienny nie zdążył odpowiedzieć, gdyż od drzwi rozległ się głos Malaganta:

- Widzę seneszalu, że od czasu, gdy byłem twoim giermkiem, wcale się nie zmieniłeś i bardzo mnie to cieszy.

Roześmiał się głośno.

- Czekam w Północnym Lesie na ciebie Keu i na królową! - zawołał i popędził galopem przed siebie.

Nigdy wcześniej Bezimienny Rycerz nie czuł się równie zdumiony, jak na widok sceny, której był świadkiem po odjeździe Malaganta.

Spodziewał się, że nastąpi poruszenie, że rycerze pośpiesznie będą się starali przygotować Keu do decydującego o losie królowej, uwięzionych poddanych i honorze ich wszystkich pojedynku. Tymczasem głęboką ciszę w sali przeżywał jedynie płacz panien i rzadkie słowa pocieszenia. Rycerze zatroskanym wzrokiem spoglądali na starego seneszala, na króla i Ginewrę. Sam Keu, stojący samotnie na środku wyglądał tak, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę ze zobowiązania, jakie na siebie przyjął. Przytłoczony jego ciężarem wydawał się jeszcze starszy i bardziej przygarbiony. Rozglądał się niepewnie wokół siebie: nikt oprócz młodego nieznajomego rycerza nie śmiał spojrzeć mu w oczy. Zasmucony seneszal spojrzął na króla.

Artur milczał posepnie. Z jego zmienionej twarzy trudno było odczytać, czy bardziej jest zmartwiony, czy zagniewany. Na chwilę zamknął oczy. Widać pomogło mu to zapanować nad emocjami, kiedy je bowiem otworzył, znów był sobą.

- Zbliź się, Keu.

Widząc wahanie starca, wyciągnął do niego ręce. Ten wielkoduszny gest sprawił młodego rycerza w jeszcze większy podziw dla władcy. Keu padł królowi do nóg i nisko pochylił głowę.

- Wybacz mi, panie. Nie wiedziałem, co robię.

Artur pomógł mu wstać z kolan i powiedział łagodnie:

- Uczyniłeś to, co dyktowało ci serce.

Keu pokiwał przecząco głową i rzekł:

- To nie serce, panie, tylko natura. Zawsze byłem w gorącej wodzie kąpany. Postarzałem się, lecz nadal pozostałem głupcem.

- Seneszalu Keu, znam cię, odkąd byłem dzieckiem. Przecież mnie wychowywałeś. Wszyscy cię znamy. Nic nie poradzę na to, że masz gwałtowną naturę. Malagant był przewidujący.

- Podszedł mnie i wywiódł w pole. Dobrze wiedział, że tylko taki głupiec jak ja zdecyduje się podjąć jego szalone wyzwanie.

- Tak, podszedł ciebie i nas wszystkich. Nie czas jednak teraz o tym rozmyślać. Już za późno, musisz stoczyć ten pojedynek.

Seneszal chciał coś powiedzieć, lecz król przerwał mu ruchem ręki.

- Dość słów. Każ osiodłać konia i załóż zbroję. Królowa wkrótce będzie gotowa.

Keu zwrócił twarz ku Ginewrze, spojrzął na nią przepraszająco, pochylił głowę i bijąc się w piersi, oświadczył:

- Jestem starym osłem, pani, lecz przysięgam, że oddam, życie, by cię obronić. Oby Bóg dał mi siłę równą mojej głupocie.

- Ufam ci - odpowiedziała szczerze Ginewra i w towarzystwie płaczących dworek udała się w stronę schodów. Przechodząc obok Bezimiennego, spojrziała na niego przelotnie. Zdumiony i wzruszony młodzieniec odczytał w jej oczach pytanie: „Kim jesteś? Po co tu przybyłeś?”. Chciał zapewnić ją o swym oddaniu, lecz nie zdążył. Odwróciła głowę, jakby nie oczekując odpowiedzi, i zdecydowanym tonem rozkazała pannom, by natychmiast przestały szlochać. Gdy przyglądała się, jak idzie po schodach, podeszła do niego Wiwiana.

» - Co sądzisz o dzisiejszym dniu? - zapytała szeptem. - Prawda, że był wyjątkowy? Uprzedzałam, że cię zaskoczy.

- Powiedz, co mam teraz robić.

- Sam musisz podjąć decyzję, wszak jesteś już rycerzem.

- Niezupełnie. Król nie wręczył mi miecza.

- Uczestniczyłeś w ceremonii pasowania, a miecz...

Dama z Jeziora uśmiechnęła się tajemniczo.

- Co z mieczem? Powiedz! - zapytał Bezimienny.

- Jesteś mądrzejszy od starego seneszała.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Rycerz służy swoim mieczem temu, kto mu go wręczy po ceremonii pasowania.

- Wiem i nadal nie rozumiem.

- Więc pomyśl, mój piękny królewiczu. Nie marnuj czasu.

Pogłaskała go czule po policzku i odeszła. Jej tajemnicze słowa wprawiły młodego rycerza w osłupienie. Stał przez dłuższy czas w bezruchu, po czym uniósł wzrok ku drzwiom na piętrze, w których przed chwilą zniknęła Ginewra.



## 5. Karzeł z \Oózkciem

- Czy ktoś wie, gdzie podział się Bezimienny Rycerz? - zapytał Gowen.

Konie osiodłane przez stajennych chłopców stały gotowe do wymarszu. Iwen włożył stopę w strzemień, dosiadł konia i z wysokości siodła odpowiedział:

- Zniknął gdzieś, podobnie jak Dama z Jeziora.

Siedmiu rycerzy krzątało się wokół. Jedni mieli na sobie zbroje, inni - podróżne kaftany. Trzy godziny minęły od czasu, gdy seneszał Keu wyruszył z królową Ginewrą do Północnego Lasu. Pojedynek na pewno został już rozstrzygnięty. Gowen poprosił króla Artura, by zezwolił mu jak najszybciej pojechać na miejsce i dowiedzieć się czegoś o przebiegu walki.

- Panie, nie powinniśmy dłużej czekać. Uszanowaliśmy regulamin pojedynku, gdyby to jednak ode mnie zależało...

- Co chcesz powiedzieć, drogi siostrzeńcu?

- Uważam, że są okoliczności, w których można działać wbrew obowiązującym regułom.

- Ty możesz, lecz ja nigdy - odparł stanowczo Artur. - Jestem królem Logru i w każdej, najbardziej nawet bolesnej sytuacji muszę przestrzegać kodeksu honorowego.

- Nawet gdybyś miał stracić królową?

- Zamilcz, Gowenie! Jeśli Malagant uprowadzi Ginewrę, mój ból nie będzie miał sobie równych, lecz nie mam wyboru. Prawo jest prawem i nie mogę go łamać, działa bowiem wtedy na moją niekorzyść.

- Wybacz, panie. Masz rację.

- Nie mam do ciebie żalu. Powiedziałeś szczerze to, co czujesz.

- Pozwól mi zatem postąpić tak, jak dyktuje mi sumienie. Malagant stoczył bez przeszkód walkę, na której mu zależało. Niech więc teraz będzie mi wolno z kilkoma rycerzami pojechać za nim, dopaść go i odbić królową.

- Jesteś zatem pewien, że Keu został pokonany?

- Jeśli jakimś cudem zwyciężył, przyprowadzę go z królową na zamek, by uroczyście uczcić jego triumf. Chciałbym czym prędzej wyruszyć w drogę.

- Zatem jedź. Ja nie mogę ścigać Malaganta, gdyż obowiązuje mnie umowa: jeśli zwycięży, zabierze Ginewrę do Gorre.

- Rozumiem, królu. Jestem świadomy hańby, jaką mogę się okryć, naruszając zasady umowy. Chętnie ją na siebie przyjmę i obiecuję, że będę ścigał Malaganta do skutku, jak dzikie zwierzę.

Rycerze z osiodłanymi rumakami czekali jedynie na decyzję króla, tak więc po chwili Gowen z Iwenem i pięcioma innymi towarzyszami wyruszyli z Kamelotu i galopem popędzili w stronę Północnego Lasu. Żałowali, że w jego drużynie zabrakło młodego rycerza bez imienia. Krótki czas wystarczył, by zapalali do niego szczerą sympatią i bardzo pragnęli zobaczyć go w działaniu, władającego mieczem - tym samym, którego w roztargnieniu zapomniał przynieść z sobą na uroczystość pasowania. Gowen tymczasem nie dojrzał go nigdzie, ani w sali, ani na dziedzińcu. Był rozczarowany, czuł się niemal zdradzony.

Nie było jednak czasu, by zastanawiać się nad tym dłużej. Należało jak najprędzej odnaleźć seneszała Keu. Myśl o zuchwałości Czarnego Rycerza i nierozsądnym zachowaniu starca napawała go gniewem. Keu, syn Antora, zajmował się wychowaniem Artura i król traktował go jak starsze-

go brata. Miało to niewątpliwy wpływ na jego pobłażanie dla pochopnej decyzji seneszala, która z trudem dawała się usprawiedliwić. Gowen wprawdzie również szanował zasady kodeksu rycerskiego i przysięgał, że będzie ich przestrzegał, zadawał sobie jednak pytanie, czy należy je stosować wobec kogoś tak brutalnego i pozbawionego skrupułów jak Malagant, szczególnie w sytuacji, gdy jego ofiarą mogła być królowa.

I nie uważał, by było to uzasadnione.

Zbliżając się do Północnego Lasu, zobaczyli wybiegającego z gęstwiny wierzchowca z siodłem bez jeźdźca. Iwen dopadł go przy strumieniu i chwycił za cugle.

-To koń Keu - krzyknął do towarzyszy. Ma rozcięte siodło i krew na strzemionach!

Nie zważając na konia, Gowen wjechał w gęstwinę. Gałęzie cięły mu twarz, ale nie czuł bólu. Kilka razy wołał seneszala po imieniu, lecz nie uzyskał odpowiedzi. W pewnej odległości dostrzegł światło przenikające przez gałęzie. Domyślając się, że trafi na polanę, pewnie skierował konia w tamtą stronę i wkrótce dotarł do celu.

Trawa była zdeptana, wyraźnie zorana kopytami. Na ziemi w nieładzie leżały połamane drzewce kopii i kawałki drewnianej tarczy. Gowen zeskoczył z konia. W błękitnym cieniu zobaczył leżącego mężczyznę opartego plecami o pień. Poznał, że to Keu i jednym susem znalazł się obok niego.

Stary rycerz nie miał hełmu na głowie. Na siwej brodzie widniały ślady krwi, a w boku tkwiło ostrze kopii. Gowen przyklęknął obok rannego.

- Czy król raczy wybaczyć mi moją głupotę? - zapytał szeptem Keu.

- Oszczędzaj siły, seneszalu. I nie powtarzaj, że jesteś głupi, bo jeszcze w to naprawdę uwierzemy. Co z Malagantem? Dawno odjechał?

- Tak, dość dawno. Rozstrzygnął pojedynek pierwszym ciosem. Zobacz - powiedział zawstydzony i pokazał kawałek żelaza, tkwiący w boku.

- Królowa nie stawiała oporu?

- Nie dałaby rady. Dziesięciu zbrojnych czekało na Malaganta w lesie. Potężni, rudowłosi, mieli konie dwa razy większe od naszych.

W tej chwili na polanę dotarł Iwen z pozostałymi rycerzami. Gowen wskazał im rannego, a sam dosiadł swego rumaka.

- Iwencie, zajmijcie się seneszalem. Zawieźcie go do zamku.

-A ty?

- Podążę śladem Malaganta. Sądzę, że nie odjechał zbyt daleko.

- Nie jedź sam. Weź z sobą Ereka i Kligesę.

- To nie ma sensu. Drużyna Malaganta jest tak silna, że nawiązanie z nią walki nawet w siódmkę byłoby szaleństwem. Nie będę się ujawniał. Kiedy tylko król pozwoli, zbierz trzydziestu rycerzy i ruszaj za mną. Zostawię ci ślady. Zegnaj, Iwencie.

Malagant i jego ludzie nie zacierali za sobą śladów. Mieli prawdopodobnie trzy, cztery mile przewagi nad Gowe-

nem i - jak można było sądzić po odciskach kopyt, ich rozstawie i głębokości - szybko posuwali się do przodu. Doświadczony rycerz wiedział, że przed zapadnięciem zmroku na pewno ich nie dogoni, lecz nie bardzo się tym przejmował. W razie potrzeby gotów był tropić Malaganta aż do królestwa Gorre.

Letnie powietrze było ciepłe i przejrzyste, a dzień długi. Gowen postanowił, że nie zaprzestanie pościgu dopóty, dopóki nie zapadną kompletne ciemności. Liczył, że w ten sposób skróci odległość dzielącą go od ściganych, którzy - jak sądził - wcześniej zatrzymają się na nocleg.

Bezpiecznie przejechał przez bród na drugi brzeg rzeki i wspiął się na niewysokie wzgórze. Zjeżdżając w dół zbocza, ujrzał niespodziewanie białego wierzchowca leżącego w poprzek wąskiej ścieżki. Zdziwiony zatrzymał się i zsiadł z konia. Pokryte pianą zwierzę musiało paść ze zmęczenia. Jak długo jeździec zmuszał je galopu, że serce nie wytrzymało wysiłku? Jeździec... Gowen rzucił okiem na uprząż i siodło. Znał tego konia. Widział go, wkraczającego do Kamelotu w orszaku Damy z Jeziora.

Padłe zwierzę było jeszcze ciepłe. Gowen wstał i rozejrzał się dokoła. Brukowana miejscami droga opadała łagodnie w głąb doliny i ginęła w oddali.

- Szalencie! Nie mógł odejść daleko - pomyślał i wskoczył na siodło. Przynajmniej jego pewno dogonię szybko.

Istotnie, po niecałej mili dostrzegł jego białą sylwetkę. Uradowany, że się nie pomylił, przyspieszył kroku. Tożsamość rycerza, który zagonił na śmierć swojego konia, nie

rozczarowała go, podobnie jak odwaga, jakiej się po nim od początku spodziewał.

— Witaj, młody rycerzu bez imienia! Miło cię widzieć. Szukałem cię. Byłeś mi potrzebny, ale gdzie się zawieruszyłeś.

Biały młodzieniec odwrócił się gwałtownie, chwytając dłonią rękojeść miecza. Cały pokryty potem zdawał się być, jak jego rumak, u kresu sił. Zaskoczony rozpoznał Gowena.

—Co tu robisz, panie?

—Pozwól, że zadam ci to samo pytanie.

—Ścigam Malaganta.

—Ścigasz Malaganta? Pieszko?

—Mój koń padł niedawno z wyczerpania.

—Wiem, widziałem go. Czego się spodziewałeś, że nie dałeś mu chwili wytchnienia?

— Chciałem go dopaść.

—I może jeszcze pokonać, rzucając się samotnie na całą tę zgraję?

—Nie myślałem o nich, tylko o królowej i smutnym łosie, jaki ją czeka.

—Jesteś pewny, że brak ci tylko imienia? Obawiam się, że straciłeś też głowę.

Obrażony młodzieniec nerwowo poruszył ramionami, odwrócił się na pięcie i niewzruszony, szybkim krokiem, ruszył przed siebie.

— Wiesz, że przypominasz młodego Keu! Ten sam zapal

i ten sam brak rozumu!

Bezimienny, nie zwalniając kroku, odwrócił głowę i rzucił gniewnie:

— A wy, sławni rycerze Okragłego Stołu, przypominacie mi...

Gowen zbliżył się i zakrył mu usta dłonią.

- Uważaj, co mówisz, żebyś nie żałował.

Młodzieniec zatrzymał się gwałtownie. Jego oczy błyszczały z wściekłości.

- Oto słowa, jakie spodziewałem się usłyszeć, gdy Czarny Rycerz wyzwał was na haniebny pojedynek.

- Dlaczego więc sam ich nie wypowiedziałeś?

- Nie zdążyłem, Keu mnie uprzedził!

Gowen uśmiechnął się z niedowierzaniem. Młody rycerz zachowywał się tak, jakby seneszał pozbawił go należnego prawa.

Keu uratował ci życie.

- Nieprawda. Niepotrzebnie ryzykował swoim. Jestem pewny, że wygrałbym walkę i przyprowadził Ginewrę z powrotem na zamek.

- Duma cię gubi. Poza tym, skąd ta poufałość? Kto pozwolił ci nazywać królową po imieniu?

Ostatnie pytanie wystarczyło, by uciszyć Bezimiennego. Zakłopotany poczerwieniał, spuścił wzrok i w milczeniu ruszył przed siebie.

Gowen niespiesznie prowadził konia tuż za nim. Zgodnie z rycerską logiką powinien kazać mu zawrócić. Pościg za wrogiem nie był zadaniem odpowiednim dla nowo pasowanego rycerza. Czy jednak ten niezwykle chłopak odpowiadał jakimkolwiek prawom logiki? Królewski siostrzeniec uznał ponadto, że we dwóch będzie im rażniej.

Długi czerwcowy wieczór powoli dobiegał końca. Słońce schowało się za horyzont, a złota czerwona poświata roz-

świetlała zachodnie niebo. Bezimienny szedł, nie zwalniając kroku. Jego cień stawał się coraz dłuższy. Podążający tuż za nim jeździec kilkakrotnie próbował nawiązać rozmowę. Na próżno. Obrażony młodzieniec zawziął się tak mocno, że zdawał się nie słyszeć jego słów. Ponieważ nie odpowiadał nawet na żarty i zaczepki, zniechęcony Gowen dał wreszcie za wygraną.

Oczom znużonych wędrowców ukazało się wreszcie całym spore miasteczko. Jego dachy lśniły z daleka oświetlone czerwono-złotym blaskiem. Na pierwszym skrzyżowaniu natknęli się na karła z wózkiem, którym zwyczajowo obwożono winnych, skazanych na śmierć. Gowen starał się ominąć go szerokim łukiem, lecz jego towarzysz zatrzymał się i zapytał:

- Hej, ty? Nie wiesz, czy przejeżdżała tędy może grupa rycerzy?

Karzeł zatrzymał konia, przyjrzał się bacznie młodemu rycerzowi w białym, poplamionym świeżą ziemią kaftanie i rzekł:

- Może tak, może nie. Co to za jedni?
- Dziesięciu rudych olbrzymów i jeden czarny rycerz. Karzeł podrapał się po brodzie i patrząc kpiąco na pytającego, rzekł:
  - Nie, nie pamiętam.
  - Więc tędy nie jechali?
  - Jacyś jechali, ale nie pamiętam ich wyglądu. Zwróciłem uwagę tylko na kobietę.
  - To była dama, prawda? Piękna, wytworna, o złotych włosach, wyniosła i delikatna?
  - Karzeł zarechotał nieprzyzwoicie. Jego śmiech rozbrzmiewał na pustej ulicy jak skowyt psa.



- Zostaw go. Nie widzisz, że ten nikczemny prostak ba-  
wi się twoim kosztem? - zganiał towarzysza oburzony Go-  
wen.

- Hej, jasny panie - obruszył się karzeł. - Nie drwij  
z biedaka. Na tym świecie tacy jak ja też są potrzebni,  
w przeciwnym razie bowiem, kto prowadziłby wózek?  
Zresztą sposób, w jaki twój towarzysz opisał swą damę, był  
tak wzruszający, że nawet podle serce prostaka zmięкло  
w jednej chwili jak wosk.

- Dama, którą tak pięknie opisałeś, paniczu, to ta sama,  
którą widziałem - zapewnił.

- Była sama?

- O ile sobie przypominam, możliwe, że towarzyszyło jej  
dziesięciu rudych strażników i jeden czarny rycerz. Niestety,  
nie dam głowy, bo tak jak ty, wpatrywałem się tylko w nią -  
powiedział i roześmiał się jeszcze głośniej.

Młody rycerz oparł się nogą o dyszel wózka, chwycił kar-  
ła za gardło i krzyknął:

- Drażni mnie twój śmiech! Mów lepiej, kiedy ich wi-  
działeś i w którą stronę odjechali!

- Karzeł wytrzeszczył oczy, otwartymi ustami próbował  
zaczerpnąć powietrza, machając rozpaczliwie krótkimi rę-  
kami. Bezimienny zwolnił wreszcie uścisk.

- Dzięki, paniczu, że oszczędziłeś życie biedaka. Jesteś  
taki wspaniałomyślny (i taki zakochany - dodał konspiracyj-  
nym szeptem), że nie mógłbym ci nie pomóc. Wzruszyłeś  
mnie. Zmiękczyłeś twarde serce podłego karła. Powiem ci,  
dokąd tamci zbóje wywieźli twoją damę.

Wziął głęboki oddech i milcząc, przez chwilę poruszał  
głową.

- Czekam - rzekł zniecierpliwiony młodzieniec.

- Jeśli istotnie tak ci na tym zależy, piękny paniczku, chętnie zaprowadzę cię w tamto miejsce, jednak pod pewnym warunkiem.

- Spełnię każdy warunek. Mów, co mam robić.

- Karzeł przygryzł wargi, uśmiechnął się krzywo, spojrział na Gowena i drapiąc się po nosie, rzekł:

- Zaprowadzę cię w miejsce, gdzie przebywa twoja dama, jeżeli zgodzisz się wsiąść na mój wózek.

- Tylko tyle? Zdziwił się Bezimienny. Oczywiście, że się zgadzam.

- Skoczył ochoczo w stronę wózka i już miał do niego wejść, lecz powstrzymał go okrzyk Gowena.

- Co robisz? Nie wsiadaj!

Młody rycerz odwrócił się zaskoczony.

- Dlaczego mi zabraniasz?

- Nie wiesz, co oznacza jazda wózkiem prowadzonym przez karła?

- Nie, panie. W moim kraju nie ma takich wózków.

- To znak hańby. Karzeł chce cię upokorzyć. Ten wózek przeznaczony jest dla skazanych na śmierć przestępców - zdrajców, morderców, złodziei. Przed wykonaniem wyroku obwozi się ich po mieście ku przestrodze mieszkańców.

- Nikogo nie zabiłem ani nie okradłem. Jazda na żadnym wózku mnie nie pohańbi.

- Głupcze! Myślisz, że ludzie odczytają z twojej twarzy, że jesteś niewinny? Kiedy wjedziesz do miasteczka na wózku, wszyscy wezmą cię za zbrodniarza, bo też skąd mogliby wiedzieć, że jest inaczej. Proszę, nie gódź się na takie upokorzenie.

Młodzieniec stracił cierpliwość.

- Zrobię wszystko, co trzeba, żeby uratować królową! - zawołał i bez wahania skoczył na wózek.

Karzeł zaśmiał się ponuro i uderzył konia batem. Wózek potoczył się po ulicy w kierunku miasteczka. Rozgniewany niefrasobliwością młodego towarzysza Gowen miał już zostawić go samego sobie, lecz przypomniał sobie, że ich wspólnym celem jest pościg za Malagantem, a karzeł może im w tym pomóc. Zmienił zatem zdanie i konno podążył za wózkiem, bacząc, by trzymać się od niego w bezpiecznej odległości.

## 6. Zdradzieckie Łoże

- Powiesić zbrodniarza!
- Obciąć mu głowę!
- Do wody z nim!

Zgniły owoc trafił Bezimiennego Rycerza w sam środek klatki piersiowej. Wózek toczył się powoli główną ulicą miasta ku uciechu zgromadzonej po obu jej stronach gawiedzi. Tłum gęstniał z każdą chwilą. Żądni uciechy gapie ciskali w stronę nieszczęśnika na wózku różnymi przedmiotami i wyzywali go obraźliwymi słowami. Stłoczone w oknach kobiety obrzucały go z góry najróżniejszymi odpadkami.

- Ma, na co zasłużył! - krzyczeli jedni.
- Za co go skazali? Morderstwo? A może zdradę? - pytali inni.

Karzeł nie odpowiadał, tylko śmiał się szyderczo. Jego obrzydliwy rechot pobudzał tłum do nowych przejawów agresji. Młody rycerz w poplamionym kaftanie stał na chwiejącym się wózku, ledwie utrzymując równowagę.

Z trudem starał się zachować spokój. Niełatwo przyszło mu znieść pierwsze obelgi. Trafiony błotem w twarz odruchowo chciał sięgnąć po miecz. Niewiele brakowało, a zeskoczyłby z wózka i posiekał swoich prześladowców na kawałki. Powstrzymał jednak słuszny gniew. Myśl o królowej wystarczyła, by zapomniał o własnej dumie i opuścił rękę. Dla dobra Ginewry gotów był wystawić się na pośmiewisko gawiedzi i znieść największy nawet wstyd. Zmrużył powieki, zamknął się w sobie i starał się nie myśleć, co jeszcze przyjdzie mu wytrzymać.

- Jesteśmy na miejscu, paniczu.

Młody rycerz otworzył oczy. Karzeł wskazał mu zwodzony most.

- Jeśli chcesz uzyskać wieści o ukochanej, porozmawiaj z właścicielką tego zamku - poradził.

- Ta, o której mówisz, nie jest moją ukochaną, lecz moją królową - tłumaczył się zmieszany.

- Ach tak? - karzeł nie wykazał większego zainteresowania. - Zsiadaj, paniczu. Już dostatecznie mnie rozbawiłeś.

Bezimienny posłusznie opuścił wózek i poszedł w stronę zamku. Na moście dołączył do niego Gowen.

-1 co? Jesteś dumny ze swojego czynu? - zapytał.

Młody rycerz nie odpowiedział. Zatopiony w myślach chyba nawet nie usłyszał pytania. Większe wrażenie niż obelgi, jakich jadąc na wózku hańby doznał od gawiedzi, zrobiły na nim ostatnie słowa karła, który ośmielił się nazwać królową jego ukochaną. On sam nigdy by się na to nie zdobył. A jednak określenie usłyszane z niegodnych ust prześladowcy miało odtąd powracać i rozpalać serce oraz wyobraźnię młodzieńca.

Na dziedziniec na spotkanie przybyłym wyszły trzy dziewczyny przebrane za giermków. Jedna zaopiekowała się koniem Gowena i zaprowadziła go do stajni, dwie pozostałe udały się z gośćmi do południowego skrzydła zamku. Bezimienny chciał zapytać je o królową i jej prześladowców, lecz Gowen nakazał mu milczenie.

- Dowiedzmy się najpierw, gdzie jesteśmy - powiedział szeptem. Pośpiech rzadko jest dobrym doradcą. Zaufaj mi choć raz.

W ciszy dali się prowadzić uroczym przewodniczkom, które - podobnie jak oni - raczej nie były skłonne do rozmowy. Dziewczyny zaprowadziły obu rycerzy do łaźni, gdzie czekała na nich gorąca kąpiel, i natychmiast się oddaliły.

Wykapani i odprężeni mężczyźni w izbie obok znaleźli przygotowane dla nich nowe szaty i szybko się w nie przebrali.

Ledwie byli gotowi, dziewczyny pojawiły się znowu i poprosiły, by poszli za nimi do dużej komnaty, pośrodku której stał stół nakryty do wieczery. Przyjęła ich czarnowłosa i czarnooka dama o przenikliwym spojrzeniu. Jej widok wprawił starszego z rycerzy w pewne zdumienie.

- Jestem Erranda - powiedziała uprzejmie. - Witam panów w moim zamku.

- Gowen, siostrzeniec króla Artura.

Jego młody towarzysz stał obok i milczał jak zakłęty. Zniecierpliwiona Erranda zmarszczyła czoło i zapytała wprost:

-Nie przedstawiasz się panie? Czyżbyś nie miał imienia?

- Tak jest, pani!
- Nie rozumiem.
- Jest tak, jak powiedziałaś.

Zdumienie Errandy ustąpiło miejsca pogardzie.

Zapewne masz powód, żeby je taić. Ktoś, kto wożony był na wózku hańby, nie jest godzien imienia swoich przodków.

- Wsiadłem na wózek z własnej woli.
- Nie wierzę. Żeby zgodzić się na takie poniżenie, trzeba być szaleńcem, a ty na takiego nie wyglądasz.

- Nie musisz mi wierzyć, pani.

Zmrużyła powieki.

- Nie udawaj niewiniątka, nie jest ci z tym do twarzy.

Podąła ramię Gowenowi i powiedziała uprzejmie:

- Zapraszam do stołu, panie. Chętnie usłyszę ostatnie wieści z Kamelotu.

Posadziła go na honorowym miejscu obok siebie, Beziemiennemu zaś lekceważącym gestem wskazała koniec stołu, gdzie zwykle sadza się najniższych rangą wasali. Młody rycerz poczerwieniał z gniewu.

- Poniżasz mnie, pani - zaprotestował.

Wyznaczam ci miejsce, na jakie zasługuje ktoś, kto pozwolił się wozić na wózku hańby i nie ma imienia.

- Nie zgadzam się! Zajmę miejsce, jakie mi przysługuje - rzekł i usadowił się naprzeciw Gowena, po lewej ręce gospodyni.

- Wstań, bo zaraz cię wyproszę - zagroziła.

- Jeżeli zależy ci na życiu twoich ludzi, lepiej tego nie rób - ostrzegł.

Erranda zwróciła się do Gowena:

- Jak sądzisz, co nim kieruje? Szaleństwo, zuchwalstwo czy młodzieńczy temperament?

- Wszystko po trosze, pani. Znam go. Uwierz, że zasługuje na nauczkę, lecz nie na upokorzenie.

- Skoro tak mówisz, tym razem ustąpię. Jedz - powiedziała do młodzieńca - lecz nie odzywaj się do mnie ani słowem.

Bezimienny ochoczo zastosował się do jej nakazu. Wypełniała go złość, lecz równocześnie był głodny jak wilk, a nazajutrz chciał ruszyć w dalszą drogę. Musiał podreperować siły. Roztargniony, jednym uchem przysłuchiwał się rozmowie Gowena z Errandą. Gowen przekazywał swej towarzysze plotki i anegdoty z życia dworu. Miał dar opowiadania. Errandą śmiała się rozradowana. Młodego rycerza drażniły błahy tematy, jakie poruszali. Miał nawet zamiar zapytać Gowena wprost, dlaczego nie próbuje dowiedzieć się, czy widziała Ginewrę i Malaganta. Może wie, kto mógłby pomóc ich odnaleźć. Nie odezwał się jednak; po pierwsze nie chciał narazić się na kolejny afront, a po drugie - po trosze wyrobił już w sobie istotną dla rycerza cnotę cierpliwości. Gowen przekonał go, że nie powinien wspominać imienia królowej i Czarnego Rycerza dopóki nie nadejdzie stosowny moment. Dlatego, mimo iż rozmowa rycerza z gospodynią zamku wydawała mu się niepoważna, posłuchał jego rady. Ta powściągliwość wiele go kosztowała, lecz wierzył, że Gowen wie, co robi.

Po wieczerzy Erranda odprowadziła gości na nocleg. W sypialni przeznaczonej dla Gowena czekało szerokie wygodne łóżko. Rycerz pokłonił się dwornie w podziękowaniu za gościnę, życząc damie i młodemu towarzyszowi dobrej nocy.

Alkova wyznaczona młodemu rycerzowi znajdowała się na końcu korytarza. W niej też stało wygodne łóżko, ale Erranda wskazała mu słomiany siennik, leżący w kącie pod ścianą.

- Oto twoje posłanie, rycerzu bez imienia.
- Z jakiej racji? Wolę spać w łóżku, jest wygodniejsze.
- Oczywiście, lecz ktoś, kto jeździł na wózku hańby, nie zasługuje na wygodny sen. Czy ci się to podoba, czy nie!
- Oświadczam, że będę spał tam, gdzie zechcę. Czy ci się to podoba, czy nie!
- Popęlniasz błąd!
- Nie mam zamiaru cię słuchać.
- Ostrzegam, że pożałujesz.
- Chciałbym to widzieć - krzyknął i zrobił krok w stronę łoża.

Nie powstrzymała go.

- Drogo za to zapłacisz - rzekła zrezygnowanym tonem i wyszła.

Bezimienny zdjął kaftan i pludry, i usiadł na łożu. Było wysokie, nakryte ozdobną kapą z żółtego jedwabiu wyszywanego w złote gwiazdy, i podbite futrem popielic. Uznał, że jest godne króla, tym bardziej więc jego, i położył się z rozkoszą. Był wyczerpany.

Miał za sobą nieprzespaną noc i wędrówkę, najpierw konno, potem pieszo. Zamknął powieki i oczami wyobraźni zobaczył postać Ginewry tak wyraźną, że wydało mu się, iż jest całkiem blisko. Chciał do niej przemówić, lecz nie zdążył. Zapadł w głęboki sen.

Nie wiadomo, co sprawiło, że się obudził. Może ostrzeżenie otrzymane we śnie? A może instynkt człowieka przyzwyczajonego mieć się na baczności? W każdym razie wykonał gwałtowny obrót i szybko znalazł się na podłodze.



W tej samej niemal chwili z sufitu dobiegł szcęk sprężyny, otworzyła się kłapa i długa włócznia upadła pionowo, przebijając na wylot łożo dokładnie w miejscu, gdzie krótko wcześniej leżał nieświadomy niebezpieczeństwa Bezimienny.

Zaskoczony rycerz skoczył na równe nogi. Skierował wzrok w górę, lecz w ciemnościach rozproszonych czerwonym blaskiem dopalających się w kominku polan nie mógł niczego dojrzeć. Podeszedł do łoża, chwycił mocno drzewce i jednym ruchem ręki wyciągnął wbitą w nie włócznię. Widok długiego, ostrego grota uświadomił mu, że cudem uniknął śmierci. Rozgniewany, z włócznią w dłoni wybiegł na korytarz, gotowy dopaść Errandę i zapłacić jej za gościnę.

Za zakrętem korytarza zobaczył jakiś cień. Podniósł włócznię i już miał się rzucić do ataku, gdy rozpoznał znajomą sylwetkę.

- Gowen? Skąd się tutaj wzięłeś?

- A ty? Skąd ta włócznia?

Młodzieniec w kilku słowach zrelacjonował przebieg wypadków.

- Opatrzność nad tobą czuwa - stwierdził Gowen.

- Jest jeszcze wcześniej. Co się stało, że jesteś już na nogach? - dziwił się jego towarzysz.

- Sen mam czujny jak zajac. Zejdźmy na dół, szczegóły opowiem ci po drodze - odrzekł i poszedł przodem, schodami prowadzącymi obok wielkiej komnaty, gdzie przed nocą spożywali wieczerzę.

- Obudziły mnie jakieś hałasy. Rozpoznałem męskie głosy i parskanie koni. Podeszedłem do okna i obok stajni zobaczyłem grupę podróżnych, szykujących się do odjazdu. Policzylem, było ich około piętnastu.

- Sądziysz, że...

- Nie sędę, ja to wiem. Malagant i jego ludzie spędzili noc w zamku.

- I królowa?

- Tak, ona również. Spali w północnym skrzydle.

Obaj mężczyźni wybiegli na dziedziniec. Drzwi stajni były otwarte, zwodzony most opuszczony. W oddali usłyszeli stłumiony tętent kopyt.

- Na koń! - krzyknął Bezimienny bez wahania.

Gowen ramieniem zagroził mu drogę.

- Chwileczkę.

- Ruszajmy! Nie mamy czasu do stracenia - protestował młodzieniec.

- Przecież nie możesz jechać w tym stanie.

Istotnie, młody rycerz był prawie nieubrany.

Lepiej oszczędzić królowej takiego widoku - zażartował Gowen.

Przed wyjazdem obaj towarzysze ubrani i uzbrojeni przeszukali zamek, chcąc odnaleźć Errandę. Na próżno. Spotkali tylko jedną z dziewcząt, które zaopiekowały się nimi poprzedniego wieczoru. Potwierdziła ich przypuszczenia. Malagant i jego towarzysze spożyli wieszczę w zamku i za-trzymali się na nocleg w północnym skrzydle. To z tego powodu oni otrzymali kwaterę w skrzydle południowym.

- Dlaczego twoja pani potraktowała nas gorzej? - zapytał gniewnie Gowen.

- Nieprawda. Ona ocaliła wam życie. Z daleka rozpoznała w tobie słynnego rycerza z Kamelotu i nie chciała dopuścić do spotkania, które mogłoby mieć dla ciebie fatalne skutki.

- Szkoda, że nie otoczyła podobną troską mojego towarzysza. Łoże w jego sypialni było pułapką.
- Jego też widziała z daleka. Na wózku - stwierdziła krótko, dając do zrozumienia, że to słowo wszystko tłumaczy.
- Ostrzegalem cię, kawalerze - rzekł Gowen. - Jazda na tym wózku nie była najlepszym pomysłem.
- Zniecierpliwiony Bezimienny wzruszył ramionami.
- Przestań już z tym wózkiem! Nie chcę o nim więcej słyszeć. Tracimy czas na próżną rozmowę, a Malagant coraz bardziej się oddala...
- Zgoda. Ostatnie pytanie: Gdzie jest Erranda?
- Wyjechała z rycerzem Malagantem, panie.
- Co ona ma z nim wspólnego? - zdziwił się młodzieniec.
- Jej syn przebywa w Gorre.
- Ma syna?
- Na nas już czas - przerwał Gowen. - Sam wszystko ci wytłumaczę.
- Odprawił dziewczynę, wziął towarzysza na stronę i rzekł:
- Erranda w rzeczywistości nie jest Errandą. Jej prawdziwe imię brzmi Morgana.
- Co to za tajemnicza historia?
- Morgana jest przyrodnią siostrą króla Artura, lecz od dawna nie pojawia się na jego dworze. Byłem jeszcze chłopcem, gdy opuściła Kamelot, lecz zaraz po wejściu do komnaty rozpoznałem ją bez trudu. Właśnie dlatego nie zadawałem jej żadnych pytań o królową i jej porywaczy.
- Nie rozumiem...
- Morgana ma syna w twoim wieku, Mordreta. Odkąd przyszedł na świat, marzy, by po śmierci Artura odziedziczyć tron Logru. Będzie tak, jeżeli królewska para nie do-

czeka się potomka. W przeciwnym razie Mordret będzie musiał zrezygnować ze swoich ambitnych planów.

- A więc?

- Porwanie Ginewry jest Morganie na rękę. Co więcej, obawiam się, że sama maczała w nim palce. Mogła podsunąć Małagantowi pomysł, który on skrzętnie wykorzystał. To do niej całkiem podobne.

- To niegodziwe - oburzył się Bezimienny - żeby siostra...!

- Ona jest kimś więcej niż siostrą króla, a Mordret kimś więcej niż jego siostrzeńcem. Przyjdzie dzień, kiedy poznasz całą prawdę.

### ROZDZIAŁ III

## **Król Rfbak**

### 1. Bród

Wstawał świt, gdy Gowen i Bezimienny opuszczali zamek Errandy. Teraz obaj jechali konno. Młody rycerz pożytył ze stajni okazałego kasztana. Posuwali się ku północy leśną wąską dróżką. Stratowana drań i świeżo połamane gałęzie po obu jej stronach wskazywały wyraźnie, że Malagant i jego ludzie przejeżdżali tędy kilka godzin wcześniej.

Obaj jeźdźcy zachowywali milczenie. Rozmowny z natury Gowen miał ochotę je przerwać, stwiprdził jednak, że jego towarzysz podróży wcale tego nie pragnie. Zatopiony w myślach, posuwał się naprzód, nie zwracając uwagi na drogę. Kilka razy zahaczył głową o wiszące nisko gałęzie, lecz zdawał się nie czuć bólu. Pozostawał obojętny na uszczypliwe uwagi i żarty Gowena. Nic nie było w stanie rozproszyć jego melancholii.

Słońce stało już wysoko, gdy opuścili las i znaleźli się nad brzegiem rzeki. Zamyślony Bezimienny zmierzał prosto do wody, lecz Gowen w ostatniej chwili chwycił jego wierzchowca za uzdę.

- Co się z tobą dzieje? Chcesz się utopić?

Młodzieniec zamrugał powiekami, jakby obudził z głębokiego snu.

- Mówiłeś coś do mnie?

- Nigdy w życiu nie podróżowałem w równie nudnym towarzystwie. Powiesz mi, o czym tak dumasz?

Nie otrzymał odpowiedzi. Bezimienny poczerwieniał. Nie mógł przecież wyjawić, że od wyjazdu z zamku nie przestawał myśleć o królowej. Odkąd karzeł nazwał ją jego ukochaną, wizerunek Ginewry nie opuszczał go ani przez chwilę, wypełniając serce i zmysły kawalera do tego stopnia, że nie mógł skupić się na niczym innym. Chcąc ukryć zmieszanie, spał konia ostrogami i zawołał:

- Masz rację. Musimy znaleźć bród.

Skierowali konie w górę rzeki.

Gowen miał bogate doświadczenie w miłości. Dobrze znał dojrzałe damy i młode panny. Przystojny kawaler o nienagannych manierach był ulubieńcem kobiet i na dworze króla Artura zyskał sławę wybitnego ich znawcy. Lubił kobiety i chętnie przebywał w ich towarzystwie. Nie miał sobie równych w dwornych rozmowach. Nikt tak jak on nie potrafił mówić o miłości. Nikt równie pięknie i elegancko nie wyznawał swych uczuć. Były one jednak powierzchowne, a sympatie zmienne. Żadna dama ani panna nie była tą jedyną. Żadna nie okazała się godna być jego wybranką na dłużej. Dlatego nie przypuszczał, że dziwne zachowanie przyjaciela ma związek z królową. Nigdy nie odgadłby, że proste, młodzieńcze serce towarzysza frasuje tak silna namiętność. Nawet aluzje karła wydały mu się zuchwałą prowokacją. Nie przyszłoby mu do głowy, że świeżo przybyły do Kamelotu i wyróżniony przez króla pa-

sowaniem na rycerza giermek mógłby sprzeniewierzyć się swojemu władcy i zapalać miłością do jego małżonki. Jego stan przypisywał zatem trudom podróży i ciężkim przeżyciom minionej nocy.

Po sforsowaniu gęstego wierzbowego zagajnika doszli wreszcie do brodu. Koryto rzeki było tu szerokie, a przejrzysta woda płynęła drobnymi strumykami pomiędzy wielkimi płaskimi blokami kamienia. Bezimienny podprowadził konia do brzegu i pierwszy rozpoczął przeprawę. W tej samej chwili z drugiego brzegu ktoś niskim, chrapliwym głosem zawołał:

- Hej, rycerzu! Stoję na straży tego brodu. Nikt tędy nie przejedzie!

Zza skalnego załomu wyłonił się rudowłosy potężny mężczyzna z brodą. Miał szerokie ramiona i byczy kark, a jego rumak wzrostem i budową przypominał bardziej konia pociągowego niż wierzchowca. Brodacz trzymał w dłoni tarczę z herbem władców Gorre, czerwonym lwem stojącym na tylnych łapach na czarnym tle.

Koń młodego rycerza pochylił łeb i spokojnie pił wodę płynącą wokół jego kopyt. Gowen zbliżył się i stanął u boku towarzysza.

- Zawróćcie rycerze, bo porozbijam wam głowy!

-Ten Saksończyk nie wie, co to dobre wychowanie - rzekł swobodnie Gowen. - Myślisz przyjacielu, że to rycerz?

- Rycerz nie rycerz, mało mnie to obchodzi, ale zgadzam się z tobą. Nie umie się zachować. Chętnie udzielę mu lekcji - odpowiedział Bezimienny.

- Czyżby? Jak dla ciebie, wydaje mi się nieco za duży?

- Okaże się mniejszy, gdy zrzucę go z konia.

—Widzę, że odzyskałeś mowę. Zastanawiam się, jak też poradysz sobie w walce?

—Zaraz ci to udowodnię.

—Umieram z ciekawości. Przekonamy się, co jesteś wart.

W odpowiedzi młodzieniec popędził konia w stronę brodu. Rudowłosy wojownik zamierzył się na niego włócznią i groźnym tonem zawołał:

—Pamiętaj chłopcze, ostrzegałem cię!

—Znudził mi się mój brzeg. Twój bardziej mi się podoba - usłyszał przekorną odpowiedź.

—Kpisz sobie ze mnie?

—Mam zamiar się zabawić. Dawno nie używałem miecza. Pewnie zdążył już trochę zarzewieć - odpowiedział prowokacyjnie i słysząc za plecami zachęcający śmiech Gowena, postąpił naprzód.

Był mniej więcej w połowie przeprawy, gdy strażnik z włócznią wzniesioną do ataku ruszył konno wprost przed siebie. Ziemia drżała pod jego ciężarem. Bezimienny, skróciwszy cugle swojego wierzchowca, przytrzymał je mocno lewą dłonią, prawą zaś oparł na rękojeści miecza. Rozbryzgiwana końskimi kopytami woda przyskała na wszystkie strony. Kiedy rudy wojownik zamierzył się włócznią, by zadać cios przeciwnikowi, ten zjechał nieco na lewo i odsunął się przewidująco. Ostrze włóczni musnęło go w bok, rozrywając kaftan i raniąc lekko skórę powyżej pasa. Młody rycerz niewzruszony podniósł się w siodle, uderzył go z całej siły w plecy między barkiem a łopatką. Ogluszony olbrzym upadł do wody.

Młodzieniec zeskoczył z konia, który natychmiast pobiegł do brzegu. Rana w boku krwawiła, na białym kaftanie pokazała się czerwona plama. Nie zważając na nic, rzucił się



z mieczem na przeciwnika, który podnosił się po upadku i szykował do ciosu.

- Podeszedłeś mnie, mały!

-Zamilcz, Saksończyku, i pokaż czy na nogach trzymasz się lepiej niż na koniu.

Rudy ruszył do przodu. Walkę tym razem podjął młodzieniec. Wymiana ciosów o mało nie zakończyła się dla niego fatalnie. Znacznie lżejszy od przeciwnika, nie wytrzymał siły uderzenia i odrzucony do tyłu upadł plecami na kamienny bród. Nie zważał na ból. Leżąc, odparł następny cios, po czym przewrócił się szybko na bok i znów stał na nogach.

- Jesteś mokry, kawalerze - śmiał się Gowen. - Przeżył się, o ile oczywiście Saksończyk pozostawi cię przy życiu.

- Bez obawy, przyjacielu. Ta zabawa mnie rozgrzewa.

Rudy ponowił atak. Przeciwnicy skrzyżowali miecze. Raz, drugi, dziesiąty. Saksończyk wydawał się niestrudzony. Młodzieniec z trudem odpierał coraz silniejsze ciosy i często musiał się cofać. Przy trzydziestym starciu stwierdził, że słabnie mu ręka. Przy trzydziestym pierwszym nie zdołał się osłonić i został trafiony w ramię.

Poczuł, że śmierć zagląda mu w oczy. Nie bał się jej, nie przejmował, że musi umrzeć, gdyby nie przysięga, którą zobowiązany był wypełnić. Jego życie należało do Ginewry i nikt oprócz niej nie miał prawa mu go odbierać.

Dwa następne ciosy trafiły w pustkę. Przy kolejnym Saksończyk stracił równowagę i wpadł do wody. W jednym momencie miecz Białego Rycerza dosięgnął szyi brodacza i odciął mu głowę.

- Nareszcie! - zawołał Gowen. - Zaczynałem już tracić cierpliwość.

Młodzieniec chwiał się na nogach, wpatrzony w pozbawione głowy ciało przeciwnika, które powoli pogrążało się w wodzie. Po raz pierwszy zabił człowieka.

## 2. Pierścień

- Teraz możemy być pewni, że podążamy właściwym śladem - rzekł Gowen.

Przebyli bród i dalej posuwali się tą samą drogą na północ. Bezimienny z trudem przychodził do siebie po walce. Prześladował go widok odciętej głowy Saksończyka, toczącej się po kamieniach do wody. Nie mówił o tym Gowenowi, któremu - jak sądził - takie doświadczenia od dawna nie były obce.

- Mimo wszystko podobała mi się twoja postawa - ciągnął starszy rycerz. - Zdobyłeś nowe umiejętności. Następnym razem poradzisz sobie szybciej.

Młodzieniec nie odpowiedział. W milczeniu jechali dalej przez las, kierując się wyraźnymi śladami Malaganta i jego drużyny, tak jakby Czarny Rycerz specjalnie wskazywał im drogę. Kiedy wyjechali spomiędzy drzew, ich oczom ukazało się wzgórze, na którego szczycie stała samotna wieża.

- Jedźmy tam - zaproponował Gowen. - Z góry będziemy mieć rozległy widok na całą okolicę.

Spięte ostrogami konie wspięły się po zboczach pod samą wieżę. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież, lecz dostępu do nich broniły płożące się po ziemi cierniste pędy jeżyn i wysokie kępy pokrzyw. Roślinność była tak gęsta, że najwyraźniej nikt od dawna nie zaglądał w to miejsce.

- Wchodzimy, przyjacielu - zdecydował Gowen. - Trzymaj miecz w pogotowiu, obawiam się zasadzki.

- Ostrożnie weszli do środka. Parter zajmowała obszerna okrągła komnata, pośrodku której znajdował się stół. Na białym krótkim obrusie stała miska, srebrny pucharek oraz szklana karafka wypełniona do połowy winem, a obok leżał napoczęty bochenek chleba.

- Hej, jest tu kto? - zawołał głośno Gowen, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

Bezimienny zbliżył się do stotu i zdziwiony skinął na towarzysza.

- Chodź, zobacz!

Niefufny Gowen, upewniwszy się najpierw, że nic im nie grozi, podszedł bliżej. Bezimienny pokazał mu monogram wyhaftowany w rogu obrusa.

- Litera „W”. Identyczna wygrawerowana jest również na talerzu i pucharze. Nic nie rozumiem.

- A co miałbyś rozumieć? Litera jak litera.

Na te słowa Gowen jeszcze raz rozejrzał się po komnacie.

- To monogram Wiwiany, Damy z Jeziora, mojej opiekunki.

- Skąd ona się tu wzięła? Jak mogła nas wyprzedzić?

- Jak ci zapewne wiadomo, dysponuje tajemniczą mocą...

- Tak mówią, wiesz o tym lepiej ode mnie.

W głębi sali znajdowały się kręte drewniane schody, prowadzące na górne pietra.

- Rozejrzymy się - postanowił Gowen.

Z podniesionymi głowami pokonywali ostrożnie pierwsze stopnie gotowi na każdą niespodziankę, lecz ich podejrzeń nie budził nawet najmniejszy cień. Wnętrze wieży było ja-

sne. Ostre światło z zewnątrz padało pionowo w dół przez otwór w szczycie. Na kolejnych poziomach mijali jakieś drzwi. Próbowali je otworzyć, lecz nie ustępowały. Musiały być zamknięte na klucz. Wspinali się coraz wyżej. Bezimienny jako pierwszy dosięgnął barierki na górze. Na dalekim horyzoncie dostrzegł pasmo obniżających się stopniowo wzgórz, za nimi jasną wstęgę plaży a dalej - kobaltowo-błękitną przestrzeń, łączącą się z jasnoblękitnym niebem.

- To morze - stwierdził Bezimienny.

- Tak, królestwo Gorre leży na wyspie. Nie uprzedzałem cię?

- Wiesz, co to za zamek?

Młodzieniec wskazał ręką położoną daleko na północy przysadzistą budowlę. Mimo odległości jej bryła była wyraźnie widoczna, gdyż teren wokół był pusty i szary, pozbawiony drzew i zieleni.

- To Korbenik, dawna siedziba króla Pellesa. Od dawna nikt tam nie zagląda.

- Dlaczego?

- Opustoszała Ziemia to ziemia przeklęta. Nie wiem, jaką zbrodnię popełnił Pelles, że od lat żadne drzewo, żadna roślina, nawet źdźbło trawy nie wyrosło w jego krainie.

- Ruszajmy w drogę - niecierpliwił się Gowen. - Straciliśmy już dość czasu.

-Zaczekaj...

Jego towarzysz przechylony przez barierkę wyteżał wzrok.

- Zobacz!

W odległości ćwierci mili obaj rycerze zauważyli wyłaniającą się zza drzew grupę jeźdźców. Rozpoznali Czarnego Rycerza i jego drużynę. Grupa Saksończyków otaczała szczer-

jadącą konno damę. Zza ich potężnych postaci widać było tylko błękit królewskiego płaszcza i jasną plamę złotych włosów.

- Są tuż przed nami - zawołał Bezimienny. - Dopadniemy ich zanim dotrą do morza.

Wychylał się tak mocno, że Gowen chwycił go za ramię i pociągnął do siebie.

- Oszalałeś?

- Tam jest królowa. Ratujmy ją!

- Cierpliwości, przyjacielu. Niech sprawdzę...

Nie dokończył zdania, zmrużył oczy i obserwował dokładnie orszak Malaganta.

- Nie myliłem się.

- W czym?

- Policz Saksończyków: jest ich tylko siedmiu.

-1 co z tego?

- Jeśli odliczymy tego, który został przy przeprawie, powinno być dziewięciu. Gdzie są dwaj pozostali?

- Co nas to obchodzi? Wracajmy do koni!

Bezimienny, nie czekając dłużej, ruszył schodami w dół. Mamrocząc coś pod nosem, Gowen poszedł za nim. Nieobliczalne zachowanie przyjaciela przestało już go dziwić. „Zwyczaj nowo pasowani rycerze wykazują więcej pokory i szacunku dla starszych” - myślał. Ten kieruje się impulsami, jakby nieustannie chciał się wystawiać na niebezpieczeństwo.

Wydarzenia, które nastąpiły wkrótce, w pełni potwierdziły słuszność jego rozumowania.

Kiedy rycerze schodzili z drugiego piętra na pierwsze, tajemnicze, zamknięte wcześniej drzwi otworzyły się z hukiem i stanęli w nich dwaj rudowłosi olbrzymi z toporami w dłoniach.

- Oto oni - mruknął Gowen. - Rachunek się zgadza.

Młody rycerz, nie powiedziawszy ani słowa, z wysokości kilku schodów skoczył na stojącego niżej Saksończyka. Zaskoczony zuchwalstwem napastnika wojownik cofnął się o dwa kroki. Popęłił fatalny błąd. Trafiony w kolano, upadł w tył i głową w dół zjechał plecami po schodach wprost na kamienne płyty posadzki dolnej komnaty. Opierając się na zdrowej nodze, próbował wstać, lecz Bezimienny, który znalazł się przy nim, ciął mieczem i uszkadzając hełm, roztrzaskał mu czaszkę.

Rozprawiwszy się z przeciwnikiem, biegiem wrócił na górę, gdzie Gowen potykał się z drugim Saksończykiem. Olbrzym machał groźnie toporem. Stalowe ostrze świszczało w powietrzu jak wąż, zbliżając się niebezpiecznie to do szczęki, to do piersi rycerza.

- Co widzę? - zdziwił się młodzieniec. - Coś słabo sobie radzisz, przyjacielu.

Dotknięty do żywego Gowen zakręcił efektownego młynka, chcąc zmniejszyć przewagę przeciwnika.

- Czekałem, żeby dać ci lekcję walki.

Gdy mówił te słowa, Saksończyk zadał cios. Rycerz uskokczył zręcznie w bok, dzięki czemu topór tylko drasnął jego biodro.

- To, co widzę, przypomina raczej lekcję tańca.

Gowen poczerwieniał ze złości, ruszył ostro do przodu i trafił rudowłosego w bark.

Bezimienny gotował się do kolejnego żartu, gdy nagle poczuł, że ktoś położył mu rękę na ramieniu. Odwrócił się gwałtownie, kierując ostrze miecza w stronę nieznanego.

- Sareda?

Ulubiona dworka Wiwiany, dotykając wskazującym palcem ust, nakazała mu milczenie.

- Pójdź za mną, paniczu. Mam ci coś do powiedzenia - rzekła i wycofała się do pokoju na pierwszym piętrze. Po chwili wahania młodzieniec schował miecz do pochwy i poszedł za nią.

- Co tu robisz?

- Pani Wiwiana przysłała mnie i kazała czekać na ciebie. Spożywałam wieczerzę, gdy pojawili się ci dwaj Saksończycy i mnie uwięzili.

- Jak ci się udało przybyć tu przed nami?

- Wyjechałam wcześniej z Kamelotu. Moja pani wiedziała, że los sprowadzi was w to miejsce.

Rycerz chciał odpowiedzieć, że nic dotąd nie zapowiadało takiego biegu wydarzeń, lecz zmienił zdanie. Dama z Jeziora mówiła mu przecież, że zna koleje jego życia.

- Masz dla mnie jakąś wiadomość?

- Tak, paniczu, ale przekażę ci ją, kiedy wróci twój przyjaciel.

Bezimienny dał znak, by zaczekała, i wyszedł na korytarz, gdzie Gowen wciąż walczył z Saksończykiem.

- Kończ, bo zaczynam się niecierpliwić - powiedział zadowolony, że mógł wziąć odwet za docinki przy przeprowie przez bród, i wrócił do Saredy.

- Podaj mi rękę - poprosiła.

Zdziwiony wyciągnął dłoń, a ona położyła na jej wewnętrznej stronie maleńki srebrny przedmiot.

- Pani Wiwiana przysłała ci ten pierścień. Pilnuj go starannie, lecz włóż na palec dopiero wtedy, gdy przyjdzie na to czas.

- Czyli kiedy?

- Sam będziesz wiedział.

- Sam będę wiedział. Na każde pytanie słyszę tę samą odpowiedź: dowiesz się, kiedy przyjdzie czas. Zaczyna mnie to drażnić.

Z korytarza dobiegł trzask łamanego drewna i jęk kona-  
jącego. Chwilę później pojawił się zlany potem Gowen, bro-  
cząc krwią, ranny w ramię i lewy policzek.

- Nareszcie!

Zmęczony rycerz pominął milczeniem ironiczne stwierd-  
zenie młodzieńca i kierując wzrok na dworkę, zapytał:

- Kto to jest?

Wychowanek Damy z Jeziora wyjaśnił, iż jest to dworka  
przysłana przez Wiwianę z wiadomością dla nich, nie wspo-  
mniał jednak o pierścieniu.

- Jaka to wiadomość? - zapytał Gowen, klepiąc się deli-  
katnie po zranionym policzku, zmartwiony, że szpetna bli-  
zna zmniejszy jego atrakcyjność w oczach niewiast.

- Królestwo Gorre leży na wyspie.

-Wiedziałem o tym. To żadna przeszkoda. Znajdziemy  
jakąś łódź.

-W cieśninie wieją przeciwne wiatry, nie dobijecie do  
brzegu, prąd zniesie was na pełne morze. Malagant ze swo-  
imi ludźmi przepłynie promem, ale chyba nie przypuszcza-  
cie, że pozwoli wam z niego skorzystać?

- Co więc proponujesz?

- Istnieją dwie inne drogi prowadzące na wyspę, lecz  
obie są bardzo niebezpieczne.

- Nie dla mnie - rzekł hardo Gowen, uśmiechając się  
z pogardą.

Zły, że jego pojedynek z Saksończykiem trwał dłużej niż  
walka młodego towarzysza, zapomniał o cechującej go jak



każdego prawdziwego rycerza przezorności i pragnął za wszelką cenę jak najszybciej udowodnić swą dzielność.

- Tak niebezpieczne, że nikt dotąd ich nie pokonał.

- Dość czezej gadaniny.. Czas przejść do konkretów.

- Południowe przejście zwane jest Mostem Podwodnym.

Prowadząca półtorej stopy poniżej poziomu morza droga miejscami niespodziewanie opada i idący nią wędrowiec wpada do wody. Nie może też ani odrobinę zboczyć, gdyż podwodny grzbiet, węższy niż ramiona mężczyzny, z obu stron opada ostro w dół. Wystarczy, by stopa idącego lekko się obsunęła, a nieszczęśnik pogrąży się w głębinie.

- Dobrze, a drugie przejście?

- Znajduje się na północy i jest jeszcze trudniejsze. Zwie się Mostem Miecza. Żadna inna nazwa nie pasowałaby doń lepiej, gdyż istotnie jest wąskie jak ostrze. Ktoś, kto na nie wejdzie, dotkliwie się porani.

- A kiedy osłabnie to spadnie, utopi się w morskiej otchłani.

- Jest tak, jak mówisz, panie.

Zmartwiony Gowen spojrział na Saredę, a następnie zwrócił się do towarzysza.

- Jak sądzisz? Bo ja uważam, że z dwojga złego powinniśmy wybrać Podwodny Most.

Zamyślony młodzieniec pokiwał przecząco głową.

- Nie, przyjacielu. Lepiej będzie, jak się rozdzielimy. W ten sposób zwiększymy szansę, by choć jeden z nas dotarł do celu.

- To czyste szaleństwo! Myślisz, że można pokonać most szerokości ostrza miecza?

- Powiem ci, kiedy dotrę na miejsce.

- Oto cały ty! Najpierw działasz, potem myślisz.
- Bezimienny spojrzał mu prosto w oczy.
- Podjąłem już decyzję - rzekł.
- Powodzenia! Idź i daj się pokroić jak pieczeń.
- Z przyjemnością spełnię twe życzenie, przyjacielu.

### 3. Przyszty Cmentarz

Wczesnym popołudniem dwaj wędrowcy dotarli na rozwidlenie siedmiu dróg. Ze wskazówek Saredy wiedzieli, że w tym miejscu będą musieli się rozstać. Bezimienny, drogą prowadzącą na północ, miał się udać do Mostu Miecza, Gowen zaś, drogą południową - do Mostu Podwodnego.

- Jesteś pewien, że podjąłeś słuszną decyzję? - upewniał się starszy rycerz.

Młodszy roześmiał się i zuchwałym tonem rzekł:

- Odpowiem ci słowami, które sam często słyszę: „Przekonasz się we właściwym czasie”.

Gowen pokręcił tylko głową i miał już ruszać w drogę, jednak zatrzymał się i zadał pytanie, które od dawna go dręczyło:

- Czy ty zupełnie straciłeś rozum, czy też jesteś najodważniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem?

-Gowenie...

Przyjaciel nie dał mu dokończyć:

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Przekonam się we właściwym czasie - uśmiechnął się słabo i nie czekając na odpowiedź, popędził wierzchowca, i galopem ruszył na południe.

Bezimienny, nie szczczędząc konia, jechał bez odpoczynku przed siebie. Patrząc z wieży był pewien, że morze jest niedaleko, sądził więc, że jeszcze przed wieczorem uda mu się dotrzeć do brzegu. Tymczasem zapadła noc, a on ciągle jeszcze jechał przez las. O północy znalazł więc małą polanę i postanowił zatrzymać się na nocleg. Rozpalił ogień, upiekł zająca, którego upolował przed zachodem słońca, i spożył wieczerzę. Samotność nie sprawiała mu przykrości. Wreszcie mógł swobodnie myśleć o Ginewrze bez obawy, że jakimś nieostrożnie wypowiedzianym słowem wzbudzi podejrzenia Gowena, pragnącego niewątpliwie poznać obiekt jego marzeń. Już w pierwszej chwili, kiedy podczas ceremonii prezentacji u króla królowa raczyła obdarzyć go swoim spojrzeniem, zawładnęło nim jakieś nieznane uczucie, jednocześnie rozkoszne i bolesne. Nie umiał, czy raczej nie śmiał go nazwać. Dopiero wstrętny karzeł z wózkiem, naśmiewając się z gotowości do poświęceń, uświadomił mu, że z całą pewnością jest to Miłość. Do tej pory znał to słowo jedynie z opowieści o rycerzach, których nauczyciel Karadok i Wiwiana nie szczczędzili mu w zamku nad Jeziorem. Rycerze ci zasługiwali na Miłość dopiero, i tylko wtedy, gdy wykazali się przed swymi damami niezwykłymi przykładami bohaterstwa. Musieli zwyciężać smoki i złych olbrzymów, uchodzić cało ze zdradzieckich pułapek, po stokroć udowadniać waleczność i odwagę. Tymczasem odkrył, że Miłość przypomina uderzenie pioruna, który trafia w samo serce. Jest raczej objawieniem, a nie nagrodą. Początkiem prób, jakim miał być poddany, a nie ich ostatecznym celem.

Gdy po wyzwaniu rzuconym przez Czarnego Rycerza królowa opuściła wielką salę, by przygotować się na wyprawę

z senezalem Keu do Północnego Lasu, młodzieniec wśliznął się niepostrzeżenie do jej komnaty. Ukryty za kotarą odczekał, aż płaczące dworki opuszczą pomieszczenie, po czym wszedł do środka. Pełen szacunku, onieśmielony zarazem swoją zuchwałością, nie miał siły spojrzeć na Ginewrę, od razu więc padł na kolana i pochylił głowę do ziemi.

Obawiał się, że królowa każe mu niezwłocznie wyjść, ona jednak tego nie uczyniła. Przerwawszy długie milczenie, zmienionym tonem zapytała, po co przyszedł. Młodzieniec nie wiedział, czy niepewność w jej głosie spowodowana była ciężką próbą, jakiej miała być poddana, czy też jego niespodziewaną wizytą. Podniósł głowę i wskazując miecz, rzekł: „Byłby to dla mnie wielki honor, gdybym mógł otrzymać ten miecz z twoich rąk, pani”. Królowa zawahała się przez chwilę i już miała przypomnieć śmiałkowi, że to król wymierzył mu przewidziany rycerskim obyczajem policzek, a zatem to on powinien dopełnić ceremonii, gdy młodzieniec odezwał się ponownie: „Pozwól, pani, bym oddał się do twoich usług. Przypasz mi miecz, a ja cię ocalę”.

Słyszac taką deklarację, Ginewra roześmiała się. Jej krótki, perlisty śmiech pozbawiony był kpiny. Przyszły rycerz spojrzal jej w oczy i odczytał w nich zmieszanie obecne wcześniej w jej głosie. Zrozumiał, że jedynie pozycja królewskiej małżonki i szacunek do męża powstrzymywały ją przed spełnieniem jego prośby. Ośmielony tym spostrzeżeniem postąpił tak, jak podpowiadał mu wewnętrzny głos, popychający go nieodparcie ku niej. Powstał z kolana, zbliżył się do królowej i przytknął ostrze miecza do jej dłoni. Ginewra spuściła wzrok. Młodzieniec słyszał wyraźnie jej przyspieszony, nierówny oddech. „Pani, proszę” - powiedział błagalnym tonem.

Bez słowa wyciągnęła ręce, by sięgnąć po rękojeść. Dłonie obojga zetknęły się. Przelotne dotknięcie wydało się młodzieńcowi najrozkoszniejszą pieśczętą. Królowa spojrzała mu prosto w oczy, wypowiedziała wyczekiwane słowa: „Bądź moim rycerzem!” i nie odwracając wzroku, przypasała mu miecz.

„Jedno ci nakazuję, mój rycerzu. Nie stawaj na przeszkodzie Keu. Pozwól, by stoczył walkę, jakiej się podjął. Nie łam przysięgi, bo byłby to niewybaczalny błąd”.

Spełnił jej prośbę. Odczekał, aż Keu i królowa odjechali dostatecznie daleko, i dopiero wtedy ruszył za nimi. Zatrzymał się na skraju Północnego Lasu, by dać seneszalowi czas. Kiedy uznał, że nadeszła właściwa pora, odnalazł pole walki. Widok, jaki ujrzał, nie był dla niego zaskoczeniem: pokonany Keu leżał na trawie złany krwią. Ułożył rannego wygodnie pod drzewem i ruszył w pościg za Malagantem, gotowy odbić branke.

- Kocham, kocham, kocham - powtarzał półgłosem młody rycerz, siedząc samotnie przy dogasającym ognisku.

Sam dziwił się uczuciu, jakie ogarniało go na każdą myśl o Ginewrze. Miał wrażenie, że kobieta jest tuż obok, lecz rozumiał, że to nieprawda. Świadomość jej nieobecności oraz obawa o bezpieczeństwo damy jego serca napępniały go głębokim bólem. Nie troszczył się o własny los: nie znał go, ale czuł się wybrańcem. Jedno było pewne: pragnął służyć Ginewrze i poświęcić jej swoje życie. Nie wiedział, z czym to się wiąże. Nie chciał wiedzieć i to był jego wielki błąd.

Wczesnym rankiem udał się w dalszą drogę i po przebyciu kilku mil stanął wreszcie na skraju lasu. Kamienna droga opa-

dała stamtąd w głąb doliny, której środkiem płynęła prawie wyschnięta rzeka. Kiedy rycerz dotarł do jej brzegu, niebo nagle pociemniało. Spojrzał w górę. Ciemne, gęste chmury przesłoniły słońce. Chcąc przedostać się na drugą stronę, próbował popędzić konia, lecz ten nie ruszył się z miejsca. Zdenerwowany spiął go mocno ostrogami, aż brzuch wierzchowca spłynął krwią. Bez skutku. Zszedł na ziemię, chwycił drżące zwierzę za uzdę i wszedł do płytkiej wody.

Lodowate zimno przeszło mu stopy. Postąpił jeszcze dwa kroki, próbując zmusić konia, by szedł za nim. Woda w rzece była nie tylko lodowato zimna, ale w dodatku gęsta jak rtęć. Jakby żyła jakimś tajemnym życiem: to falowała groźnie, to znów rozlewała się całkiem płasko. Wędrowiec czuł, że sztywnieją mu nogi, stając się jednocześnie ciężkie jak kamienie. Ciągnąc z całej siły stawiającego opór wierzchowca, starał się przyspieszyć kroku. Ostry mróz utrudniał oddychanie, dolna połowa ciała zmieniała się w bryłę lodu. Choć nogi odmawiały mu posłuszeństwa, brnął naprzód, aż ostatnim wysiłkiem padł na kamienie po drugiej stronie rzeki, wypuszczając z dłoni cugle. Uwolniony rumak zarżał i wyrwał się do przodu, lecz po chwili padł wyczerpany na trawę. Wykończony rycerz z trudem uwolnił stopy ze śmiercionośnej wody i wspiął się na brzeg.

Potrzebował dłuższego czasu, by się rozgrzać. Leżąc na trawie, ujrzał, że jego koń powoli dochodzi do siebie: przestał drżeć, a po chwili podniósł się z ziemi. Stopniowo również on sam odzyskał siły i bez większego problemu stanął na nogach.

Nigdy wcześniej nie widział równie dziwnej rzeki. Najwidoczniej ktoś musiał rzucić na nią zły czar. Nie chciał o tym dłużej myśleć. Podszedł do konia, pogłaskał go po

szyi, zasiadł w siodle i nie odwracając głowy, ruszył prosto przed siebie.

Nie zajechał daleko; gdy wspiał się na szczyt sąsiedniego wzgórza, drogę zagroził mu potężny mur. Wznosił się na wysokość czterech mężczyzn i był zbudowany z wielkich bloków czarnego kamienia. Młodzieniec postanowił go obejść. Po wschodniej stronie ujrzał wielką bramę otwartą na oścież. Kiedy bez wahania wjechał do środka, ujrzał przed sobą drugi, podobny mur.

W tej samej chwili rozległ się głuchy dźwięk, który spłoszył konia. Rycerz odwrócił głowę i ujrzał, że ciężkie skrzydła zamknęły się za jego plecami. Wokół nie było żywej duszy, Bezimienny nie dostrzegł też żadnego systemu łańcuchów, pozwalającego z daleka otwierać i zamykać bramę. Czarne niebo rozświetlały teraz siarkowożółte błyski. Od czasu do czasu spomiędzy chmur dobiegał groźny pomruk grzmotów.

Zsiadł z konia, popchnął żelazną kratę i gotowy na wszystko, z dłonią na rękojeści miecza, znalazł się po drugiej stronie wewnętrznego muru. Teren poza nim był rozległy jak sporej wielkości miasteczko, lecz zamiast domów zastał groby. Dzieśiątki mogił. Ułożone współśrodkowo, wokół białej, podobnej do małego zamku kaplicy, proste nagrobki wykonane były z białego kamienia. Dwa głośnie uderzenia pioruna rozległy się, gdy wędrowiec podchodził do pierwszych z nich.

Na każdej płycie wryty w kamieniu napis głosił: „Tu spocznie taki to a taki rycerz”. Zaskoczony przykro młodzieniec czytał kolejne nazwiska: Kliges, Sagremor, Hektor, Girflet, Ereke, Keu. Wszystkich ich przed kilkoma dniami widział zdrowych na dworze króla Artura. Brehu, Karadigas, Tohort, Beduier, Lukan. W ostatnim kręgu, tuż przy kaplicy, znalazł nazwisko Iwena, a kawałek dalej - Gowena.

Rozpętała się gwałtowna burza. Błyskawice raz po raz rozrywały czarne niebo. Objęte upiornym światłem kamienie rozciągały się aż po same mury. Po raz pierwszy w życiu Bezimienny czuł, że się boi. On, który miał odwagę walczyć z każdym przeciwnikiem, w tym pustym, ponurym miejscu naznaczonym grozą śmierci spotęgowaną nawałnicą czuł się niepewnie i nie bardzo wiedział, jak się zachować. Jedno tylko przyszło mu do głowy: iść naprzód. U stóp kaplicy znalazł jeszcze cztery groby. Dwa po lewej i dwa po prawej stronie. Na kamieniach po lewej przeczytał nazwiska rycerzy, którzy nie byli mu znani: Persewala i Galahada. Kamienie po prawej ustawione były tak blisko siebie, że mogło się wydawać, iż wieńczą jeden wspólny grób. Bezimienny pochylił się i zadrzał z przerażenia, gdy w świetle kolejnej błyskawicy odczytał nazwisko Ginewry.

Odruchowo odskoczył do tyłu. Jakże to? Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Ona ma umrzeć? Nie wyobrażał sobie śmierci tej, którą kochał całym sercem. Nie zwracał uwagi na ostatnią płytę, tylko dobył miecza i patrząc w rozjaśnione błyskawicami niebo, szukał słów, by rzucić wyzwanie śmierci. Nagle usłyszał wołanie i pomyślał, że to jej głos.

- Rycerzu! Rycerzu, przyjdź do mnie!
- Kto mnie woła?
- Rycerzu! Tu jestem, w kaplicy.

Strach ustąpił miejsca zdziwieniu. Bezimienny rozpoznał głos młodej kobiety, delikatny, a zarazem zdecydowany. Jej obecność nadała ponuremu miejscu bardziej ludzki wymiar. Bez wahania wszedł do środka.

Wnętrze kaplicy było znacznie większe, niż można było przypuszczać, kierując się jej zewnętrznym kształtem. Rycerz zrobił kilka kroków po omacku, potem usłyszał trzask



rozpalanego ognia. Mrok rozproszyło światło siedmiu pochodni zawieszonych na ścianach.

Jedynym stojącym w kaplicy sprzętem był prosty ołtarz w kształcie stołu, stojący w głębi. Stamtąd też wzywała pomocy przykuta łańcuchem do ściany młoda dziewczyna w sukni koloru wiosennej trawy

-Rycerzu...!

Bezimienny rzucił się w jej stronę. Miała złote włosy i wielkie niebieskie oczy, w których odbijał się blask pochodni. Końcówką miecza rycerz przeciął okowy krepujący jej nadgarstki.

- Kto cię tu uwięził, pani? Nie widziałem nikogo. Wszędzie tylko groby z imionami ludzi, którzy przecież żyją.

- Baudemagus rzucił zły czar na nasze miasto.

- Kim jest Baudemagus?

- To czarownik, doradca księcia Malaganta z Gorre.

- Wciąż ten Malagant! - zdenerwował się rycerz. - Dlaczego cię skrzywdził?

Dziewczyna drżała na całym ciele. Bezimienny zdjął pelerynę i okrył jej ramiona. Podziękowała mu w milczeniu i uśmiechnęła się nieśmiało. Spojrzenia młodych spotkały się. Patrzyła na niego tak intensywnie, że zmieszał się i pierwszy spuścił wzrok.

- A więc widziałeś groby? I przeczytałeś imiona?

-Tak...

Na wspomnienie imienia Ginewry trwoga ścisnęła mu serce.

- Znalazłeś też swoje?

- Nie, zresztą to by nie było możliwe.

- Dlaczego? Czyż nie jesteś rycerzem króla Artura jak wszyscy, którym wyznaczono tu miejsce wiecznego spoczynku?

- Jestem rycerzem króla Artura - przyznał.  
- Zatem twoje imię musi być wyryte na jednym z nagrobków.

-Mówiłem ci już, że to niemożliwe. A teraz ty odpowiedz mi, dlaczego Malagant cię uwięził.

- Przyglądała mu się chwilę uważnie, a w jej oczach koloru morskiej toni kryło się kolejne pytanie. Nie zadała go jednak, lecz powiedziała:

- Wstąpiłam przejazdem do Sorelois, by odwiedzić Galehota, syna pana tutejszych włości. Niespodziewanie wczoraj wieczorem pojawił się Malagant z bandą Saksończyków. Miał przy sobie złotowłosą brankę, w której od razu rozpozналиśmy królową Ginewrę. Galehot jest giermkim, a jego ojciec - wasalem Malaganta, obaj są mu więc winni posłuszeństwo i gościnę. Kiedy jednak Galehot zobaczył, kogo więzi Malagant, stwierdził, że nie będzie popierał jego nikczemnego postępuku, i kazał mu natychmiast wyjechać. Jak zapewne przypuszczasz, Czarny Rycerz nie darował zniewagi. Z zemsty zamierzał zrównać miasteczko z ziemią i byłby to uczynił, gdyby nie nadszedła pani Morgana z Mordretem i czarownikiem Baudemagusem. Morgana zapytała Malaganta o przyczynę jego gniewu, a kiedy ją wyjaśnił, znalazła inne rozwiązanie. „Widzę Galehocie, że darzysz wielkim szacunkiem króla Artura i jego rycerzy. Uczynimy ci zatem wielki honor. Niech to miasto stanie się miejscem ich pośmiertnej chwały!”. Gestem nakazała Baudemagusowi wymówić odpowiednie zaklęcie. Wiesz, rycerzu, Morgana jest znawczynią czarnej magii. Tym sposobem Sorelois stało się przyszłym cmentarzem.

- Morgana... - Bezimienny wymówił szeptem jej imię. - Nie wiesz, pani, dlaczego ona tak nienawidzi Artura? Przecież jest jej bratem!

Dziewczyna uśmiechnęła się zagadkowo.

- Nie sądzę, żeby Morgana nienawidziła brata. Nienawidzi swego kochanka.

Bezimienny zmarszczył brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Nie rozumiem...

Położyła dłoń na jego dłoni.

- Są sprawy, o których lepiej nie mówić.

Jej palce delikatnie go głaskały. Poruszony tym młodzieńiec odsunął się gwałtownie.

- Jedźmy stąd. Ten cmentarz mnie przeraża.

- Nie możemy, rycerzu.

-Zaufaj mi. Nie powstrzyma mnie żadna burza, żaden mur, żadna brama!

Chwyliła go za rękę. Jej oczy płonęły i nie był to już blask odbijających się w nich pochodni.

- Ufam ci. Jesteś tym, na którego czekałam.

- Czekałaś na mnie?

- Powiedz mi swoje imię - błagała - a będę pewna, że to naprawdę ty.

Bezimienny był zakłopotany; nie mógł znieść zaborczego wzroku, którym pożerała go dziewczyna. Chciał uwolnić się z uścisku, lecz nie wiedział, jak to zrobić, by jej nie urazić.

- Proś mnie o co tylko zechcesz, lecz nie pytaj o moje imię i - jedźmy już! - zaproponował.

Powstrzymała go z zaskakującą siłą.

- Dobrze, skoro chcesz, pozwolę ci zataić imię, ale chwycę cię za słowo.

Przygryzł wargi, zły, że dał się podejść, gdy bez zastanowienia powiedział: „Proś o co tylko zechcesz.”

- Czego więc żadasz? - zapytał nieufnie.

- Powiem ci później, jakie jest moje największe życzenie. Najpierw jednak poproszę, byś zdjął z miasteczka czar rzucony przez Baudemagusa.

- Jak mam to uczynić? Nie jestem czarownikiem.

- Jesteś rycerzem. To wystarczy. Chodź!

Zaprowadziła Bezimiennego do małych żelaznych drzwi, których wcześniej nie widział z powodu ciemności. Były tak ciężkie, że dopiero z jego pomocą zdołała je pchnąć. Gdy się otworzyły, oboje cofnęli się z wrażenia: z otchłani usłyszeli przesycone lękiem i rozpaczą wołania mężczyzn, kobiet i dzieci. Skargi, lamenty i rozdzierające okrzyki bóleści dochodziły z położonej pod kaplicą niewielkiej piwnicy, której ściany wyłożone miedzianą blachą lśniły opromienione krwawym światłem z niewidocznego źródła.

- Co to ma znaczyć? - zdumiał się Bezimienny.

- Morgana i Baudemagus zamknęli tu demony i duchy nieszczęśników zmarłych bez pochówku.

Rycerz wziął się w garść i wszedł do piwnicy. Aby nie słyszeć przerażających wrzasków, które przesywały mu serce, przykrył sobie uszy dłońmi. Na środku pomieszczenia znajdowała się czarna dziura podobna do studni. Bezimienny z dziewczyną podszedł do samej jej krawędzi. Ostrożnie odsłonił uszy. Miał wrażenie, że ze wszystkich stron atakują go niewidzialne, acz obrzydliwe istoty, ocierają się o czoło i szyję, wciskają się do ust.

- Zejdź do studni, rycerzu, a zły czar pryśnie.

Musiał posłuchać. Nie miał innego wyjścia. Spełnienie danej obietnicy jest obowiązkiem rycerza.

- Powtarzam, pani, że nie jestem władny stawić czoła magicznej mocy czarownika. Twoja prośba tego nie zmieni.

-A ja ci powtarzam, rycerzu, że zdejmiesz rzucony przez niego czar. Wystarczy, że znajdziesz klucze.

- Jakie klucze?

- Wiesz chyba, że działanie czaru można unieszkodliwić, stosując odpowiednie zaklęcie? A może wynajdujesz przeszkody po prostu dlatego, że się boisz?

Jeśli Bezimienny miał jakiejkolwiek wątpliwości, po tych słowach nie wahał się już ani chwili. Uniósł dumnie głowę, wyprężył ramiona, po czym machnął obojętnie ręką, jakby chciał odpędzić od siebie jej słowa, brzęczące niczym mu-cha, i rzekł:

- Jeśli jest jakiś klucz, to wiedz z góry, że już go masz.

To powiedziawszy, usiadł na krawędzi studni, zawiesił na szyi białą tarczę z dwiema szkarłatnymi szarfami i po łańcuchu opadającym ku czeluści, skąd dochodziły piekielne głosy, opuścił się na dół, znikając dziewczynie z oczu.

Po pewnym czasie jego stopy dotknęły dna studni. Był tak głęboko, że otwór nad głową wydawał mu się maleńką plamką czerwonego światła. Po lewej ręce dostrzegł wejście do podziemnego korytarza. Dochodzące zewsząd hałasy ogłuszały go. Musiał bardzo intensywnie myśleć o królowej, by nie poddawać się niszczycielskiej mocy, która ogarniała jego serce, zaszczepiając w nim zwątpienie. Wiedział, że musi jak najszybciej wypełnić zadanie, w przeciwnym razie bowiem będzie zdolny pragnąć jedynie śmierci. Złoto-błękitny obraz Ginewry, jaki miał przed oczami, dodał mu otuchy. Nie zastanawiając się długo, ruszył w głąb podziemi.

Zdążyć zrobić zaledwie dwa kroki, gdy rozległ się potworny huk. Ziemia zadrżała. Bezimienny zachwiał się na rogach. Ze ścian wokół niego spadały różnej wielkości kamienie. W ostatniej chwili zrobił unik. Potężna belka ode-rwała się od stropu, omal nie miażdżąc mu kręgosłupa. Szedł, jakby płynął pod prąd bystrej rzeki. Miał wrażenie, że abliża się do samego jądra otchłani, skąd dobiegały rozpaczli-wie skargi i lamenty. Z wysiłkiem torował sobie drogę przez skalne rumowisko. W korytarzu panował piekielny hałas, a wiszący w powietrzu gęsty kurz utrudniał oddychanie. Niespodziewanie korytarz skręcił w lewo. Ostre światło oślepiło przywykłe do ciemności oczy rycerza.

Mimo że nic nie widział, przyspieszył kroku i po chwili znalazł się w obszernej grocie wykutej w skale. Usłyszał trzask pękających belek: strop korytarza zawalił się i odciął mu odwrót.

Wpadające tu, oślepiające światło pochodziło z korytarza po przeciwnej stronie. Bezimienny postąpił naprzód. Oswo-jony już z jasnością zobaczył, że dostępu do wnętrza bronią dwaj uzbrojeni rycerze z obnażonymi mieczami w dłoniach. Pierwszy ustawiony był bardziej z przodu, drugi - trzy kroki za nim.

- Rycerze! - zawołał młodzieniec. - Przybyłem odczynić czary. Biada temu, kto ośmieli się stanąć mi na drodze!

Zdziwił się, że żaden nie podjął wyzwania. Stali nadal nieruchomi i obojętni.

- Odsuńcie się! Głusi jesteście?

Zdenerwowany ich pogardliwym milczeniem miał powtó-ryć wyzwanie, gdy nagle obaj jak na komendę podnieśli do góry miecze. Rozległ się szcęk metalu.

Zrobił jeszcze krok, przyglądając się im dokładnie. Już od wejścia widział, że są wyjątkowo wysocy, o dwie głowy wyżsi od najpotężniejszych Saksończyków Malaganta. Teraz zrozumiał, że pod lśniącymi zbrojami i hełmami nie kryli się żywi ludzie.

- Miedziani rycerze — szepnął zdumiony do siebie. - Posągi...

Ruchome rzeźby. Mechanizm wprawiający je w ruch był bardzo sprawny. Młodzieniec przekonał się o tym, gdy podszedł bliżej. Miecz nie miedziany, lecz stalowy spadł na niego z szybkością błyskawicy, tak że ledwo zdążył osłonić głowę. Potężny cios przebił brzeg tarczy, ostrze zraniło mu ramię. Rycerz padł na ziemię i znalazł się poza zasięgiem śmiertelnego oręża. Rozległ się szczęk metalu i miedziana ręka uniosła się w górę, by zaatakować ponownie. Szybko stanął na nogi i ruszył do przodu. Jak przejść, gdy wejścia broni drugi strażnik?

Nie zastanawiał się długo, uniósł tarczę ponad głowę i z impetem rzucił się w stronę korytarza. Usłyszał trzask sprężyny i świst miecza, który ciał powietrze, trafiając w próżnię tuż za jego plecami. Miał wrażenie, że chłodna stal dosłownie otarła mu się o lędźwie.

Nie przejął się tym za bardzo. Najważniejsze, że się prze dostał.

Szedł dalej w stronę światła, skąd dochodził piekielny wrzask.

Drugi korytarz nie groził zawaleniem. Był też znacznie krótszy i prowadził do okrągłej komnaty. Znalazłszy się na jej progu, Bezimienny ujrzał pośrodku miedziany filar a pod nim posąg dziewczyny, wykonany również z miedzi.

Ostrożnie podszedł bliżej. Usłyszał metaliczny dźwięk i cofnął się odruchowo. Dziewczyna otworzyła miedziane usta i głosem cichym i matowym, lecz dziwnie dobrze słyszalnym wśród diabelskich krzyków, powiedziała:

— Rycerzu, wielki klucz otwiera filar, mniejszy - skrzynię.

Szczęknął metal i miedziana dłoń podała mu dwa klucze. Gdy po krótkim wahaniu chciał je wziąć, dziewczyna zaciśnęła swoje twarde i sztywne palce. Równoległe dało się słyszeć wycie tak potężne, że na jego dźwięk zadrżały ściany, a dotychczasowa wrzawa nagle umilkła.

Zza filara ukazała się postać tak ohydna, że trudno byłoby wyobrazić ją sobie w najokropniejszych nawet snach: na czarnym jak smołą ludzkim tułowiukołysały się trzy głowy, przypominające łby ogromnych brytanów. Pół tuzina wielkich oczu pobłyskiwało czerwono jak rozżarzone węgle, a otwarte pyski zionęły błękitnym ogniem. Potwór śmierdział niemiłosiernie - zgniły odór padliny mieszał się z duszącą wonią siarki. W czarnych dłoniach zakończonych ostrymi pazurami trzymał topór.

- Na święty krzyż! - krzyknął Bezimienny, by dodać sobie odwagi. - Jesteś człowiekiem czy trzema psami? Tak czy siak, brzydę się tobą!

W odpowiedzi potwór ryknął straszliwie trzy razy. Rycerz ściągnął rzemienie tarczy na przedramieniu. Ohydna postać podniosła topór i rzuciła się na przeciwnika.

Siła uderzenia była wielka, szczęście jednak nie opuściło młodzieńca. Z podziwu godną zręcznością odparł mieczem cios topora i osłaniając się tarczą, z całej siły natarł na psie łby. Obaj walczący upadli na ziemię. Bezimienny podniósł się pierwszy. Leżący potwór zamachnął się toporem, by zra-



nić go w kostki u nóg, lecz on podskoczył przytomnie, po czym szybko wbił napastnikowi miecz w pierś aż po gardę. Ugodzony jęknął przeraźliwie. Porażony cuchnącymi oparami wydobywającymi się z nozdrzy stwora rycerz upadł tuż obok niego. Złapały go mdłości, krztusił się, kaszlał, wreszcie z trudem podniósł się z ziemi. Jego przeciwnik zamarł w bezruchu. Czerwone oczy gasły jak dopalające się w kominku polana, a topór wypadł ze słabnącej dłoni.

Piekielne jęki rozległy się na nowo. Rozpaczliwe skargi uwięzionych nieszczęśników stawały się coraz głośniejsze.

Bezimienny wyrwał miecz z piersi potwora, wsunął go do pochwy i podszedł do posągu. Dziewczyna rozwarła miedziane palce i podała mu klucze. Umieścił większy w zamku na filarze i przekręcił. Za podwójnymi drzwiami ukazała się wielka czarna skrzynia. Pochylił się nad nią, małym kluczem otworzył zamek i podniósł wieko.

Jazgot, jaki wydobył się z wnętrza skrzyni, był tak głośny, że ogluszony rycerz upadł na wznak. W tej samej chwili sklepienie komnaty otwarło się i ujrzał nad sobą czarne, rozdierane błyskawicami niebo. Przestraszony młodzieniec ujrzał kłęby upiornego dymu wzbijające się spiralnie ku górze. Niezwykłemu zjawisku towarzyszył przejmujący, jednostajny łoskot, jakby z tysięcy gardeł wydobywała się prosta, oparta na jednej nucie rozpaczliwa pieśń. Dym sięgał chmur i mieszał się z nimi, tworząc na niebie fantastyczne kręgi. Pioruny były jeden po drugim, blask błyskawic raz po raz rozświetlał żalobną ciemność.

Nagle nawałnica ustała. Młody rycerz z bijącym sercem i przyspieszonym oddechem patrzył, jak ostatni kłąb dymu znika jakby wessany przez chmury, unosząc z sobą upiory i demony. Po chwili pojawiło się błękitne, spokojne niebo.

## 4. Imię

Oczom rycerza ukazały się schody prowadzące na zewnątrz. Ciało potwora zniknęło, podobnie jak miedziany posąg, filar i skrzynia. Bez przeszkód opuścił podziemie i wyszedł na świeże powietrze.

Na szczycie schodów czekała na niego dziewczyna w zielonej sukni. Uśmiechnęła się i podała mu ramię. Zdumiony widokiem, jaki ujrzał, nie zwrócił na nią większej uwagi.

Cmentarz zniknął. W miejscu grobów, oświetlone letnim słońcem, stały malownicze domy tonące w kwiatkach. Jak rozbudzeni z głębokiego snu, mrugając powiekami, wychodzili z nich mieszkańcy - mężczyźni, kobiety i dzieci. Żony odnajdowały mężów, siostry braci, dzieci rodziców. Witali się radośnie i padali sobie w objęcia, płacząc ze szczęścia.

Dziewczyna, choć urażona obojętnością rycerza, nie kryła wdzięczności.

- Dzięki tobie zły czar przysł, a ci ludzie mogli odzyskać wolność. Musieli przeżyć straszne chwile.

- Tak? - zapytał, jakby niedowierzając. - Jak sądzisz, gdzie Morgana i Baudemagus mogli ich zesłać?

- Wolę nie wiedzieć. Nie sądzę też, by coś zapamiętali. Chodź, przedstaw im się.

Zaprotestował gwałtownie.

- Po co? Straciłem już dość czasu. Muszę wypełnić przysięgę, nie mogę dłużej zwlekać.

- Po przyjeździe do Gorre królowa nie ruszy się z miejsca. Dzień w tę, dzień w tamtą nie zrobi różnicy.

Spojrzał na nią, nie kryjąc gniewu.

-Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy. Zresztą, skąd wiesz, że jadę do Gorre ze względu na królową?

- Wiedz, że wiem, i to powinno ci wystarczyć.

- Jesteś zuchwałą i źle wychowana!

Uśmiech zgasł na twarzy dziewczyny, a w jej błękitnych oczach pojawił się smutek.

- Wybacz mi, proszę. Nie chcę, żebyś mnie znienawidził.

- Czy to takie ważne? Przecież za pół godziny będę daleko stąd. Nigdy się już nie zobaczymy.

-I zapomnisz o mnie...

Powiedziała to tak smutnym tonem, że zmarszczył brwi i przyjrzał się jej uważnie

- Co się z tobą dzieje?

- Mimo wszystko nie mogłabym cię nienawidzić.

Coraz bardziej zbity z tropu młodzieniec wzruszył ramionami.

- Oczywiście, bo niby za co? W końcu cię ocaliłem.

- Jako rycerz nie mogłeś postąpić inaczej.

To stwierdzenie wywołało rumieniec na jego twarzy.

- Musiałem cię uwolnić i nie żądam w zamian wdzięczności. Przyznam jednak, że nie rozumiem twojego zachowania. Dlaczego mówisz: „nie mogłabym cię nienawidzić?”.

- Chciałabym powiedzieć więcej, ale wiem, że mi nie pozwolisz.

-Znów jakaś tajemnica - stwierdził rozgoryczony. - Mów, o co chodzi, i nie wmawiaj mi, że wiesz lepiej ode mnie, na co pozwolę, a na co nie.

- Rozgniewasz się.

- To niemożliwe! Już jestem wściekły.

Westchnęła głęboko i uśmiechnęła się blado.

- Skoro nalegasz, powiem. Kocham cię.

- To jakiś żart!

Miłosne wyznanie zaskoczyło go do tego stopnia, że odpowiedział bez namysłu, nie przebijając w słowach. Pierwszy raz znalazł się w tak niezręcznej sytuacji i zupełnie nie wiedział, jak ma się zachować. Powtarzał więc mechanicznie:

- To żart! To żart!

- Dlaczego sądzisz, że to żart?

- Przecież nawet się nie znamy! Spotkaliśmy się zaledwie przed godziną.

- Królową pokochałeś od pierwszego wejrzenia!

- Kto ci po...? - nie dokończył pytania.

- Czy bylbys gotów ścigać Malaganta i narażać się na tak wielkie niebezpieczeństwa, gdyby było inaczej?

-Jak możesz...?

- Wiesz, co ci powiem? Jesteś głupcem, a ja cię Kocham i oboje nic na to nie poradzimy.

Po tych słowach uniosła brzeg sukni i zdecydowanym krokiem udała się w stronę głównego placu miasteczka. Czerwony ze złości młodzieniec odczekał parę chwil, by opanować zmieszanie, i poszedł za nią, zdecydowany po swojej myśli dokończyć tę rozmowę.

W miejscu cmentarnej kaplicy wznosił się teraz niewielki zamek obronny z dwiema wieżami po bokach i warowną bramą pośrodku. Chwiejnym krokiem wyszedł z niej młody mężczyzna. Gdy ujrzał dziewczynę, z promiennym uśmiechem na twarzy pospieszył jej naprzeciw. Szczęśliwy przytulił ją do piersi.

- Ellano, tak się cieszę. Martwiłem się o ciebie. Sam nie wiem, co mi strzeliło do głowy, że sprzeciwiłem się Malagan-towi. Powinienem był przede wszystkim zadbać o twoje bezpieczeństwo.

- Uwierz mi, jestem z ciebie dumna. Nie zgodziłabym się, gdybyś chciał postąpić inaczej.

-Moja droga Ellano... - westchnął czule i pochylił się do rąk dziewczyny.

Miała zamiar je cofnąć, lecz na widok Bezimiennego zmieniła zdanie i pozwoliła, by zakochany młodzieniec pieścił jej palce.

Pozwól, że przedstawię ci śmiałka, który uwolnił nas od czaru rzuconego przez Morganę.

Giermek spojrzał w jego stronę.

- Witaj rycerzu! Nazywam się Galehot. Przyjmij wyrazy mojej głębokiej wdzięczności. Wróciłeś nam więcej niż życie. Uratowałeś nasze dusze. Jakiś czas bowiem spędziliśmy w piekle.

Na samo wspomnienie strasznych przeżyć zadrżał na całym ciele. Przedstawiając dalej Bezimiennego, Ellana powiedziała:

- Przybył do nas z Kamelotu, jednak nie ujawnił mi do-tąd swojego imienia.

- Podobnie jak ty, Ellano, nie ujawniłaś mi swojego - odpowiedział zadowolony, że w ten sposób zakończy rozpoczętą wcześniej rozmowę.

- Nie pytałeś mnie o nie, rycerzu.

- Prawdę mówiąc, nie dałaś mi na to czasu - rzekł chłodno.

- Powtarzałaś jakieś głupstwa, zapominając o grzeczności.

- Uważaj, rycerzu - wtrącił się Galehot. - Nie zwracaj się tym tonem do mojej narzeczonej!

Bezimienny ze zdumieniem spojrział najpierw na niego, potem na dziewczynę.

- A więc to twoja narzeczona?

- W sierpniu odbędzie się nasz ślub — oświadczył młody giermek i opiekuńczym gestem objął Ellanę w pasie.

Rycerz skłonił się im dwornie.

- W takim razie, przyjmijcie moje gratulacje i pozwólcie mi się oddalić. Czas mnie nagli.

- Nie! - zaprotestowała ostro Ellana i uwolniła się z objęć Galehota.

- Nie - powtórzyła. - Nie możesz wyjechać, a ty, Galehocie, nie możesz mnie poślubić.

- Dlaczego? - zakrzyknęli równocześnie obaj młodzieńcy.

Wzięła dłoń narzeczonego i oświadczyła:

- Lubię cię Galehocie i pragnę twojej przyjaźni.

Łapiąc za rękę Bezimiennego, dokończyła:

- Ale to ciebie kocham.

Obaj mężczyźni jak użądleni przez osę cofnęli nagle swoje dłonie. Galehot pobladły na twarzy zmierzył rywala wzrokiem.

- Czy to prawda?

- Uwierz, że jest mi równie przykro jak tobie - zapewnił go zmieszany rycerz.

- Jakże to? - zakrzyknął oburzony giermek. - Śmiesz gardzić uczuciem panny, za którą ja gotów bym oddać życie?

Bezimienny starał się znaleźć wyjście z kłopotliwej sytuacji. Nie wiedzieć dlaczego, szczupły młodzieniec, delikatny a zarazem porywczy, od pierwszego wejrzenia wzbudził jego sympatię. Nie chciał zranić jego ambicji, a tym bardziej jego ciała. Gdyby kodeks rycerski dopuszczał takie rozwią-

zanie, wymierzyłby chętnie policzek Ellanie, ona to bowiem winna była całego zamieszania.

- Zapewniam cię, że nie gardzę niczym uczuciem i szanuję twoją miłość do niej. Sam dobrze wiem, co znaczy kochać. Jeszcze raz proszę, pozwól mi odjechać.

- Uważasz mnie za tchórza czy za niedorostka, rycerzu? - obruszył się Galehot. - Sprawa jest zbyt poważna. Tylko walka na śmierć i życie może ją zakończyć.

Zdecydowany na wszystko giermek stanął naprzeciw niego.

- Bij się, rycerzu!

- Nie walczę z giermkami!

- Dobądź miecza!

Zniecierpliwiony Bezimienny wzruszył ramionami i odwróciwszy się na pięcie, nie zwracając uwagi na Ellanę i Galehota, ruszył przed siebie. Zgromadzeni wokół placu mieszkańcy poruszeni nagłym zajściem szeptali, że ich młody pan chyba nie całkiem uwolnił się spod czarodziejskiej władzy Morgany, gdyż tylko człowiek nawiedzony ośmiela się wyzywać na pojedynek rycerza króla Artura.

- Nie pozwolę, by ktoś odwracał się do mnie plecami! - krzyczał Galehot.

Dogonił rycerza, stanął przed nim i zagroził mu drogę.

- Bij się! Nie daruję ci upokorzenia.

- Nikt nie będzie mi rozkazywał, zwłaszcza ty, giermku.

- Bezimienny na próżno starał się powściągnąć temperament młodzieńca, który jednak nie ustępował.

- Zmuszę cię do walki! - zawołał groźnie i płazem miecza trącił bok rycerza.

- Pozwól mi wreszcie przejść! Nie zachowuj się jak smaracz! - zawołał oburzony Bezimienny

- Już drugi raz mnie obraziłeś! - zaprotestował Galehot i ponowił uderzenie. - Trzeciego razu nie będzie!

Rycerz króla Artura przymknął oczy i westchnął głęboko, rozcierając bok.

- Nikt dotąd nie uderzył mnie z wyjątkiem nauczyciela.

- I to był błąd - oświadczył rozdrażniony giermek.

- Sam tego chciałeś, chłopcze!

Nagle, ku zaskoczeniu wszystkich, lewą dłonią chwycił ostrze i nie zważając na krew ściekającą po palcach, bez większego trudu wyrwał Galehotowi broń. Prawą ręką złapał błyskawicznie miecz za rękojeść i czubek ostrza przyłożył do gardła giermka. Kropla krwi pociekła po jego szyi.

- Posunąłeś się za daleko. Będę musiał cię zabić.

- Nie! - krzyknęła Ellana.

Podbiegła do Bezimiennego, złożyła dłonie i błagalnym tonem prosiła.

- Nie zabijaj go. To wszystko moja wina. Nie powinnam była tak się zachować.

- Trochę późno to sobie uświadomiłaś.

Rycerz zrobił groźną minę i mocniej przycisnął miecz do gardła Galehota. Z satysfakcją stwierdził, że chłopiec nawet nie jęknął i nie poprosił o łaskę. Z pewnością był dziecinny, niezbyt zręczny w walce, lecz nie brakowało mu odwagi.

- Oszczędź go! Nie myślałam, że do tego dojdzie.

- Nie myślałaś? A więc przyznasz, że to ty okazałaś się głupia?

- Tak, bardzo głupia.

- Mówiłaś, co ślina na język przyniesie, i nie wiedziałaś, co robisz?

- Tak, nie zastanawiałam się, co mówię.

Bezimienny kiwał głową, udając zakłopotanie.



- Szkoda, naprawdę szkoda. Gdybyś wcześniej zrozumiała swój błąd, sprawy nie zaszyłyby tak daleko i nie musiałbym zabić tego chłopca. Wielka szkoda...

Dziewczyna padła na kolana.

- Błagam, nie zabijaj go.

Wyraźnie zatroskany rycerz przyłożył czubek miecza do brody Galehota.

- Zastanówmy się, co można zrobić. Jest jedno rozwiązanie, lecz ty nie zgodzisz się na nie - rzekł do Ellany.

- Zrobię wszystko, co mi każesz.

- To, co proponuję, jest niemożliwe. Sama tak powiedziałaś.

- Żądaj, czego tylko chcesz. Z góry na wszystko się zgadzam.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

-W takim razie...

Ponownie przyłożył czubek miecza do gardła młodzieńca.

- Obiecasz mi, że poślubisz Galehota w sierpniu, jak było ustalone.

Zawahała się. Spojrzała na Bezimiennego, następnie na narzeczonego. Po jego szyi płynęła wąska strużka krwi.

- Obiecuję - rzekła po chwili namysłu.

- Dobrze! Obiecasz mi też, że zapomnisz o tym, co mówiłaś do mnie, i nigdy już do tego nie wrócisz.

- Kiedy ja... - Ellana walczyła z samą sobą. Złożenie obietnicy, której wymagał od niej rycerz, wydawało się jej zadaniem ponad siły.

- Szybciej!

Drżącym głosem powiedziała:

- Nigdy więcej nie powiem, że cię...
- Dostyć! - uciał krótko. - Nie nadużywaj tego słowa.

Dziewczyna klęczała z pochyloną głową, skurczona, jakby chciała zajmować jak najmniej miejsca, Bezimienny podniósł ją z ziemi, a potem oddał miecz Giilehotowi i powiedział:

- A teraz pocałuj narzeczoną!

Na początku młodzi nie śmieli spojrzeć sobie w oczy. Rycerz wziął ich pod ręce i popchnął jechno ku drugiemu. Galehot objął Ellanę bez przekonania, jakby żałował tego, co robi. Dziewczyna podniosła głowę i przez chwilę wpatrywała się w niego niepewnym wzrokiem, po czym nagle wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Mieszkańcy przyjęli tę scenę gorącymi oklaskami.

Los najwyraźniej nie chciał, by Bezimienny szybko wyjechał z miasteczka. Kiedy Ellana i Galehot zauważyli, że korzystając z zamieszania, młody rycerz oddalił się i zniknął w tłumie opuszczających plac mieszczan, natychmiast pobiegli za nim.

- Czego jeszcze chcecie? - zapytał niezadowolony.
- Rycerzu - powiedział Galehot - my również wyruszamy zaraz w drogę. Jedziemy do ojca Ellany. To ten sam kierunek. Czy możemy ci towarzyszyć?
- To nierozsądne. Nie chcę narażać was na niebezpieczeństwa, które mi grożą.
- Uczyń mi honor i przyjmij mnie do swojej służby. Byłem wierny Malagantowi, lecz po tym, co się stało, nie zostanę jego rycerzem. Pozwól, bym został twoim giermkim.

- Nie potrzebuję giermka. Poza tym, Galehocie, jesteśmy niemal rówieśnikami, a ja sam zostałem rycerzem dopiero przed trzema dniami.

- Nikomu innemu nie chcę służyć.

W głosie Galehota było tyle szlachetnej dumy i zdecydowania, że Bezimienny zrozumiał, iż odmawiając, ciężko by go zranił. Polubił tego chłopca. Postanowił, że razem pojedą do zanku ojca Ellany, jednak tam każe mu na siebie zaczekać i samotnie, przez Most Miecza, dostanie się do Gorre.

- Zatem dobrze, Galehocie, lecz musicie się pospieszyć. Straciłem już naprawdę dużo czasu.

Przerwał, gdy rozradowany giermek próbował okazać mu wdzięczność. Skierowali swoje kroki do zamku. Ellana szła obok bez słowa, a on ani razu nie spojrział w jej stronę.

Podczas gdy młodzi przygotowywali się do podróży, Bezimienny z rękami skrzyżowanymi z tyłu przechadzał się nad fosą i zastanawiał nad przygodami, jakie spotkały go od wyjazdu z Kamelotu. Wyrzucał sobie, że od pewnego czasu wcale nie myślał o ukochanej Ginewrze, starając się teraz przywołać w pamięci jej obraz. Z niepokojem wspominał nagrobny kamień, na którym wyryte było imię królowej. Okrążywszy prawie cały zamek, po prawej stronie bramy ujrzał coś, co zaskoczyło go tak, że nagle cały zbladł.

Biały nagrobek. Jedyny, który nie zniknął wraz z całym cmentarzem, gdy zdjęty został zły czar. Zaniepokojony podszedł bliżej. Przypomniał sobie, że po przeczytaniu imienia Ginewry na kamiennej płycie nie zwrócił uwagi na drugą, leżącą tak blisko, jakby obie przykrywały jeden wspólny grób. Pochylił się pewien, że odczyta imię Artura, tymczasem jednak odnalazł zagadkowy napis:

*Tę płytę zdoła podnieść jedynie ten,  
kto zdejmie z tego miejsca zły czar.  
Jego imię widnieje w grobie.*

Przyciszonym głosem przeczytał dwa zdania wyryte na nagrobku i zaczął przyglądać się płycie. Była gruba na dwie piędzi i tak duża, że mogłaby przykryć dwóch ludzi. Do jej usunięcia potrzebna była siła co najmniej czterech Saksończyków Malaganta.

Bezimienny przykucnął, by przyjrzeć się jej z bliska. Na wprost, w dolnej części, zauważył wgłębienie. Włożył w nie cztery palce dłoni, kciuk przycisnął do krawędzi i lekko pchnął kamień ku górze.

Płyta okazała się lekka jak piórko. Zaskoczony rycerz wyprostował się i bez żadnego wysiłku uniósł ją do góry.

W otwartym grobie spoczywała metalowa trumna ozdobiona złotem, drogimi kamieniami i cenną emalią. Pośrodku, na alabastrowej tabliczce, widniał napis:

*Tu spocznie Lancelot z Jeziora,  
syn króla Bana z Benoiku.  
Zrodzi on lwa  
i będzie największym z rycerzy.*

- Wiedziałam, że jesteś Lancelotem.

Wyrwany z osłupienia, w jakie wprawilo go niespodziewane odkrycie, rycerz odwrócił się nagle i upuścił płytę, która upadając ciężko na ziemię, pękła na pół. Ellana ubrana w podróżny strój powtórzyła:

- Jesteś Lancelotem.

Popatrzył na nią tak, jakby spodziewał się w jej twarzy znaleźć odpowiedź na wszystkie swoje pytania i wątpliwości.

- Jestem Lancelotem - szeptał.

Imię, którego nigdy wcześniej nie słyszał, wydało mu się dziwnie bliskie, jak ulubione ubranie, które nosi się dłuższy czas, zdaje się być częścią ciała.

- Kim jest Ban z Benoiku?

-To król, który zdradzony przez własnego seneszała zmarł ze zgrzyoty widząc, że jego stolica i zamek giną w płomieniach.

- Był słaby?

- Nie był słaby, był dobry. Ponad wszystko kochał swoją młodą żonę i maleńkiego syna, którego mu dała.

- Moją matkę? Jak ona się nazywała? Jaki spotkał ją los?

- Ma na imię Helena i od osiemnastu lat oplakuje męża i syna.

- Skąd wiesz to, o czym ja sam nie mam pojęcia?

Wyraz smutku i żalu pojawił się w pięknych oczach dziewczyny.

-Wiesz, że na ciebie czekałam, lecz ty, Lancelocie, nie chciałeś słyszeć o mojej miłości. Zabroniłeś mi o niej mówić. Związałeś mnie przysięgą, którą złożyłam pod przymusem. Nie odpowiem już na żadne twoje pytanie.

- Dlaczego?

- Gdybyś przyjął moją miłość i odwzajemnił ją, otwarła by się przed tobą droga do wielkiego celu. Ty jednak dokonałeś innego wyboru.

- To prawda - rzekł Lancelot z naciskiem. - Kocham Ginewrę i nic na to nie poradzę.

Na ustach Ellany pojawił się zły uśmiech.

-Popełniłeś błąd i drogo za niego zapłacisz. Ginewra poślubiła Artura przed Bogiem, a ty przysięgałeś królowi wierność. Kochając królową, popełniasz podwójny grzech: obrażasz Boga i łamiesz rycerski kodeks.

- Zamilcz! Sam Bóg zaszczerpił tę miłość w moim sercu.

- Bóg? A może diabeł? Podobno Wiwiana zna dobrze Merlina, o którym mówią, że jest synem demona. Zastanów się, rycerzu.

Nie zostawiła mu czasu na odpowiedź. Zobaczyła Galehota, który w pełnej zbroi prowadził na wodzy osiodłane wierzchowce. Podbiegła do niego, rzuciła mu się w ramiona i zawołała:

- Ruszajmy! Chcę jak najprędzej zobaczyć ojca.

## 5. Kaleki król

Wyjechali poza mury miasteczka przez główną bramę, która stała teraz otworem. Przez pewien czas posuwali się z biegiem rzeki, przez którą rycerz przeprowadził się w drodze, zanim dotarł do miasteczka. Woda, która omal nie zmieniła go wtedy w bryłę lodu, uwolniona od złego czaru płynęła wartko wśród kamieni. Lancelot jechał na czele, by w razie potrzeby odeprzeć czyhające na wędrowców niebezpieczeństwo. Pozwoliło mu to uniknąć krępującego towarzystwa Ellany. Nie chciał dłużej słuchać jej wyznań i znosić spojrzeń pełnych wyrzutu.

Po pewnym czasie znaleźli się w lesie. Drzewa stopniowo stawały się coraz rzadsze. Przeważały wśród nich czarne, nagie, bezlistne kikuty. Wszędzie panowała martwa cisza, umilkły ptaki. Pozbawioną trawy i wszelkiej roślinności zie-

mię pokrywała gruba warstwa przypominającego popiół kurzu, który pod końskimi kopytami wzbijał się tumanami w powietrze.

Lancelot miał wrażenie, że zmrok zapada wcześniej niż wynikałoby to z pory roku lub raczej że na granicy ponurego lasu, za wąską wstęgą drogi, czeka na nich nie czarna, lecz szara jak spopieliała ziemia wieczna noc, otulająca tę smutną krainę.

Chwilę po opuszczeniu ponurego lasu, w ostatnich promieniach słońca wędrowcy dojrżeli fontannę. W martwym otoczeniu jej woda wydała się zaskakująco żywa. Spływała z góry do kamiennej misy w kształcie półksiężyca, gdzie rozdzielała się na dwa opadające ku dolinie strumienie. Niestety, najmniejsze nawet źdźbło trawy nie porastało ich brzegów, pokrytych czarnym rumowiskiem bazaltów i obsydianów.

- Zatrzymamy się tu i przeczekamy do świtu - postanowił Lancelot i zeskoczył z siodła. - O ile w ogóle można liczyć, że nadejdzie.

- Nadejdzie, szary jak noc, ale jednak jaśniejszy - uspokoił go Galehot. - Jesteśmy w Jałpwej Krainie, królestwie ojca Ellany, króla Pellesa.

- Co też uczynił twój ojciec, że zasłużył na takie przekleństwo?

- Sam go zapytasz, na pewno chętnie ci odpowie - rzekła dziewczyna tonem, który nie dopuszczał sprzeciwu.

Lancelot nie nalegał. Wziął konia za uzdę i doprowadził go do fontanny. Zwierzę piło łapczywie, gdy nagle po drugiej stronie cembrowiny coś załśniło. Obszedł konia dokoła, pochylił się i zobaczył złoty grzebień. Rozpoznał go natychmiast: taki sam miała we włosach Ginewra, gdy wręczała mu miecz.

Pomiędzy zębami pozostało kilka jasnych włosów, lśniących piękniej niż złoto grzebienia. Pogłaskał je czule palcami i chciał podnieść do ust, gdy za plecami usłyszał cichy odgłos kroków. Zaciśnął gwałtownie dłoń, by ukryć ozdobę.

- Zastanowiłeś się, Lancelocie?

Ellana stała za nim i mimo ciemności w jej oczach widać było błękitne ogniki.

- Nad czym miałem się zastanowić?

- Nad losem, który nas do siebie zbliżył.

- Mój los nie ma nic wspólnego z twoim.

- Jak to? Przecież gdybyś mnie nie uwolnił, nie pokazałabym ci zaczarowanych podziemi, nie pokonałbyś złych mocy i nie poznał swojego imienia.

- Jeżeli tak, to nie przeczytałbym go również, gdyby zabił mnie potwór o trzech głowach.

- Nie jesteś sprawiedliwy.

- Trudno. Czy ci się to podoba, czy nie, moje serce należy do królowej i nie ma o czym mówić.

Ellana podeszła bliżej. Wpatrywała się w niego, zaglądała mu w oczy, a jej źrenice płonęły takim żarem, jakiego rycerz pragnąłby pewnego dnia dopatrzeć się w oczach królowej. Czuł, że jest wzburzony, jakby nieodwzajemniona miłość dziewczyny zostawiła jakiś ślad w najgłębszym zakątku jego serca.

- Lancelocie, ostrzegam cię ostatni raz: wierzysz, że wybrałaś miłość, tymczasem zwyczajnie zblądziłaś. Jeżeli chcesz uchodzić za lojalnego rycerza, twoim obowiązkiem jest przede wszystkim uczciwość wobec króla.

- Przestań! Nic cię naprawdę nie obchodzi moja lojalność wobec króla. To tylko pretekst, żeby zniechęcić mnie do Ginewry.



- Czynię to dla twojego dobra, dla którego powinienes wyrzec się miłości do królowej.

- Jaką korzyść dałoby mi złamanie przysięgi, którą jej złożyłem? Niczym bezpański pies błąkałbym się bez celu i bez sensu po świecie.

- Zachowałbyś czyste serce.

- Czyste serce? Na co mi czyste serce, jeśli nie mógłbym nosić w nim obrazu Ginewry? Byłoby to serce puste. Własną ręką wyrwałbym je sobie z piersi.

- Lancelocie, tylko ktoś, kto ma czyste serce, kto w ciele rycerza ma lojalne i dobre serce dziecka, będzie mógł osiągnąć wielki cel.

- Co masz na myśli?

Otworzyła usta, aby mu odpowiedzieć, w ostatniej chwili jednak zmieniła zdanie. Spuściła powieki i rzekła:

- Nie dowiesz się niczego więcej, jeżeli nie zrezygnujesz z miłości do królowej.

Rycerz ścisnął złoty grzebień w jednej dłoni, drugą zaś głąskał kamienną cembrowinę.

- Martwi mnie twój upór, Ellano. Podobnie zresztą, jak twoje zainteresowanie moją osobą, mimo że szczerze powiedziałem ci o moich uczuciach. Sądzisz, że twoja tajemnica warta jest aż tyle, że aby ją poznać, powinienem zaprzeczyć się moich uczuć i samego siebie?

-Nie zaparłbyś się samego siebie. Wręcz przeciwnie: stałbyś się tym, kim powinienes być!

Zatroskany zmarszczył czoło, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał.

-Skoro, jak twierdzisz, miłość ta oznacza moją zgubę, być może powinienem jej się wyrzec...

- Uczynisz to Lancelocie? Będziesz do tego zdolny?

— Jeżeli wyrzeknę się Ginewry, wyjawisz mi swoją tajemnicę?

— Oczywiście, przecież dotyczy ciebie, a nie mnie. Lancelot podniósł głowę. Na szarocznym niebie nie było jednej gwiazdy.

—EUano - rzekł z powagą - wierzę ci. Wierzę, że tajemnica, którą chcesz mi wyjawić, dotyczy spraw większej wagi niż moja miłość do Ginewry.

—Zapewniam cię, że tak jest.

Nie przestając patrzeć w niebo, zapytał raz jeszcze:

—Więc powinienem zapomnieć o tej miłości?

—O tak! Zapomnij o niej! W nagrodę otrzymasz skarb, który nie ma sobie równych na ziemi.

Lancelot opuścił głowę i z powagą spojrział w rozżarzone oczy dziewczyny:

— Patrz! - powiedział i otworzył dłoń, na której lśnił złoty grzebień. To mój największy skarb i nie pragnę żadnych innych. Już postanowiłem, EUano. Gotów jestem wyrzec się twojej tajemnicy.

Ellana nie od razu zrozumiała, co miał na myśli. Kiedy dotarło do niej wreszcie, że podjął ostateczną decyzję, złość wykrzywiła jej twarz, a smutek zasnuł gorejące oczy.

— To szaleństwo! - syknęła. - Jesteś doprawdy szalony!

Dotknął jej ręki.

- Zostaw mnie! - krzyknęła, rzucając się do ucieczki, i zniknęła w ciemnościach nocy.

Lancelot stał w miejscu i ściskając w dłoni grzebień z włosami Ginewry, zastanawiał się, czy między szaleństwem a jego miłością do królowej istotnie nie ma różnicy.

Droga, którą podążali, przecinała szarą, jak okiem sięgnąć płaską równinę, rozciągającą się aż po horyzont.

- Jesteś pewna, że zamek twojego ojca wznosi się gdzieś tu niedaleko? - zapytał Lancelot.

Ellana nie odpowiedziała. Ukryta za welonem sięgającym ramion, od czasu nocnej rozmowy nie odezwała się do niego ani słowem. Galehot zbliżył konia do wierzchowca rycerza.

Niebo powoli jaśniało. Szarość, barwiąc się gdzieś gdzieś na niebiesko, złoto czy liliowo, stawała się mniej ponura.

- Przyspieszmy kroku. Korbenik jest już blisko.

Po przebyciu około pół mili, Lancelot dostrzegł wylaniającą się z szarego tła czarną sylwetkę budowli i ponaglił konia. Początkowo można było sądzić, że to tylko złudzenie, lecz w miarę jak podjeżdżali bliżej, jej kontury stawały się coraz bardziej wyraźne. Dopiero kiedy podjechali na odległość strzału z łuku, zobaczyli otoczoną głęboką fosą, kwadratową, masywną warownię z czarnych kamiennych bloków, zwieńczoną dwiema wieżami.

Ellana przyspieszyła i wyprzedziła Lancelota. Jej długi welon powiewał na wietrze jak proporzec, gdy przez zwozdzony most galopem wpadła do bramy.

- Ellano! - krzyknął Galehot.

Nie zareagowała i zniknęła wraz z wierzchowcem w murach twierdzy.

- Mogę zapytać, co się stało Ellanie?

Na twarzy giermka i w jego głosie było tyle szczerego niepokoju, że rycerz braterskim gestem położył mu rękę na ramieniu.

- Uspokój się, to nic poważnego. Ellana poślubi cię, kiedy odzyska równowagę, i zapomni o urojeniach, jakie dręczą ją wskutek uroków Morgany.

Kiedy podjechali do mostu, w dole nad fosą zobaczyli czterech chłopców trzymających wielki szkarłatny płaszcz z kapturem. W łodzi unoszącej się na wodzie, z której wyrastały białe lilie, pierwsze żywe rośliny, jakie ujrzeli, odkąd wjechali do martwej krainy, siedział stary mężczyzna i łowił ryby. Lancelot pozdrowił go i powiedział:

- Jestem Lancelot z Jeziora, rycerz króla Artura. Towarzyszę Ellanie, córce króla Pellea.

- Widziałem ją - odpowiedział starzec pogodnym głosem.

- Wpadła do zamku niczym furia, jakby przed kimś uciekała. Witaj, rycerzu. Jestem Pelles. Ty też witaj, Galehocie.

Dał znak ręką: dwaj giermkowie chwycili cumę i wyciągnęli łódź na brzeg. Dwaj inni weszli ostrożnie na pokład, owinęli starca płaszczem i znieśli go na ląd. Lancelot zobaczył, że ma chude, bezwładne nogi.

Król Pelles uśmiechnął się i wskazując zwodzony most, rzeki:

-Wjedźcie do środka i zostawcie konie w stajni. Zaraz do was dołączę. Mój „wierzchowiec” też ma dwie pary nóg

- rzekł z uśmiechem, opierając ręce na ramionach chłopców, którzy zanieśli go do zamku.

Na dziedzińcu czterej giermkowie zaopiekowali się Lancelotem i pomogli mu zdjąć zbroję. Jeden odebrał od niego hełm, drugi tarczę, trzeci pancierz. Czwarty nałożył na jego ramiona szkarłatny płaszcz, taki sam, jakim okryty został król. Galehot zabrał wierzchowca do stajni, a giermkowie zaprowadzili rycerza do mieszkalnej części twierdzy.

Tu oczom Lancelota ukazała się ogromna kwadratowa sala, największa, jaką kiedykolwiek widział. Trudno było uwierzyć, że mogła zmieścić się w ciasnych na pozór murach zamku. Jej ściany były cztery razy wyższe od ścian

wielkiej sali zamku Kamelot, gdzie kilka dni temu odbyła się ceremonia pasowania. Czterystu ludzi mogłoby wygodnie tutaj biesiadować. W wielkim kominku z potężnym okapem opartym na czarnych kolumnach piekły się cztery kozły.

Rycerz był zaskoczony, gdy na wielkim kwadratowym łożu pośrodku ujrzał Pellesa. Król Rybak, który tymczasem zdążył zmienić szkarłatny płaszcz na długą czarną suknię, leżał na boku i podpierał się łokciem.

- Wybacz, przyjacielu, że nie wstanę, by cię powitać.
- Rozumiem, panie. Nie kłopotuj się.
- Podejdź i spocznij obok mnie, proszę.

Skoro tylko Lancelot usiadł na łożu, król poklepał go przyjaźnie po ręce.

- Opowiadaj, przyjacielu, jak do mnie dotarłeś i jakie przygody spotkały cię po drodze.

- Wyjechałem z Kamelotu w dniu świętego Jana - zaczął Lancelot - i od tamtej pory prawie nie zsiadałem z konia.

- Żadnych spotkań, żadnych niespodzianek, dobrych ani złych?

- Niezupełnie. Kilka razy musiałem dobyć miecza.

Pelles uśmiechnął się z życzliwym zrozumieniem.

-Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Nie wyglądasz na człowieka, który unika niebezpieczeństw. Jakie masz plany? Dokąd się wybierasz?

- Do królestwa Gorre.

- Tak przypuszczałem. Wiesz, że droga do Gorre jest bardzo trudna?

- Mówiono mi, że na północ od twoich ziem istnieje most nazywany Mostem Miecza.

- Na Boga, tego mostu nikt nigdy nie przebył. Nie słyszałeś?

- Więc będę pierwszy!
- Wspaniale! - ucieszył się Pelles.

W jego oczach rycerz dostrzegł ten sam żar, który wcześniej rozświetlał wzrok Ellany. Nie rozumiejąc jego dziwnej reakcji, uśmiechnął się pytająco.

Król Rybak zamyślił się

- Od lat jadam sam w tej pustej sali - rzekł. - Odkąd moje nogi...

Pokazał bezwładne kończyny przykryte czarną suknią.

- Dziś jednak chyba zrobię wyjątek. Tak, na pewno zrobię wyjątek! Spożyjemy wieczerzę razem.

Pomysł wspólnej wieczerzy wyraźnie mu się spodobał, roześmiał się bowiem raz jeszcze, wprowadzając Lancelota w zakłopotanie. Gdyby to on stracił władzę w nogach i panował w opustoszałej jałowej krainie, na pewno nie byłoby mu do śmiechu.

Król skinął na czterech giermków, którzy stojąc przy wielkim kominku, czekali na jego rozkazy. Na dany znak złożyli zbroję Lancelota u stóp łoża i wyszli z sali przez małe drzwi w głębi, których wcześniej nie zauważył.

- Jaka to pilna sprawa, rycerzu, każe ci iść do królestwa Gorre przez Most Miecza - zapytał Pelles.

- Muszę wypełnić przysięgę, panie.
- Przysięgę złożoną Arturowi?
- Nie mogę nic więcej powiedzieć.
- Dlaczego musisz milczeć?
- To moja tajemnica. W pewnych okolicznościach rycerz powinien zachować milczenie.

Gospodarz nie nalegał, a Lancelot wolał nie mówić nikomu o przysiędze, jaką złożył królowej. Od wyjazdu z Kameletu wszystkie spotkane osoby zdawały się wiedzieć o nim

i losie, jaki go czeka, więcej niż on sam. To doświadczenie nauczyło go przezorności. Nie chciał dawać Pellesowi okazji do zadawania pytań ani wpływania na jego decyzję. Obawiał się, że jak pozostali, Król Rybak także próbował będzie odsunąć go od królowej i przedstawiać tysiące powodów, dla których powinien wyrzec się tej miłości. Nie dlatego, by wątpił w jej trwałość, lecz raczej z obawy, że kolejny raz będzie się musiał tłumaczyć. Był gotów uczynić to jedynie przed Bogiem. Ellana przekonała go. Rozumiał, że miłość do Ginewry oznacza sprzeniewierzenie się królowi i złamanie przysięgi wierności. Żadne racjonalne argumenty nie były jednak w stanie zawrócić go z obranej drogi. Kochał królową tak mocno, że bez wahania poświęciłby dla niej zarówno honor, jak i duszę.

Gdy postawiony wobec wyboru między miłością a obowiązkiem ostatni raz zmagął się w duchu ze sprzecznymi uczuciami, do sali wszedł jeden z giermków, trzymając w dłoni włócznię. Na długim i solidnym białym drzewcu tkwił czterościenny, ostro zakończony grot. Niosący ją młodzieniec zatrzymał się kilka kroków od łoża Króla Rybaka. Pogrążony w myślach Lancelot kątem oka dostrzegł perlącą się na czubku grotu kroplę krwi. Sam grot nie był zakrwawiony. Wąska czerwona stróżka zaczęła ściekać po drzewcu na palce giermka, lecz nie spadała na ziemię. Najwyraźniej nie pochodziła z rany zadanej włócznią, ale w jakiś tajemniczy sposób wydobywała się z samego grotu.

Zjawisko wydało się Lancelotowi dziwne, pogrążony jednak w myślach, mimo że ręka Pellea mocno ścisnęła mu ramię, nie zwrócił na nie uwagi i nie zapytał, co może znaczyć. Giermek z krwawiącą włócznią wyszedł, a wtedy król zwolnił uścisk i puścił rękę rycerza.

Po chwili do sali weszli trzej inni giermkowie. Dwaj z nich wnieśli złote czteroramienne świeczniki, a trzeci, idący nieco z tyłu, głębokie szerokie naczynie. Płomień ośmiu świec był tak wysoki i intensywny, że wystarczał w zupełności do oświetlenia wielkiego pomieszczenia. Na widok tej zaskakującej jasności Lancelot poczuł tęsknotę i nadzieję. Pomyślał, że kiedy ujrzy Ginewrę, jego serce rozjaśni się w podobny sposób i będzie świecić jaśniej i intensywniej niż świece na świecznikach. Ten nagły przypływ uczucia wywołał uśmiech na jego twarzy. Rozmarzony ledwo spoglądał na niesione obok cenne naczynie. Niemal nie zauważył, że ozdobione było czarną emalią i wysadzone drogimi kamieniami. Kiedy trzej giermkowie wyszli z sali tymi samymi drzwiami, w których zniknął giermek z włócznią, król Pelles westchnął ciężko, wyraźnie zawiedziony obojętnością gościa. Lancelot jednak i na to nie zwrócił uwagi.

- Powiedziałeś, Lancelocie, że w pewnych okolicznościach rycerz powinien zachować milczenie, a ja chcę dodać, że w pewnych okolicznościach nadmiar milczenia bywa niestosowny - podsumował całe zajście król.

Lancelot nie odpowiedział, sądził bowiem, że gospodarz ma na myśli jego wyprawę do Gorre. Postanowił, że nie powie na ten temat ani słowa więcej, i konsekwentnie się nie odzywał, wytrzymując badawcze spojrzenie Pellesa.

- Szkoda, rycerzu. Wielka szkoda - rzekł ze smutkiem stary król.

Skinął ręką, jakby wbrew sobie. Giermkowie wnieśli stół długi jak łoże, cały wykonany z kości słoniowej. W czasie gdy ich pan oraz jego gość myli ręce w przyniesionej im cieplej wodzie, nakryli blat pięknym obrusem. Na pierwsze da-



nie podano udziec z jelenia z pieprzem, a do tego wyśmienite stare wino w szczerozłotych pucharach.

Młody rycerz był bardzo głodny, jadł więc z dużym apetytem. Między jednym kęsem a drugim odpowiadał królowi, który, jakby nic nie zaszło - wypytywał go o dzieciństwo w zamku nad Jeziorem. W znakomitym humorze, z niecierpliwością, Lancelot czekał na świt, kiedy wyruszy w stronę Mostu Miecza, przeszkody, po której pokonaniu - jak sądził - szybko uwolni Ginewrę. Młodzieńcza energia i żądza przygód zawładnęły nim do tego stopnia, że nie dostrzegał smutku w oczach i w głosie Króla Rybaka. Zresztą, gdyby nawet go zauważył, nie zrozumiałby jego przyczyny...

## 6. Podstępna toast

Po wieczerzy król oświadczył, że jest zmęczony i udaje się na spoczynek. Gościowi, który zapewne wyczerpany był długą podróżą, zaproponował to samo. Lancelot zrozumiał, że gospodarz nie ma ochoty na dalszą rozmowę, lecz nie zastanawiał się nad przyczyną tego nagłego chłodu. Pożegnał się dwornie i prowadzony przez czterech giermków, pokonując niekończącą się płataninę korytarzy, schodów i schodków, trafił wreszcie do swego pokoju.

Przydzielona mu sypialnia mieściła się na szczycie jednej z wież, wznoszących się po obu stronach głównej bryły zamku. Łóżko wyglądało na wygodne, lecz Lancelot, który padał już z nóg ze zmęczenia, byłby zasnął bez trudu nawet na gołej posadzce.

Miał się rozbierać, gdy usłyszał pukanie.

Za drzwiami stała Ellana. Nie ucieszył się na jej widok. Obawiał się, że znów zacznie mówić mu o swej miłości lub o tajemnicy, której nie chciał poznawać.

Ona jednak z miłym uśmiechem wskazała na dwa puchary, które przyniosła na tacy.

— Lancelocie, przyszedłam cię przeprosić. Wstyd mi za moje zachowanie.

— Zapomnijmy o tym, Ellano.

Podawała mu puchar.

- Wypijemy na zgodę? - zapytała z nadzieją w głosie.

— Nic nie sprawi mi większej radości - odpowiedział i podniósł puchar do góry.

Złotawe wino o miedzianych refleksach kusiło oszałamiającym aromatem. Mile zaskoczony nagłą zmianą jej nastroju *dodał szczerze*:

— Jestem naprawdę szczęśliwy. Wierz mi, nie chciałem cię zranić. Po prostu nie mogłem postąpić inaczej.

- Wiem, Lancelocie. Uczucie, które tobą zawładnęło, jest zbyt silne, bym mogła sobie z nim poradzić. Dlatego postanowiłam wykorzystać je dla swojego dobra.

- A więc za nasze pojednanie!

- Twoje zdrowie!

Ellana umoczyła usta i spojrzała na niego zachęcająco. Młody rycerz uśmiechnął się i wypił do dna. Wino było mocne, mocniejsze niż się spodziewał, i miało przyjemny, choć trochę dziwny smak. Wnet poczuł zawrót głowy, ściany pokoju zawirowały mu przed oczami, po chwili jednak odzyskał równowagę. Dziewczyna przyglądała mu się uważnie. Poczul na sobie jej wzrok i nagle ogarnęła go fala czułości.

Wyjęła mu puchar z ręki.

-Na mnie już czas. Życzę ci dobrej nocy i pięknych snów - powiedziała i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Lancelot przyłożył dłoń do czoła. Wydawało mu się, że ma gorączkę. Czyżby z powodu zmęczenia? Nie czuł się chory, wręcz przeciwnie. Był pogodny. Wypite wino sprawiło, że serce biło mu mocniej, a krew krążyła szybciej. Zrzucił koszulę oraz pludry i szybko wśliznął się pod kołdrę.

Żaden materac nie wydawał mu się równie miękki. Przyłożył głowę do poduszki i natychmiast zapadł w głęboki sen.

Przyśniło mu się, że jasne światło wypełnia pokój, ukazując rozpiętą na ścianach i suficie oraz rozłożoną na podłodze błękitną tkaninę wyszywaną w złote gwiazdy. Bryty cienkiego pachnącego materiału falowały nad łóżkiem, muskały mu twarz, dając wrażenie dziwnej błogości. Poczul, że ktoś dotyka jego ramienia. Nie wystraszył się, nie podskoczył. Delikatny zapach świeżej trawy i różanych płatków podrażnił mu nozdrza. Obrócił się na łóżku i ujrzał złote włosy okalające spokojną, poważną twarz, wiedział, że to ta jedyna.

- Ginewra! - wyszeptał.

Usiadła tuż obok niego. Miała na sobie tunikę bez rękawów tak cienką, że nie kryła bieli jej ramion i doskonałości kształtów. Wyciągnęła rękę i czule pogładziła jego czoło.

- Tak długo na ciebie czekałam - powiedziała.

Nie odpowiedział. Obawiał się, że czar pieszczoty przysnie. Nigdy dotąd nie czuł takiego szczęścia, takiej błogości i rozkoszy. Marzył, by chwila ta trwała zawsze, aż do końca

świata. By ją zatrzymać, gotów był poświęcić wszystkie wyprawy, bitwy i rycerskie turnieje.

Przesunęła rękę niżej. Opuszkami palców pieściła mu delikatnie policzki i brodę, potem szyję i ramiona, wreszcie dotknęła dłonią jego piersi.

- Kocham cię, Lancelocie - wyznała i położyła się obok niego.

Nie śmiał się poruszyć. Czuł, jak ciepły oddech kobiety rozgrzewa mu krew. A może sprawiały to jej miłosne wyznania? Serce zabiło mu mocniej, gdy usłyszał rozkoszną zachętę:

- Ty też mnie kochaj, proszę.

Objął ją ramionami i przytulił mocno do siebie. Położył dłoń na jej biodrze, a ona przywarła ustami do jego warg. *Poczuł znajomy zapach wina, lecz nie wzbudziło to w nim żadnych podejrzeń.* Zapominając o całym świecie, ścisnął jej kształtne ciało, aż zupełnie zatracił się w jego cudownym, zmysłowym cieple.

Spał mocno do rana. Gdy otworzył powieki, słońce stało już wysoko na niebie. W zamku panowała niczym niezmiącona cisza. Żaden giermek, żaden służący nie przyszedł go obudzić. Usiadł na łóżku i przypomniał sobie swój sen. Pamiętał wszystko dokładnie, w najdrobniejszych szczegółach. Zdarzenia ze snu wydawały się prawdziwsze niż otaczająca go rzeczywistość. Głowa ciążyła mu trochę, a w ustach czuł jeszcze smak wina podanego wieczorem przez Ellanę.

Odchylił kapek, żeby wstać, i nagle zamarł z wrażenia. Na pościeli, tuż obok siebie, ujrzał odcisk ciała. Dotknął

go: był jeszcze ciepły. Na pogniecionej poduszce znalazł długi jasny włos.

Chwycił go za koniec i owinął wokół kciuka. Sny, nawet najbardziej wyraźne, pozostawiają ślady w pamięci i w sercu, ale nie na pościeli - pomyślał i poczuł, że drży. Czyżby to nie był sen? Ginewra była tu naprawdę? W jaki sposób dostała się do jego pokoju? Dlaczego uciekła, zanim się obudził?

Wyskoczył z łóżka, sięgnął do kieszeni pludrów i wyciągnął z niej cenną pamiątkę: złoty grzebień z kilkoma włosami królowej. Podniósł go wyżej, by porównać z nimi włos znaleziony przed chwilą. Na pierwszy rzut oka widać było wyraźnie, że różnią się od siebie. Włosy Ginewry lśniły ciepłym blaskiem złota, ten zaś był jaśniejszy i nie tak błyszczący.

Uczucie zawodu szybko ustąpiło miejsca złości. Lancelot zrozumiał, że został oszukany.

- To oszustwo! Podłe oszustwo! - krzyczał wściekłym głosem.

Ubierając się, pospiesznie odtwarzał w pamięci przebieg zdarzeń. Wszystko było jasne. Ellana wykorzystwała jego łatwowierność i pod pozorem pojednania, zamiast wina podała mu miłosny napój. To on wywołał nagłą falę czułości, chwilowy zawrót głowy i natychmiastową senność. Kiedy napój zaczął działać, Ellana wśliznęła się do jego pokoju. Wiedziała, że pod wpływem czarodziejskiej mocy weźmie ją za królową, i nie myliła się. Tulił ją, pieścił i całował, wierząc, że to naprawdę jego ukochana. Dał się podejść i kochał ją tak, jak przysiągł kochać tylko Ginewrę.

Lancelot był niepokieszony. Dał się podejść córce Pelleśa, lecz najgorsze było to, że przez jej sztuczki i swoją łatwowierność zdradził Ginewrę. Czyżby więc jego miłość była tak słaba, że zwykły podstęp wystarczył, by ją zniszczyć?

Biegał tam i z powrotem po schodach, przemierzał długie korytarze, zaglądał do pokoi, nawoływał. Na próżno. Wszędzie było pusto, pokoje zostały ogołocone z mebli. Wydawało się, że w zamku nie ma żywej duszy.

Kilka razy zablądził i wracał w to samo miejsce, wreszcie przypadkiem znalazł się w drzwiach wielkiej sali na parterze i w jednej chwili skamieniał. Na podłodze leżała sterta gruzu. Spod popękanych kamiennych płyt posadzki wyrastały kępki trawy, a hulający wiatr unosił w górę zeschnięte liście. Zawilgocone mury pokrywała sina pleśń i białe wykwity soli, a w olbrzymich rozmiarów kominku zalegał stos starego popiołu, wspomnienie dawno wygasłego ognia. Wszystko wyglądało tak, jakby od lat nikt tu nie mieszkał.

Lancelot szybkim krokiem podszedł do kwadratowego łoża, ustawionego na środku sali. Nakrywająca je kapa była dziurawa, między ramą zaś a hebanowymi nogami zwisały gęste pajęczyny. Hełm, pancerz i tarcza leżały tam, gdzie zostawili je giermkowie króla Pellesa. Pochylając się, by podnieść je z ziemi, rycerz oparł rękę o materac. Spróchniała drewniana konstrukcja załamała się z głuchym trzaskiem, a w powietrze wzniosła się chmura kurzu.

-A więc tu jesteś! Nareszcie! - zawołał Galehot, który niespodziewanie pojawił się w drzwiach.

Rozczochrany, w rozchełstanej koszuli, z kaftanem w ręce wyglądał tak, jakby nagle wyskoczył z łóżka. Ujrawszy, że Lancelot idzie w jego stronę z groźną miną, zrobił krok do tyłu.

- Co to za maskarada? - zapytał rycerz podniesionym głosem. - Gdzie Pelles, EUana i ich ludzie?

- Ja nic nie wiem. Twoje wołanie wyrwało mnie ze snu. Nigdy wcześniej tak mocno nie spałem. Narzuciłem ubra-

nie, w pośpiechu pobiegłem w twoją stronę, lecz zgubiłem drogę i dlatego jestem dopiero teraz.

- Może mi wytłumaczysz, co znaczą te diabelskie sztuczki? - rzekł Lancelot, szerokim gestem wskazując mu zrujnowaną salę. Czyżbyśmy spali sto lat?

- Nie mam pojęcia, co się stało. Wiem tyle, co ty.

- Przecież znałeś Ellanę i jej ojca?

- Tylko Ellanę i to od niedawna. Nigdy u niej nie byłem. Może tydzień temu sama, bez żadnej świty, przybyła do So-relois i pod nieobecność ojca udzieliłem jej gościny.

- Chciałeś się z nią ożenić.

- To prawda. Oczarowała mnie od pierwszej chwili, a któregoś wieczoru... - zawiesił głos.

- Mów szybciej!

- Poczęstowała mnie winem z winnicy swojego ojca i miałem cudowny sen.

Lancelot roześmiał się ponuro.

- Nie musisz kończyć. Wiem, co było dalej: obudziłeś się przekonany, że nie możesz bez niej żyć i poprosiłeś ją o rękę.

- Skąd o tym wiesz?

- Sam też piłem to wino pochodzące z kraju, w którym nie ma winnic. Jeszcze jedno chciałbym wiedzieć. Mówisz, że nigdy tu nie byłeś, a odniosłem wrażenie, że dobrze znasz zamek króla Pellea i Jałową Ziemię.

Przed przybyciem Malaganta Ellana wiele mówiła o swoim ojcu i jego królestwie. Opowiadała tak barwnie, że zapamiętałem wszystko w najmniejszych szczegółach, jakbym tu mieszkał.

- Dobrze zagrała swoją rolę.

- Jakże to?

- Posłużyła się tobą. Wykorzystała twą miłość, by sprovokować nieporozumienie, skutkiem którego omal nie podciąłem ci gardła. Gdyby nie to zdarzenie, nigdy bym tu nie przyjechał. Podła!

- Znieważyles ją, ostrzegam!

-Nie powinno cię to obchodzić. Ellana przepadła, na twoje szczęście.

Zakłopotany giermek gniótł w palcach brzeg koszuli.

- Problem w tym, że ja ją kocham. Rozumiesz?

- Nie kochasz jej, głupcze! Nie widzisz, że twoje uczucie zrodziło się pod wpływem napoju, który ci podała? To nie jest miłość, Galehocie, lecz upojenie. Wkrótce wytrzeźwiejesz.

- Nie sądzę. Zresztą, co tam napój, najważniejsze, że kocham.

*Lancelot wzruszył ramionami i skierował się do wyjścia.*

- Dureń! - rzucił na odchodnym, nie odwracając głowy.

Przeszedł przez dziedziniec do stajni. W częściowo zawalonych zabudowaniach stały tylko dwa konie, jego i Galehota. Giermek zakładał im siodła oraz uprząż, a on chodził w kółko wściekły i narzekał na cały świat. Od początku wyprawy wszyscy czynili mu wbrew. Wszyscy - oprócz niego samego - wiedzieli, co się wydarzy, i wykorzystywali go do swoich celów. On sam, błędząc w ciemnościach, starał się dążyć ku jednemu światłu, którym była dla niego Ginewra. Konieczność odbicia jej z rąk Malaganta uzasadniała znoszone przez niego trudy i nadawała sens jego życiu. Teraz postanowił, że nie zboczy więcej z drogi, nie będzie uwalniał uwieczonych panien, nie będzie odczytniał uroków ani walczył z potworami. Koniec!

Kiedy Galehot wyprowadził osiodłane wierzchowce ze stajni, wskoczył na siodło i chciał go odprawić.



- Wracaj do Sorelois, Galehocie, i nie przejmuj się Malagantem - polecił. — Sam się z nim rozprawię, możesz być pewien.

Młodzieniec dosiadł swego konia i pokręcił głową:

- Nie ma mowy! Nie pozwolę, byś odjechał beze mnie.

- Rozkazuję ci wracać do domu, rozumiesz? - nalegał rycerz.

- Nie wykonam twojego rozkazu.

- Nie drażnij mnie, bo będę zmuszony obciąć ci uszy.

- Zrobisz, jak będziesz uważał, ale ja i tak nie ustąpię.

- Uparty głupcze! Zrozum, że nie jesteś mi potrzebny. Trzymaj się ode mnie jak najdalej, tak będzie lepiej dla nas obu.

- Dla mnie nie, bo będąc blisko ciebie, szybciej odnajdę Ellanę.

- Dlaczego tak sądzisz?

-Wiem, że ona cię kocha i zrobi wszystko, żeby znów cię zobaczyć. Będąc przy tobie...

- Twoje rozumowanie jest bez sensu, wiesz dlaczego? Dlatego, że jeśli twoja Ellana zbliży się do mnie na mniej niż sto kroków, podetnę jej gardło. Czy chciałbyś ujrzeć ją martwą?

- Nie skrzywdzisz jej, Lancelocie. Jesteś rycerzem - powiedział Galehot pewnym głosem i popędził konia.

Lancelot zaczekał, aż przejedzie zwodzony most, i wzruszywszy ramionami, ostrogami spiął rumaka, by go dogonić. Fosa otaczająca twierdzę była sucha. Tam, gdzie jeszcze wczoraj kwitły lilie, dziś sterczały jedynie ostre pędy jeżyn.

- Dokąd jedziemy? - zapytał giermek.

- Na północ. Tam, gdzie czeka na mnie Most Miecza i moja królowa - odpowiedział Lancelot.

## ROZDZIAŁ I)

# \\tyspa Gorre

### 1. Kost Kieczą

Lancelot i Galehot nie zsiadali z koni aż do zachodu słońca. Po południu opuścili wreszcie Jałową Krainę i jej smutny spopielały krajobraz. Po przebyciu brodu na granicznej rzece, zagłębili się w gęsty las. Przez cały dzień nie spotkali żywego człowieka. W miarę jak posuwali się na północ, światło słoneczne było coraz słabsze a powietrze chłodniejsze.

Kiedy znaleźli się na skraju lasu, ujrzeli przed sobą rozległy, bezdrzewny płaskowyż porośnięty gęstą trawą z kępami wrzosu i żarnowca. Wąska droga była tak zarośnięta, że miejscami prawie nie było jej widać. Najprawdopodobniej od lat nikt nie zapuszczał się w te strony. Wilgotna bryza osadzała na twarzy i dłoniach jeźdźców drobne kropelki słonej wody.

- Czuję bliskość morza - rzekł Galehot.

- To dobrze. Przed północą dotrę do Gorre - ucieszył się Lancelot i popędził wierzchowca, który pędem ruszył przed siebie.

Gęsty dywan traw tłumiał tętent kopyt i wydawało się, że jeździec i jego rumak unoszą się nad ziemią. Mimo wysiłku koń Galehota nie mógł dotrzymać im kroku. Giermek z daleka śledził białą sylwetkę podobną do zjawy, rysującą się wyraźnie na tle ciemnego, zasnutego deszczowymi chmurami nieba.

Po pewnym czasie wiatr rozwiął chmury, a promienie zachodzącego słońca zabarwiły pogodne znowu niebo na złoto i różowo. Galehot dojrzał, że jego towarzysz zatrzymał konia i zamarł w bezruchu. By nie przeszkadzać, giermek powoli podjechał do rycerza i zatrzymał się tuż obok. Lancelot stał na krawędzi płaskowyżu, opadającego pionowo do morza. Skalna ściana była tak wysoka, że patrząc w dół na wąską plażę rozciągającą się u jej stóp, można było doznać zawrotu głowy.

- Oto Gorre!

Wyspa miała kształt stromej góry, wynurzającej się z morskiej toni. Jej wierzchołek zajmował obronny zamek zwieńczony potężną basztą. Zbudowane na zboczach poniżej kamienne domy sięgały aż do portu, w którym nie cumował żaden statek. Wysokie na trzy piętra fale przypląwu uderzały głośno o czarne, kamienne nabrzeże. Ich białe grzywy pobłyskiwały złowieszczo w krwawym świetle zachodu.

- Ponure miejsce - zauważył Galehot, drżąc na całym ciele.

- Takie jak jego pan.

Lancelot rozejrzał się po okolicy i z radością stwierdził, że nieco dalej na północ, wysoko nad powierzchnią wody, widzi wąską linię.

- To most - zawołał. — Jedźmy tam.

Bez zwłoki wskoczył na siodło i popędził w jego stronę. Giermek, który bez chwili wahania podążył za nim, ostrożnie prowadził konia brzegiem przepaści i zastanawiał się, czy to, co widzi, jest prawdą czy złudzeniem.

Nazwa mostu nie była przypadkowa. Istotnie był to miecz. Jego stal lśniła srebrzystym blaskiem, dzięki czemu, mimo zapadającej nocy, był doskonale widoczny. Wbity czubkiem w skalną ścianę, tuż poniżej jej krawędzi, rękojeścią opierał się o zbocze góry na przeciwległym brzegu w jednej trzeciej jej wysokości.

Lancelot nie czekał. Gdy dotarli na miejsce, zsiadł z konia i podparłszy się rękami pod boki, bacznie obserwował przeprawę. Z bliska wydawała się jeszcze bardziej niebezpieczna. Most, dwa razy szerszy od normalnego miecza, miał długość odpowiadającą trzem rzutom włóczni, a jego obosieczne ostrze było cienkie jak brzytwa.

Kiedy Galehot wreszcie się zjawił, rycerz polecił mu przynieść tarczę i przymocować ją sobie do pleców.

Giermek z przerażeniem spojrzał w dół, gdzie wzburzone fale rozbijały się z hukiem o skały.

- Nie masz chyba zamiaru dostać się tędy na wyspę?

- Oczywiście, że mam. W przeciwnym razie, po co bym tu przyjechał? Pospiesz się!

- Jeżeli koniecznie chcesz popełnić to szaleństwo, poczekaj do rana. Wyspany, w świetle dnia, poradzisz sobie łatwiej.

- Rób, co ci każe, i zachowaj dla siebie te godne starej baby uwagi - skarcił go rycerz.

Galehot z ciężkim sercem podszedł do konia Lancelota, odczepił tarczę ze szkarłatnymi szarfami i wrócił z nią nad brzeg przepaści.

- Wkrótce zapadnie kompletna ciemność. W takich warunkach nie będziesz widział nawet czubków swoich palców.

Rycerz odwrócił się bez słowa i ruchem ręki pokazał, gdzie i jak ma umocować rzemienie. Wykonując polecenie, Galehot szukał argumentów zdolnych przekonać Lancelota do rezygnacji ze skazanej z góry na niepowodzenie wyprawy.

Śmiałek sprawdził spokojnie, czy rzemienie tarczy trzymają się dość mocno jego ramion, i wydał następne polecenie:

- Pomóż mi zdjąć to żelastwo. Zbroja na nic mi się nie przyda, a podczas przeprawy czułbym się tylko ciężki i niezgrabny.

- Nie sądzisz, że mógłbym dostać się do Gorre inną drogą? Może istnieje inny most, bezpieczniejszy od tej stalowej pułapki?

- Jest jeden, na południu - rzekł rycerz, zdejmując rękawice. - To Most Podwodny. Gowen nim idzie.

- Gowen? Wielki sławny Gowen? - giermek pochylony, by zdjąć Lancelotowi stalowy but, nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Ten sam, Galehocie. Jak widzisz, nie ma sensu, żebyś tu na mnie czekał. Weź mojego konia i jedź wzdłuż wybrzeża aż do Podwodnego Mostu. Spróbuj dowiedzieć się, czy Gowen przepawił się już na drugą stronę. Potem udaj się do Kamelotu. Po drodze powinieneś spotkać grupę rycerzy, którzy mieli wyruszyć nam z odsieczą. Powiedz im, co wiesz.

Giermek skoczył na równe nogi.

- Nie mogę cię opuścić.

Lancelot wzruszony jego postawą uśmiechnął się zwycięsko.

- Posłuchaj, przyjacielu. Istnieją dwie możliwości: albo wpadnę do wody i zginę, albo dostanę się na wyspę i uwolnię królową. Tak czy siak, nie będę więcej tędy przechodził. Zrób to, co ci mówię. Kiedy uda mi się szczęśliwie wrócić, sam poproszę króla Artura, aby pasował cię na rycerza.

Oczy Galehota rozbłysły ze szczęścia.

- Poprosisz go, naprawdę?

- Nie ciesz się za bardzo. Winien mi jesteś pojedynek, pa-miętasz? Kiedy będziemy już sobie równi, dam ci nauczkę.

- Z radością ją przyjmę.

Galehot nie zastosował się do poleceń swojego pana. Ujechał wprawdzie kilka kroków, lecz kiedy ujrzał, że rycerz opuścił się w dół, by wejść na niebezpieczną przeprawę, natychmiast zawrócił, uwiązał konie i podbiegł do krawędzi przepaści.

Lancelot był już na moście. Skulony, trzymając się kuczowo dłońmi i stopami cienkiego ostrza, z trudem posuwał się naprzód. Cięte rany na palcach i podeszwach krwawiły obficie. Z daleka widać było czerwone strużki, sączące się po lśniącej srebrzystej stali.

Przerażony giermek chciał krzyknąć, by zawrócił, lecz stwierdził, że jest już za późno. Nie miał żadnej nadziei, że Lancelot wyjdzie z tej przeprawy żywy. Na wąskiej krawędzi było zbyt mało miejsca, by wykonać odwrót. Pozostawała jedynie droga naprzód. Rycerz nie miał innego wyjścia, jak tylko iść dalej. Nawet jeżeli nie spadnie do morza i dotrze na drugi brzeg - myślał - będzie strzępem ludzkiego ciała wykrwawionym na śmierć.

Tymczasem Lancelot starał się nie myśleć o niebezpieczeństwie ani tym bardziej o wzmagającym się z każdym ruchem bólu poranionych dłoni i stóp. Przywoływał w pamięci obraz Ginewry takiej, jaka odwiedziła go poprzedniej nocy we śnie. Samo wspomnienie koło jego cierpienie i dodawało mu sił. To nic, że był to podstęp i rzeczywistość okazała się inna. Ellana oszukała go i co do tego nie miał żadnej wątpliwości. Dla niego liczyła się tylko Ginewra. Ją jedną kochał i jej zawdzięczał doznaną rozkosz. Jego pieśczęty były przeznaczone dla niej i tak naprawdę to Ellana powinna czuć się oszukana.

Zawieszony wysoko nad wzburzonymi wodami cieśniny, z dłońmi i stopami pociętymi aż do kości, otulony gęstą, wilgotną mgłą, widział przy sobie białe ciało ukochanej i ciesząc się jej mifos'ci'ą, odtwarzał w myślach szczegóły minionej nocy.

Gdy był w połowie mostu, jego sylwetka, spowita gęstą mgłą, zniknęła całkiem z oczu Galehota.

- Jeszcze raz powtarzam, synu, nie powinieneś się upierać.

Królowa Elfryda z Gorre odpoczywała na szerokim łożu ustawionym obok kominka. Ta ponadosiemdziesięcioletnia dama przez prawie pół wieku sprawowała jedynowładcze rządy w swoim państwie, zyskując powszechny szacunek poddanych oraz innych władców. Jej bystry umysł, sprawiedliwość i szlachetną dumę sławiono od Szkocji po gr-anice Logru.

Starość, choroba, na którą nie ma lekarstwa, zmusiła ją do przekazania władzy w ręce syna. Widząc jak Malagant władzy tej nadużywa, nie przestawała prosić Boga o śmierć. Pragnęła

umrzeć zanim ten przez swą pychę, zuchwalstwo i okrucieństwo doprowadzi jej ukochane królestwo do ruiny.

- Niech mnie piekło pochłonie, jeżeli cię posłucham! Nie zamierzam przez całe życie rządzić tym skalistym skrawkiem ziemi. Mam większe ambicje. Przy moich zdolnościach czeka mnie wielka przyszłość!

Malagant miotał się jak dzikie zwierzę w ciasnej klatce. Morgana siedziała swobodnie rozparta na swoim siedzisku i zielonymi kocimi oczyma wpatrywała się w niego spod wółprzymkniętych powiek. Mordret siedział u stóp matki, a ona czochrała pieśczołliwie jego kręcone włosy.

Syn Morgany był szczupłym młodzieńcem o bladej cerze, kruczoczarnych lokach, zielonych ruchliwych oczach i pełnych zmysłowych wargach. Sprawiał wrażenie znudzonego i patrzył na otoczenie z właściwą sobie pogardą.

- Artur dotrzymał przysięgi - ciągnęła wątek królowa Elfryda. - Uznaj, że masz dość zemsty, i odeślij mu Ginewrę.

- Artur to tchórz i zdrajca! - ryknął Malagant. - Złamał ustalone zasady i wysłał w pogoń za mną swoich rycerzy. Nie mam dla niego odrobiny szacunku.

Królowa matka skierowała wzrok na Morgane.

- Ty, pani, spotkałaś jego rycerzy, prawda?

- Tak, było ich dwóch. Gowen, siostrzeniec Artura, i jakiś młody rycerz, który utrzymywał, że nie ma imienia.

Dreszcz wstrząsnął ciałem Elfrydy.

- Bezimienny Rycerz! - przestraszyła się. - Wiesz, co to oznacza?

Morgana machnęła ręką.

- Podobnie jak ty, pani, znam przepowiednie Merlina. I co z tego? Jestem wystarczająco mocna, by nie dopuścić do ich spełnienia.



Głaskała policzek syna, który z odchyłoną głową i zamkniętymi oczami podobny był do zadowolonego kocura.

- Popatrz na mojego Mordreta. Urodził się wbrew przepowiedniom tego syna demona. Przyszłość, Elfrydo, nie musi być zapisana z góry raz na zawsze. Zdarzają się istoty wyjątkowe - a ja się do nich zaliczam - które kształtują ją na swoją korzyść.

- Albo i niekorzyść - mruknęła cicho królowa, po czym głośno rzekła: - Z tego, co wiem, młody rycerz wyszedł cało z pułapki Zdradzieckiego Łoża. Baudemagus poinformował mnie też, że zdjął czar z Sorelois i uwolnił miasteczko od Przyszłego Cmentarza.

- Cóż, należało mu się trochę rozrywki - rzekła obojętnie Morgana.

- Co będzie, jeżeli odnajdzie zamek świętego Graala?

- Nie obawiaj się. Jeżeli pojedzie tak, jak myślę, trafi na Jałową Krainę, a tam z zamku pozostały jedynie ruiny.

- Nikt nie wie, gdzie ukryty jest Graal. On może być wszędzie.

- Gdziekolwiek by nie był - droga Elfrydo - bądź pewna, że młody rycerz go nie dostanie, nie zada Dwu Pytań, gdyż nie spełni dwóch warunków koniecznych do jego odnalezienia.

- Skąd ty to możesz wiedzieć?

Morgana uśmiechnęła się ze złośliwą ironią.

-Przypomnij sobie, co przepowiedział Merlin: „Świętego Graala odnajdzie Bezimienny Rycerz o czystym sercu”. Pierwsza część się zgadza, lecz serce naszego rycerza nie jest czyste. Nie mówię, że jest zbrukane, lecz wiem, że wypełnia je błękit i złoto.

- Wyrażaj się jaśniej.

- Graal, którego szuka - droga królowo - nazywa się Ginewra, dlatego nie zdziwiłabym się, gdyby podjął próbę przejścia przez Most Miecza.

Malagant, który z rosnącą uwagą przysłuchiwał się rozmowie, przyskoczył do fotela Morgany.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłaś? - zapytał z wyrzutem.

- Nie musisz wszystkiego wiedzieć. Połączyliśmy siły, bo kierujemy się wspólnym interesem, i to wszystko. Chciałeś wojny z Arturem, więc podsunęłam ci pretekst. Ja zaś chcę Graala dla mojego Mordreta.

- Jesteś pewna, że ten zuchwalec będzie próbował dostać się na wyspę przez Most Miecza? Baudemagus sprawdzał w gwiazdach, śledził lot ptaków, grzebał we wnętrznościach i niczego takiego nie dostrzegł.

- Wasz Baudemagus jest marnym czarownikiem. Myślisz, że sam wpadł na pomysł z Przyszłym Cmentarzem? On umie tylko wykonywać polecenia. Nie zapominaj, że niezależnie od tego, co Wiwiana uczyniła Merlinowi i gdzie go uwięziła, on nadal otacza rycerza z Jeziora swoją opieką.

-Niech to diabli! Tym bardziej uważam, że powinnaś była mnie uprzedzić.

- Malagancie, daruj sobie te wymówki!

Mordret, który pólleżąc na podłodze, opierał się plecami o fotel matki, uniósł powieki i spojrzał w górę na stojącego nad nim księcia. Jego zielone wilgotne oczy poszarzały i stały się zimne jak lód.

- Nie krzycz, uszy mi pękają.

Malagant nie mógł wytrzymać jego karcącego spojrzenia. Pokonany, odwrócił się na pięcie i pełen złości ruszył do drzwi.

-Wezmę kilku zbrojnych i pojedę do Mostu Miecza. Gdyby Bezimienny jakimś cudem dostał się na brzeg, zatrzymam go raz na zawsze.

Po chwili w korytarzu rozległy się głośne okrzyki rozkazów.

Morgana jakby nigdy nic zaczęła gładzić włosy Mordreta. Młodzieniec tymczasem złagodniał a jego oczy odzyskały swą zwykłą barwę.

- Jak to możliwe, Elfrydo, że wydałaś na świat takiego syna? Czyżby podobny był do ojca?

- Może, za to twój pod żadnym względem nie przypomina swojego.

- Prawda? - ucieszyła się Morgana, jakby usłyszała najpiękniejszy komplement. - Uczyniłam wszystko, by zatrzeć w nim to, co mogłoby przypominać mi Artura. Mój przybrany brat, ten wzór cnót, jest sztywny i nudny, ja zaś lubię ludzi zmiennych, zaskakujących i nieobliczalnych.

Elfryda zostawiła to wyznanie bez komentarza, odwróciła się w stronę płonącego w kominku ognia i nie patrząc na swoją rozmówczynię, rzekła:

- Zastanawiam się, pani, co stanie się z moim synem, kiedy przestanie już być ci potrzebny.

-Wprawiasz mnie w zakłopotanie, królowo. Można by pomyśleć, że mi nie ufasz - odrzekła Morgana.

Rozbawiony kpiącym tonem jej odpowiedzi Mordret nie zdołał powstrzymać śmiechu. Mimo bliskości ognia królowa matka poczuła, że ogarnął ją przykry chłód.

Mgła zaczęła powoli opadać. Dłonie i stopy Lancelota kraważyły coraz mocniej, lecz on resztkami sił mozolnie posu-

wał się do przodu. Do pewnego momentu rycerz uśmierzał ból wspomnieniem królowej, w miarę jednak, jak opuszczały go siły, jej wizerunek zacierał się i tracił swą krzepiącą moc. Lancelot został sam, bez żadnego wsparcia. Zawieszony w pustce nad czarną kipiela, sam na sam z przeszywającym bólem, skazany był wyłącznie na siebie.

- Ginewro! - wyszeptał z trudem.

Imię ukochanej nie przyniosło mu spodziewanej ulgi, jakby było tylko trzema pozbawionymi treści sylabami. Utraciwszy nadzieję, zamarł w bezruchu i uniósł na chwilę prawą dłoń.

Ten nieostrożny gest kosztował go utratę równowagi. Nie wiele brakowało, a byłby spadł do morza. Chwycił mocniej za ostrze. Wydawało mu się, że stracił palce. Rozpaczliwy jęk wyrwał mu się z piersi. Nie był to wyraz bólu, lecz rozpacz: w wykrwawionym sercu zabrakło nadziei, iż będzie mógł odzyskać swoją królową.

Głośny ryk, jaki usłyszał gdzieś niedaleko, obudził go z odrętwienia. Podniósł głowę i wyżejając wzrok, dostrzegł sylwetki pary potężnych zwierząt, które początkowo wydały mu się psami. Gdy mgła ustąpiła, rozwiana podmuchem porannej bryzy, zauważył grzywy i zrozumiał, że na drugim brzegu czekają na niego lwy.

Drugi brzeg...

Skoro tak wyraźnie widział grzywy, musiał być już bardzo blisko.

Na myśl, że wkrótce osiągnie cel, poczuł przyływ nowych sił. Wyspa była tuż-tuż. Jeszcze tylko kilka kroków i zeskoczy na brzeg strzeżony przez groźne bestie. Co robić? Pomyśli o tym, gdy szczęśliwie dobrnie do końca przeprawy.

Z trudem posunął się do przodu i tuż poniżej ujrzał wyłaniające się z ciemności strome zbocze. Na jego widok puścił ostrze i z jękiem runął w dół. Upadłszy na ziemię, przeokoziłkował spory kawałek. Zabrakło mu już sił, żeby się czegoś złapać. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy umocowaną na plecach tarczą zaczepił o występ skalny. Oszołomiony, przez dłuższą chwilę leżał nieruchomo na plecach i patrzył w czarne niebo. Miał wrażenie, że już nigdy się nie podniesie. Stracił tak wiele krwi, iż można było przypuszczać, że wkrótce przyjdzie mu umrzeć.

Ryk lwów rozległ się znowu, tym razem bardzo blisko. Świadomość, że wkrótce stanie się ich ofiarą, obudziła w nim resztki energii. Podniósł się z trudem i oparty o skałę, zakrwawionymi palcami próbował niezdarnie odwiązać rzemienie podtrzymujące miecz. Kiedy kosztem ogromnego cierpienia wreszcie tego dokonał, ujrzał nad głową dwa potężne cienie. Chciał zaatakować, lecz nie miał siły wyciągnąć miecza, który zakleszczył się między skałami. Schylił się, by sięgnąć po kamień. Zwabione zapachem świeżej krwi zwierzęta były coraz bliżej. Wtem dojrzał w trawie jakiś błyszczący przedmiot. Był to srebrny pierścień Wiwiany.

Pomny polecenia Saredy, strzegł go starannie i trzymał zawsze w kieszeni. Widocznie podczas upadku musiał się z niej wysunąć.

Ryczące bestie zbliżyły się na odległość kilku kroków. Lancelot końcami obolałych palców podniósł pierścień i zastanawiając się, co robić, trzymał go w drżącej dłoni.

Kątem oka zobaczył, że lwy przysiadły na tylnych łapach, prężąc się do skoku.

- Szybciej...

Ostatnim wysiłkiem wsunął pierścień na serdeczny palec lewej ręki.

- Naprzód! Nie ociągać się!

Malagant na czele oddziału Saksończyków pędził na złamanie karku wąskimi uliczkami stolicy Gorre. Krwawe światło pięciu pochodni pełzało po kamiennych murach domów.

Czarny Rycerz z wzniesionym wysoko młeczem rwał do przodu tak, że inni nie byli w stanie go dogonić. Zmuszony czekać na skrzyżowaniach, by nie zgubili drogi, popędzał ich bezlitośnie, krzycząc:

- Prędejj! Prędejj!

Minęli coraz rzadsze zabudowania, aż wreszcie znaleźli się poza miastem. Odtąd ścieżka prowadząca do mostu biegła skalistym zboczem. Mocny, przeciwny wiatr wiał im prosto w twarz, utrudniając jazdę, lecz oszalały ze złości Malagant zamiast zwolnić, wygrażał mieczem i nie przestawał krzyczeć.

- Prędejj! Prędejj!

Galopując bezustannie, ominęli wysoką skałę i za ostrym zakrętem ujrzeli wreszcie rysujący się w oddali Most Miecza.

Przyspieszyli kroku, gdy nagle tajemnicze zjawisko przykuło ich wzrok. Oślepiające zielone światło, jakiego żaden z nich wcześniej nie widział, rozbłysło obok mostu i zaraz zgasło. Było tak mocne, że przez dłuższą chwilę pod zamkniętymi powiekami czuli jego ostry, migotliwy blask.

-To niemożliwe...

Lancelot z uwagą przyglądał się swoim dłoniom: były białe, gładkie, bez żadnych skaleczeń ani blizn. Stał o własnych siłach i wykonał pełny obrót: również w stopach nie poczuł najmniejszego bólu.

Zaledwie wsunął pierścień Wiwiany na palec, otoczyło go ostre zielone światło, pochodzące jakby z wnętrza klejnotu. Rany zablizniły się momentalnie, żyły napełniły świeżą krwią, a umysł odzyskał dawną jasność. Krwiozercze lwy zniknęły, czy raczej przemieniły w młode charty, które łąsiły się u jego stóp i merdały wesoło ogonami, domagając się pieszczot.

Lancelot chętnie zostałby z nimi, by nacieszyć się niespodziewanym uzdrowieniem, lecz w górze nad sobą, mniej więcej w odległości strzału z łuku, dojrzał zapalone pochodnie. W ich migotliwym blasku rysowała się czarna sylwetka Malaganta i lśniące zbroje dziesięciu Saksończyków. Jednym ruchem ręki wyrwał miecz zakleszczony między skałami, wsunął go do pochwy, osłonił ramię tarczą i ruszył w drogę.

Planował okrążyć wyspę od wschodu. Aby zrealizować swój cel, musiał za wszelką cenę uniknąć spotkania z Malagantem i jego ludźmi. Był pewny, że Czarny Rycerz jeszcze tej nocy, wbrew wszelkim zasadom kodeksu rycerskiego, będzie próbował go zamordować. Pragnął zmierzyć się z Malagantem, lecz twarzą w twarz, w blasku dnia. Oddając się pod sąd boży, unieważnić wynik poprzedniego pojedynku, zakończono go przegraną seneszala Keu. Żeby doczekać się ucziwego starcia, musiał uniknąć pułapek i podstępów, do jakich zdolny był książę Gorre.

Porywczy rycerz nie miał przygotowanej strategii. Zgodnie ze swoim temperamentem nie zastanawiał się z góry, jakie podejmie kroki. Wierzył, że bieg wydarzeń podsunie mu najwłaściwsze rozwiązanie.

Minąwszy kilka kęp niskich sosen, z trudem trzymających się zbocza, stracił z oczu światła pochodni. Jego wrogowie z całą pewnością zeszli niżej i zatrzymali się przy Moście Miecza. Pozwalało mu to zyskać potrzebny czas.

Pewniejszy siebie szedł dalej, nie zwalniając kroku. Silny dotąd wiatr przestał dokuczać, miejsce stało się bardziej zaciszne. Lancelot doszedł do wniosku, że obszedł już znaczną część wyspy. Od tej strony jej brzeg był jeszcze bardziej stromy. Miejscami skała opadała niemal pionowo do morza. Mgła podniosła się znowu i z wielkim trudem dostrzegł prawie niewidoczną kamienistą ścieżkę. Nie wahał się ani przez chwilę i niemal po omacku rozpoczął wspinaczkę.

Był już wysoko, gdy nagle za zakrętem ujrzał niewielkie okute żelazem drzwi. Dostępu do nich broniło dwóch wartowników uzbrojonych w piki. Przykucnął za krzakiem głogu, badając sytuację. Tuż przed nim wznosiła się potężna surowa budowla, wykonana z dużych bloków ciosanego kamienia, pozbawiona okien i gzymsów.

Lancelot ciekawy, jakie jest jej przeznaczenie, bezszelstnie zrobił kilka kroków i ukrył się za następnym krzakiem, bliżej drzwi. Przyczajony, obserwował strażników, gdy nagle usłyszał za sobą jakiś hałas. Nie zdążył się odwrócić, gdy ktoś zaatakował go od tyłu. Ogłuszony ciosem, upadł na plecy. Padając, odruchowo uderzył napastnika łokciem w brzuch i usłyszał przeciągły jęk. Próbował wstać, lecz nieznajomy rzucił się na niego z mieczem. Rycerz zrobił zręczny unik i chwytając za rękę przeciwnika, zabloko-



wał cios. Ostrze miecza znieruchomiało w powietrzu, tuż obok jego czoła.

- To ty? — szepnął znajomy głos. - Więc przeszedłeś?

- Gowen?

Zaskoczony Lancelot cofnął się dwa kroki.

- Więc ci się udało.

- Tobie też, jak widzę.

- Podczas przeprawy nałykałem się tyle wody, że omal nie osuszyłem morza. Widocznie od rdzy strzyka mi w stawach, inaczej nie usłyszałbyś moich kroków.

- Może raczej od starości...

- Złośliwy jesteś. Mów lepiej, jak się tu znalazłeś.

-Zgodnie z twoją radą, przeleciałem nad cieśniną jak ptak.

- Nic dziwnego, skoro masz ptasi mózdzek.

Przekomarzając się, podali sobie ręce w serdecznym uścisku.

- Cieszę się, że nie jestem sam na tej ponurej wyspie - stwierdził Gowen.

- Co zamierzasz robić? - zapytał Lancelot.

- Wejść do tego budynku. To więzienie. Malagant przetrzymuje tu naszych ludzi, uprowadzonych podstępnie podczas najazdu na ziemie króla Artura. Wśród nich jest kilku moich przyjaciół. Co powiesz na mój plan, Bezimienny Rycerzu?

- Od wczoraj już wiem, jakie jest moje imię: Lancelot. I chętnie pójdę z tobą.

- A zatem, pospieszmy się, Lancelocie.

Nie zastanawiając się dłużej, wybrali najprostszy sposób. Bez wahania opuścili swoją kryjówkę i poszli na spotkanie wartowników.

- Przejście wzbronione! - oświadczył jeden z nich i skierował ostrze piki w stronę nieznanym.

- Spokojnie, sam książę Malagant nas przysła - powiedział bez skrępowania Gowen.

Po wyglądzie i zachowaniu przybyszów wartownicy poznali, że mają przed sobą rycerzy. Wiedzieli, że Malagant wrócił do kraju w towarzystwie kilku cudzoziemców i z obawy, by nie urazić dumy któregoś z nich, ustąpili im przejścia. Rycerze spokojnie podeszli do strażników i korzystając z zaskoczenia, wyrwawszy im broń, jednym ciosem pięści powalili ich na ziemię.

Gowen zabrał klucze, które jeden z wartowników miał zawieszony u pasa, i największym otworzył żelazne drzwi.

Ostrożnie weszli do ciasnego korytarza, oświetlonego mdłym światłem trzech łożówek. Za rogiem przejście rozszerzało się i zobaczyli drzwi do izby, z której słychać było głośne rozmowy i śmiech kilku mężczyzn. Opierając się plecami o mur, Gowen podszedł bliżej i rzucił okiem do środka.

Trzej strażnicy siedzieli przy niewielkim stole, na którym stał dzban wina. Musieli już nieco wypić, gdyż byli w doskonałych humorach. Gowen dał znak i obaj z Lancelotem zwinnym susem wpadli do izby. Rozległ się szcęk broni. Jeden strażnik padł na ziemię z podciętym gardłem, drugi otrzymał śmiertelny cios w szyję, a trzeci - prosto w serce.

- Dwa do jednego - triumfował Gowen. — Jak widać, nie do końca zardzewiałem.

Mniejszym kluczem otworzył kratę broniącą dostępu do dalszej części korytarza.

Tym razem przodem kroczył Lancelot z mieczem w jednej i świecą w drugiej dłoni. Przejście było ciasne i wilgot-

ne, a powietrze tak stęchłe, iż mogli przypuszczać, że są pod ziemią.

Po dłuższym marszu znaleźli strome, kręte schody, prowadzące na górę, i ostrożnie zaczęli się wspinać. Lancelot cały czas szedł pierwszy. W połowie wysokości usłyszeli męskie głosy. Nie chcąc, by ktoś dowiedział się o ich obecności, zdmuchnęli płomień świecy i dalej szli już pogrążeni w kompletnych ciemnościach.

Na górze, w czerwonawej poświacie dobiegającej gdzieś z głębi, po obu stronach korytarza dostrzegli kilkanaścioro żelaznych drzwi. Umieszczone pomiędzy nimi w specjalnych uchwytych pochodnie były w większości zgaszone. Palily się dwie ostatnie. W ich słabym świetle rycerze zobaczyli trzech kolejnych strażników.

- Co robimy? - zapytał Gowen. - Masz jakiś plan?

- Oczywiście, atakujemy! - odrzekł młody rycerz i nie czekając na towarzysza, z głośnym krzykiem ruszył do przodu. Zaskoczeni mężczyźni ujrzeni nagle wyłaniającą się z półmroku ryczącą przeraźliwie istotę, podobną do zjawy z zaświatów. Kiedy w blasku pochodni poznali, że to człowiek, w dodatku bardzo młody, było już za późno. Pierwszy padł od ciosu miecza, zanim jeszcze zdążył pomyśleć. Drugi pod wpływem uderzenia upuścił swój miecz i uciekając ze strachu, wpadł prosto na włócznię trzeciego, który padł na kolana, błagając o litość.

Rycerz okazał się łaskawy.

- Daruję ci życie. Wstawaj! - rzekł wspaniałomyślnie i schował miecz do pochwy.

Strażnik gorliwie wykonał jego polecenie. Prowadząc zdobycz przed sobą, Lancelot natknął się na nadchodzącego Gowena, który miał wyraźnie kwaśną minę.

- Mogłeś na mnie poczekać - powiedział z wyrzutem.

- Chciałem oszczędzić twoje stare kości, przyjacielu.
- Gowen wzruszył obojętnie ramionami, lecz w jego oczach ukazał się błysk rozbawienia.
- Kiedy wrócimy do Kamelotu, chętnie się z tobą zmierzę, a wtedy nie będzie ci do śmiechu - zapowiedział, po czym pchnął strażnika i rzekł rozkazująco:
- Hej, ty, otwórz natychmiast wszystkie drzwi!

## 2. Obraz kochanków

Malagant wrócił do zamku jeszcze bardziej poruszony, niż z niego wyjechał. Przechodząc przez dziedziniec, mruzczał coś wściekły pod nosem. Odepchnął mocno giermka, który chciał pomóc mu zdjąć zbroję, i wszedł do komnaty.

Królowa Elfryda była sama. Leżała w wielkim łóżu obok kominka i drzemała. Nie zważając na jej wiek i zmęczenie, szarpnął ją gwałtownie za rękę.

- Gdzie jest Morgana?

Królowa matka zamrugała powiekami. Malagant był spięty, a zły grymas wykrzywił mu usta. Nigdy wcześniej w jego spojrzeniu nie widać było tak sprzecznych emocji. Niebieskie oko ciskało gromy, brązowe zaś - pełne było obaw i wątpliwości.

- Co się z tobą dzieje, synu. Wyglądasz, jakbyś spotkał samego diabła.

- Diabła, mówisz? Masz rację. Jakiś diabelski pomiot wdarł się na wyspę i gdzieś po niej krąży. Zresztą, co cię to obchodzi? Odpowiedz mi w końcu, gdzie podziała się ta wiedźma, Morgana?

- O ile wiem, poszła odwiedzić królową Ginewrę.

Wściekłość Malaganta sięgnęła zenitu.

- Ginewra jest moją branką. Czego ona u niej szuka?

Matka wzięła go łagodnie za rękę.

- Czas, żebyś ty odpowiedział na moje pytanie: czy ktoś przeszedł przez Most Miecza?

- Już mówiłem: jakiś diabelski pomiot. Wysłannik piekieł!

- Raczej Boga - wyszeptała cicho, lecz on wyraźnie usłyszał.

- Brednie! - ryknął na cały głos i rzucając przekleństwa pod adresem intruza, który ośmielił się przybyć do Gorre, ruszył do wyjścia.

- Wybraniec - powiedziała do siebie stara królowa.

- Co tu robisz, pani? Zabroniłem ci wchodzić do tego pokoju.

Morgana spojrzała na oburzonego Malaganta z nieukrywaną ironią.

- Uspokój się, przyjacielu, i zdecyduj, co masz zamiar zrobić. Nie będziesz przecież stał w progu. Wejdziesz, a najlepiej wyjdź. Ja i Ginewra rozmawiamy jak kobieta z kobietą. Nie jesteś nam do niczego potrzebny.

Malagant z kwaśną miną podszedł do Ginewry, siedzącej przy kominku ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i obojętnym wyrazem twarzy.

- Artur to człowiek bez czci i wiary, a w dodatku kłamca, pani - rzucił jej prosto w twarz.

Uniosła brwi, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi. Jego obelgi nie były w stanie jej dotknąć. Ta obojętność wywołała w nim kolejną falę pretensji.

- Za nic ma święte prawo sądu bożego. Ledwie tylko znaleźliśmy się za murami Kamelotu, wysłał w ślad za nami swoich rycerzy.

- Nie wierzę - rzekła matowym głosem. - Gdyby tak było, dopadliby cię i rozsiekli mieczami na kawałki.

- Duma! Wciąż ta sama duma! Dłużej jej nie zniosę! - krzyknął i podniósł rękę.

- Opanuj się, Malagancie! - wtrąciła się Morgana. - Powściągnij gniew i staraj się trzymać emocje na wodzy. Może powiedz nam wreszcie, co tak bardzo wyprowadziło cię z równowagi.

Skarcony książę spokojnie i opuścił rękę. Po chwili milczenia, znacznie już spokojniejszy, potarł czoło i powiedział:

- Ktoś przeszedł przez Most Miecza. Na ostrzu, na trawie, na kamieniach, widziałem pełno krwi. Na miejscu lwów znalazłem dwa młode charty. Przeszukałem z moimi ludźmi całą okolicę i nic. Nie natknąłem się na żaden ślad, na żadne ciało!

- Sądziłeś, że znajdziesz trupa?

- Ktoś, kto stracił tyle krwi, nie mógł przecież ująć z życiem!

- A jednak ten ktoś - jak go nazywasz - zamienił twoje lwy w *łagodne pieski*. Przestań *udawać, że nie rozumiesz, co się stało*, Malagancie. Przyjmij do wiadomości, że rycerz Artura przybył do Gorre i będziesz musiał stanąć z nim do walki.

- Pokonam go, jak pokonałem seneszala Keu.

- Życzę ci tego, przyjacielu, lecz obawiam się, że tym razem trafisz na znacznie trudniejszego przeciwnika i nie pójdzie ci już tak gładko.

- Czegoś tu nie rozumiem, pani. Jesteśmy sojusznikami, czy nie?

Twarz Morgany sposepniała.

- Moją zasadą jest utrzymywanie sojuszy jedynie ze zwycięzcami. Jeżeli pragniesz, byśmy pozostali „przyjaciółmi”, działaj rozsądnie i konsekwentnie.

Palcami wykonała gest, jakim odprawia się służbę.

- Teraz idź już sobie. Tutaj nie znajdziesz recepty na swoje kłopoty.

- Nie wiesz, z kim masz do czynienia, Morgano. Przysięgam, że pewnego dnia przestaniesz mnie poniżać.

Po tych słowach, w których bardziej niż groźba pobrzmiwało rozgoryczenie, Malagant wyszedł z komnaty. Morgana uśmiechnęła się łagodnie do Ginewry.

- Kłębek nerwów - stwierdziła. - To żałosne. Malagant ma przed sobą zbyt trudne zadanie. Tym gorzej dla niego, choć trzeba przyznać, że obu nam się przysłużył.

- Nie mam i nie chcę mieć nic wspólnego z tym człowiekiem - rzekła chłodno królowa.

- Ależ masz! I to więcej niż sądzisz. Gdyby w odpowiednim momencie nie pojawił się na dworze i podczas ceremonii pasowania nie rzucił wyzwania twojemu mężowi, nie poznałabyś uroczego rycerza bez imienia, a on nie miałby okazji poświęcić się twojej służbie i pełnić jej z takim oddaniem. Byłby cię kochał - w to nie wątpię - lecz pokornie i w ukryciu. Błąkałby się po dworze jak potępiona dusza, a ty od czasu do czasu rzuciłabyś mu przelotne spojrzenie z okrucieństwem, jakie piękne i szlachetnie urodzone kobiety nazywają łaskawością serca.

Policzki Ginewry pokryły się rumieńcem.

- Ty chyba rozum straciłaś, Morgano.

- Nie, moja droga. Muszę mieć rację, bo jesteś tak poruszona, że cała drżysz.

- Zamilcz, proszę.

- Nie myśl, że cię potępiam. Wręcz przeciwnie - rozumiem doskonale. Artur, mój brat, jest taki nudny. Tak beznadziejnie moralny. Chowa się zawsze za swoich rycerzy i tłumaczy, że godność, jaką piastuje, nie pozwala mu okazywać uczuć.

Nie chcąc więcej tego słuchać, Ginewra wstała z fotela i ukryła się w okiennym wykuszu, po przeciwnej stronie komnaty. Morgana również podeszła do okna.

- Gdybym była w twojej sytuacji, gdyby jakiś młody, przystojny i dobrze wychowany kawaler zapalał do mnie miłością, pewnie bym go nie odrzuciła. Czułabym się doceniona, wyróżniona, wzruszona do głębi serca.

Zbliżyła się do Ginewry, stanęła tuż za nią i szepnęła jej wprost do ucha:

- Widzę, że drżysz. Nie wstydz się miłości, moja droga. Daj upust swoim pragnieniom, a wszystko będzie dużo prostsze.

- Dlaczego mnie kusisz, Morgano? - zapytała zmienionym głosem Ginewra. - Jaki podstęp znów knujesz?

- Ja knuję? Przecież nie chcę ci zrobić nic złego...

- Jeżeli nie mnie, to Arturowi.

- Nie przejmuj się Arturem. Myśl o sobie i o młodym rycerzu oraz niezwykłych dowodach jego miłości. Król, korona, wierność małżeńska, wszystko to nic w porównaniu z rozkoszą, jaka cię czeka.

Powiedziawszy te słowa, wycofała się po cichu i schowała w ciemnym zakątku komnaty. Kiedy dostrzegła ukradkiem, że królowa kładzie dłoń na piersi, a nieśmiały uśmiech rozjaśnia jej twarz, była przekonana, że odniosła zwycięstwo.



Mgła opadła całkowicie, powietrze zrobiło się przejrzyste, a na czarnym nocnym niebie lśniły miliony gwiazd. Gowen i Lancelot posuwali się przodem, wiodąc za sobą około stu uwolnionych z lochów Gorre więźniów - mężczyzn, kobiety i dzieci. Niektórzy nieśli broń zdobytą po opanowaniu miejscowego garnizonu. Pochód osłaniali trzej rycerze Artura: Kadoen, Brehu i Karadigas. Po drodze nie obyło się bez przeszkód. Sześciu Saksończyków Malaganta chciało odciąć uchodźcom drogę do portu, lecz nie mieli szans. Spragnieni walki po długim pobycie w więzieniu rycerze z przyjemnością rozsiekli ich mieczami na kawałki.

Lancelot i Gowen pierwsi przybyli do portu. Nigdzie nie było ani jednego wartownika. Prom także nie był przez nikogo strzeżony. Jego płaski pokład zdolny był pomieścić dwadzieścia koni i cztery razy tyle ludzi. Gowen, nie tracąc czasu, szybko wydał trzem rycerzom stosowne polecenia:

- Karadigasie i Kadoenie, pomóżcie ludziom wsiąść na pokład.

- Ty, Brehu, obejmiesz dowództwo i doprowadzisz ich do Logru.

- A ty, Gowenie? - zapytał rycerz.

- Ja zostanę w Gorre. Obaj z Lancelotem mamy tu jeszcze coś do załatwienia.

- Chętnie wesprę was swoim mieczem.

- Dzięki, Brehu, ale oni bardziej potrzebują twojej pomocy — rzekł Gowen i przyjaznym gestem poklepał towarzysza po ramieniu.

- Być może spotkasz Iwena, miał zebrać ludzi i ruszyć nam z odsieczą. Powiedz mu o promie.

Kiedy wszyscy ulokowali się już na pokładzie, pożegnał przyjaciela i z pomocą Lancelota odwiązał cumy. ICaradigas i Kadoen uruchomili kołowrót ciągnący łańcuchy i prom powoli zaczął oddalać się od nabrzeża. Jego pasażerowie podnieśli ręce i długo żegnali pozostałych na wyspie wyzwolicielei.

- Co robimy? - zapytał Gowen.

Lancelot pokazał ręką różowiejące na wschodzie niebo.

- Wkrótce wstanie dzień - odpowiedział. - Czas wypełnić zadanie.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca oświetlały basztę zamku, gdy Lancelot i Gowen podeszli pod wieżę bramną.

- Kto idzie? - zapytał potężny Saksończyk, stojący na murach.

- Gowen i Lancelot, rycerze króla Artura! Przybywamy do Malaganta, księcia Gorre!

Saksończyk nie odpowiedział i zniknął za blankami.

- W każdej chwili możemy spodziewać się nowej zasadzki - niepokoił się Lancelot.

- Nie sądzę. Znam królową Elfrydę. Nie pozwoli synowi pohańbić swego domu.

- Obyś miał rację.

Usłyszeli chrzęst łańcuchów opuszczających most zwozdzony. Po chwili drewniana konstrukcja oparła się z głośnym hukiem o kamienną krawędź fosy i obaj rycerze mogli wejść do zamku.

Na dziedzińcu ujrzeli co najmniej pięćdziesięciu Saksończyków uzbrojonych w topory i włócznie. Wyprężeni stali

nieruchomo w dwóch równych szeregach po obu stronach przejścia. Nie rozglądając się na boki, Gowen i Lancelot przeszli przed nimi spokojnym, wolnym krokiem, jak przed gwardią honorową. Kilku rudowłosych gwardzistów rzucało pod ich adresem uszczypliwe uwagi, kilku próbowało ich obrazić obelżywymi słowami, jeden zaś splunął Lancelotowi wprost pod nogi. Gowen widząc, że jego towarzysz poczerwieniał z gniewu i oparł dłoń na rękojeści miecza, położył mu rękę na ramieniu i rzekł spokojnie:

- To prowokacja. Szukają pretekstu, żeby nas zabić.

Przez szerokie drzwi po przeciwnej stronie dziedzińca weszli razem do wielkiej komnaty na parterze. Malagant był sam. Założywszy nogę na nogę, siedział przy kominku na pozór spokojny i rozluźniony, jakby przybycie nieproszonej gości nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Kiedy podeszli bliżej, przywitał ich złośliwym tonem:

- W końcu was widzę. Słyszałem, że od wczoraj jesteście w moim kraju. Dlaczego dopiero teraz zdecydowaliście się mnie odwiedzić? Czyżbyście gardzili moją gościnną?

- Jeżeli chcesz wiedzieć, co robiliśmy, to powiem, że za naszą sprawą dziś w nocy około stu twoich „gości” skróciło pobyt w lochach więzienia i udało się w drogę powrotną do Logru.

Malagant w jednej chwili zapomniał o udawanej swobodzie. Wbił dłoń w poręcz fotela, a usta wykrzywił mu grymas gniewu.

- Uwolniliście moich jeńców? Nie mieliście prawa! - krzyczał na cały głos. - Zwycięstwo w pojedynku uczyniło mnie wyłącznym panem ich życia i śmierci.

- Pojedynek z takim przeciwnikiem jak stary Keu nie był uczciwy, doskonale o tym wiesz.

- Pojedynek to pojedynek! Sąd boży!

Malagant wstał z fotela i wolnym krokiem podszedł do Gowena.

- Zresztą, zamiast niego, ty mogłeś podjąć moje wyzwanie. Kto ci bronił? To między innymi przez twoje tchórzstwo seneszal musiał się ze mną zmierzyć.

Nozdrza Gowena drżały, purpurowy rumieniec pokrył mu czoło.

- Walczę tylko z prawdziwymi rycerzami.

- Bravo! - zawołał książę i podniósł ręce w teatralnym geście. - A prawdziwi są dla ciebie oczywiście jedynie rycerze Okrągłego Stołu. Niezły argument na usprawiedliwienie braku odwagi.

Zamilkł, jakby nad czymś rozmyślał.

- Można zatem wiedzieć, czemu zawdzięczam tę wizytę? - zapytał z ironią w głosie. - Czyżbyś uznał mnie wreszcie za godnego przeciwnika i chciał stoczyć pojedynek, przed którym stchórzyłeś w Kamelocie?

- Przybyłem uwolnić królową Ginewrę. Nie mam zamiaru z tobą walczyć.

- Ciekawe rozumowanie. Jak mi się wydaje, jedno nie jest możliwe bez drugiego.

Lancelot zrobił krok do przodu.

- Choć raz mówisz prawdę. Dojdzie do pojedynku. Ja się z tobą zmierzę - powiedział.

Malagant zmrużył niebieskie oko, brązowym zaś mierzył młodego śmiałka od stóp do głów, jakby dopiero teraz zauważył jego obecność.

- Kim jesteś? - zapytał zdziwiony.

- Lancelot z Jeziora. Rycerz króla Artura - przedstawił się z dumą młodzieniec.

- Lancelot, mówisz? Nie słyszałem o takim rycerzu. Czy to ty przeszedłeś przez Most Miecza?

- Tak, wczorajszej nocy.

- Pokaż ręce!

Lancelot wyciągnął dłonie. Malagant przyjrzał im się uważnie i zawołał oburzony:

- Kłamiesz! Nie masz nawet śladu skaleczenia.

- Mówię prawdę. Przeszedłem przez Most Miecza, a twoje dwa lwy zmieniły się w łagodne psy, a dokładniej mówiąc - charty.

- Kłamiesz albo jesteś czarownikiem, wysłannikiem demona. Myślisz, że zgodzę się stanąć z tobą do pojedynku, diabelski pomocię?

- Żądam tego od ciebie!

- Niedoczekanie! Każę cię poćwiartować i rzucić do morza rybom na pożarcie!

Lancelot postąpił trzy kroki i wymierzył księciu siarczysty policzek. Czarny Rycerz zachwiał się na nogach.

- Teraz nie masz już wyjścia, musisz walczyć.

Malagant miotał się po komnacie z dłonią przyłożoną do płonącego policzka i krzyczał:

- Nigdy, przenigdy! Do mnie, Saksończycy! Bierzcie go, poderżnijcie mu gardło, rozprujcie wnętrzności!

Na jego rozkaz rudowłosi gwardziści wbiegli do komnaty. Gowen i Lancelot wycofali się pospiesznie. Oparci plecami o kominek dobyli mieczy, gotowi bronić się do upadłego.

Pięćdziesięciu zbrojnych zwartym szeregiem ruszyło w ich stronę.

- Na krew Chrystusa, synu! Odwołaj rozkaz i powstrzymaj natychmiast tych zbirów!

Zaniepokojona krzykami królowa Elfryda pojawiła się w drzwiach komnaty. Zgarbiona i drżąca, wspierała się na ramieniu wysokiej, złotowłosej damy o szlachetnych rysach, ubranej w błękitną królewską szatę. Lancelot rozpoznał Ginewrę. Na ten widok radość i ulga wypełniły jego serce. Ją jedną widział, liczyła się tylko ona. W ułamku sekundy zapomniiał o Malagancie i jego pięćdziesięciu Saksończykach.

- Mój synu - oświadczyła królowa matka - dopóki żyję, będę broniła honoru mojego domu. Nie dopuszczę, by zaborstwo czy inna zbrodnia splamiły moją ziemię. Wyjdźcie Saksończycy. Na razie jeszcze ja wam rozkazuję!

Jej głos, choć cichy i słaby, miał większą moc niż krzyki Malaganta. Gwardziści bez słowa opuścili komnatę i rozproszyli się po korytarzach.

Elfryda oparta wciąż na ramieniu Ginewry podeszła do syna, który stał nieruchomo z ręką przy policzku i nie śmiał sprzeciwić się jej rozkazom.

- Brutalność jest oznaką słabości, Malagancie - rzekła, patrząc na syna. - Teraz już za późno, bym mogła mieć nadzieję, że się zmienisz. Wiedz jednak, że nie dopuszczę, byś zhańbił moje imię. Ten rycerz rzucił ci wyzwanie. Szykuj się więc i stań do pojedynku.

-Ależ matko... Mówiłem ci, że to diabelski pomiot przysłany przez Merlina. Walka nie będzie czysta.

Królowa zwróciła się do Lancelota.

- Rycerzu, czy możesz przysiąc, że będziesz walczył uczciwie i sprawiedliwie, nie korzystając ze sztuczek i czarów?

Młodzieniec nie odpowiedział. Wpatrzony w Ginewrę nie usłyszał pytania. Od kiedy weszła do komnaty, ani razu nie spojrziała w jego stronę. Czekał cierpliwie, nie tracąc na-

dziei, że w końcu zwróci na niego uwagę. W tej samej chwili, gdy Elfryda powtórzyła pytanie: „Rycerzu, czy przysięgasz...?“, Ginewra posłała mu uśmiech, którym rozwiała wszelkie dręczące go obawy i wątpliwości. Zrozumiał, że pyta: „Czy przysięgasz kochać mnie tak, jak ja ciebie kocham?“ - i pewnym głosem oświadczył: -Tak pani, przysięgam!

- Pora, byśmy udali się do Baudemagusa, Mordrecie - rzekła Morgana.

Oboje obserwowali całą scenę z ukrycia na galerii, nad wejściem do komnaty. Kiedy wszyscy się rozeszli - Lancelot z Gowenem na dziedziniec, szykować się do pojedynku, Elfryda z Ginewrą do swych komnat, Malagant zaś do ciemnego pomieszczenia, gdzie czekali na niego dwaj Saksończycy z bronią - matka i syn wyszli krętymi schodami na szczyt wieży, do pracowni czarownika.

Baudemagus, niski, wąły człowieczek o łysej czaszce, odziany był w długą sukienną szatę w nieokreślonym kolorze. Morgana zastała go, gdy pochłonięty swoimi sprawami krzątał się wśród retort, zwierzęcych rogów, słoï z bobrowym sadłem, martwych sów, jaszczurek i kotów oraz niezliczonej ilości innych przedmiotów niezbędnych czarownikowi. Na widok niespodziewanych gości podskoczył i dotknął ręką serca.

- Przestraszyłaś mnie, pani.

Zmarszczyła czoło i patrząc z pogardą na jego warsztat pracy, oświadczyła:

- Już czas, Baudemagusie.

- Czas? - zdziwił się stary. - Na co czas?
- Żebyś mógł się wykazać - szepnęła mu do ucha Mordret, który wychylił się z kąta pracowni.
- Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy w nocy?
- Tak, pani! O lusterku.
- Odegrasz teraz małą komedię, a ja zajmę się resztą.

Spod fałdów peleryny wydobyła małe lusterko z błyszczącego obsydianu i podała je Baudemagusowi. Czarownik ostrożnie podniósł je do oczu.

- Jest całe czarne.

Morgana roześmiała się pogardliwie.

- Oczywiście, stary dumniu. Nie tobie ma ujawnić swoją tajemnicę.

Mordret otworzył drzwi i uderzając bez powodu, dla czystej przyjemności, czarownika w plecy, wypchnął go na korytarz.

- Idź i nie narób głupstw!

Baudemagus zachwiał się na słabych nogach. Przycisnął lusterko mocniej do piersi i powoli zszedł po schodach do komnaty Ginewry.

-Królowa wróci do króla. Wielka szkoda... Chyba, że Malagant odniesie zwycięstwo... - powiedziała Morgana. - Ginewra jest mi jeszcze potrzebna. Będzie naszą bronią przeciwko Arturowi. W tej chwili najważniejsze, byśmy pozbyli się młodego rycerza.

- Myślisz, matko, że on jest tym Wybranym?

Morgana objęła go w pasie. Przerastał ją o dwie głowy, lecz ona tuliła go tak, jakby był jeszcze małym chłopcem.

- Niech będzie, kim chce, dla mnie Wybranym jesteś ty!
- rzekła czule, całując go w szyję.

- Zdobędziesz Graala, synku. Ja ci to przyrzekam.



Saksończycy ustawieni pod ścianami szczelnie otoczyli dziedziniec. Ze stajni przyprawiono kilka osiodłanych wierzchowców. Gowen przyglądał się im uważnie, oceniając ich budowę, szybkość i siłę. Po chwili zastanowienia jego wzrok padł na młodego ogiera, białego jak śnieg. W bojowym rynsztunku, z głową chronioną nagłówkiem ze sterzącym grotem, miał na grzbiecie siodło z wysokim łękiem, krótkie wodze i żelazne strzemiona. Zadowolony z wyboru rycerz odprowadził go do północnego narożnika, gdzie czekał Lancelot.

Spokojny, wręcz pogodny, wybrał prostą zbroję z żelaznych łusek. Lewe ramię osłaniał tarczą z dwiema szkarłatnymi szarfami, a pod prawym trzymał lekki hełm bez przyłbicy ze skórzaną osłoną na nos.

Malagant, oczekujący w południowym narożniku, dosiadł już swego konia. W pełnej zbroi z czarnej matowej stali, w takim samym hełmie i z tarczą z herbem Gorre, był gotowy do walki. Kary rumak rżał niecierpliwie, nerwowy jak jego pan.

- To twój pierwszy pojedynek, posłuchaj więc mojej rady - pouczał młodego rycerza Gowen, podprowadzając go do białego rumaka. - Pamiętaj, że w walce tarcza jest równie ważna jak włócznia. Nie sądzę, by Malagant próbował wysadzić cię z siodła. Raczej zaatakuje wprost, by od razu przeszyć cię na wylot.

Lancelot słuchał roztargniony. Podniósł głowę i rozglądał się to w lewo, to w prawo rozbieganym wzrokiem, aż Gowen zapytał.

- Co to, śledzisz lot ptaków?

-Wybacz, przyjacielu. Szukam królowej.

- To odwróć się za siebie.

Ginewra stała w górnym oknie wieży za jego plecami. Z powodu odległości nie widział, czy się uśmiecha, lecz sama jej obecność dodała mu odwagi i pewności siebie.

- A teraz na koń! - zarządził Gowen.

Lancelot wskoczył na siodło. Wsunął włócznię podaną przez przyjaciela pod pachę i mocno uchwycił ramię tarczy. Jego przeciwnik po drugiej stronie dziedzińca zrobił to samo.

Gowen podniósł rękę i opuścił ją szybko, dając sygnał do rozpoczęcia pojedynku:

- Do ataku! - zawołał.

Spięte ostrogami rumaki wyrwały pędem do przodu, w mgnieniu oka znalazły się naprzeciwko siebie, a zmuszone przez jeźdźców do trzymania linii, z ogromnym impetem zderzyły się czołowo. Wypuszczone przez rycerzy tarcze i włócznie poleciały do góry i spadły na kamienną posadzkę dziedzińca, pękając na kawałki. Uderzenie było tak silne, że łęki, popręgi i strzemiona puściły, a rycerze zostali wyrzuceni z siodeł i znaleźli się na ziemi.

Częściowo oszołomiony upadkiem Lancelot, pierwszy stanął na nogi. Odrzucił szczątki połamanej tarczy, dobył miecza i spokojnie czekał, aż Malagant pozbiera się z ziemi.

Czarny Rycerz wstał i podniósł przyłbicę. Nigdy dwukolorowe oczy nie ujawniały tak wyraźnie dwoistości jego charakteru, brutalnego i słabego zarazem. Lancelot zrozumiał, że do nikogo nie żywił dotąd podobnej nienawiści i nikt inny równie mocno nie nienawidził jego. Malagant czuł za pewne to samo, obaj bowiem rzucili się jednocześnie na siebie jak rozjuszone dziki.

Miecze szczękały, stalowe zbroje uderzały o siebie z metalicznym dźwiękiem. Walczący to nacierali na siebie, to cofali się, by znów zaatakować. Stalowe ostrza pobłyskiwały w powietrzu, obaj przeciwnicy z wielką zręcznością zadawali cios za ciosem, lecz żaden nie był zdolny rozstrzygnąć walki na swoją korzyść. Szala zwycięstwa chyliła się raz w jedną, raz w drugą stronę. Kiedy wydawało się, że jeden zyskuje przewagę, drugi przyczywał się, by go zmylić, po czym z jeszcze większą determinacją rzucał się do ataku, zmuszając go do rozpaczliwej obrony.

Widzowie z wielką uwagą śledzili pasjonujący pojedynek. Saksończycy ufali w zwycięstwo swojego księcia, Gowen zaś wierzył mocno, że szczęście dopisze Lancelotowi. Pragnął tego z całego serca, lecz zarazem wątpił. Waleczność Malaganta zaskoczyła go. Ze smutkiem myślał, jaka to szkoda, iż taki rycerz, miast służyć słusznej sprawie, wiedziony pychą i zawiścią popełnia tak nikczemne czyny.

W tym momencie Lancelot cofnął się o kilka kroków i opuścił miecz, jakby nie miał już siły trzymać go dłużej w górze. Malagant wydał okrzyk triumfu. W jego głosie żądza krwi mieszała się z radością. Był pewien, że nic nie odbierze mu zwycięstwa. Gowen spuścił głowę, by nie widzieć śmierci swego młodego towarzysza i przyjaciela.

— Rycerzu! — zawołała z góry Ginewra.

Jej krzyk wzmocniony echem zabrzmiał tak donośnie, że rozerwał zwarty szereg Saksończyków. Lancelot, jakby wyrwany ze snu, podniósł nagle miecz, odparł śmiertelny cios Malaganta, odepchnął go ramieniem i serią błyskawicznych, zaskakująco mocnych ciosów zmusił przeciwnika do odwrotu. Saksończycy zamilkli z wrażenia. Ich księżę stał na środku dziedzińca i chwiały się na nogach. Kolejny cios rozplątał

jego stalowy naramiennik jak skorupkę jajka. Rycerz upadł na kolana. Krew z rozciętego ramienia tryskała na zbroję i barwiła na czerwono rękaw koszuli. Następny cios strącił mu przyłbicę. Ranny Malagant ostatkiem sił złożył się do ciosu, lecz nie zdążył uderzyć: Lancelot trafił mieczem w jego niebieskie oko i przeszył mu czaszkę.

Widząc, że Czarny Rycerz, jej prześladowca, pada martwy na ziemię, Ginewra poczuła szczęście, jakiego nie знаła od dnia, w którym przed laty Artur poprosił ją o rękę. Odeszła od okna z obawy, że nie zdoła powstrzymać emocji, gdy zwycięski Lancelot wzniesie wzrok do góry w oczekiwaniu na zasłużoną nagrodę.

Obawiała się tej miłości. Walczyła z nią nieustannie od dnia porwania, ponieważ wiedziała, że nie ma do niej prawa. Jednak walczyć z miłością znaczy ciągle o niej myśleć, rozważać ją w umyśle i w sercu. Jak miała jej się oprzeć, skoro młody rycerz tylekroć dał wyraz swojej dzielności, nieraz ryzykował życie w jej obronie, a teraz zwyciężył Malaganta?

Z dala od niedyskretnych spojrzeń, przyłożyła dłonie do płonących policzków, potem przeniosła je na udęconą pierś. Zanim się pokaże, chciała odzyskać panowanie nad sobą. Nie miała wątpliwości, że kochała młodego rycerza od chwili, gdy podał jej miecz, a ona musnęła jego dłoń. Utrzymywała jednak swoje uczucie w głębokiej tajemnicy, by nikt - szczególnie Gowen, wzór rycerza i znawca kobiet - nie nabrał najmniejszego podejrzenia. Nie potrafiła popełnić czynu, który w oczach dworu i świata uchodził za niewyba-

czalny. Nie była gotowa do ofiary, jakiej wymagałaby od niej ta miłość. Nie chciała zranić serca i honoru męża. Nie była zdolna wyrzec się tronu i zaszczytów, by żyć ze swoim ukochanym z dala od wszystkich, bez nadziei powrotu.

Uspokajała się powoli. Jej oddech odzyskiwał normalny rytm, policzki świeżą barwę. Postanowiła, że zejdzie na dół i podziękuje młodemu rycerzowi za ocalenie. Dyskretnie, w sposób tylko dla niego czytelny, da mu do zrozumienia, że odwzajemnia jego uczucie. Wiedziała, że to nie będzie trudne. Wystarczy, by ich spojrzenia przelotnie się spotkały. A potem...? Potem wrócą razem na dwór Artura i tam wszystko się wyjaśni.

Zadowolona ze swojego postanowienia zaczerpnęła powietrza, by przekonać się, czy w pełni już panuje nad sobą. Wychowanie, które odebrała jako królewska córka, doświadczenie, które zdobyła jako królowa, nauczyły ją ukrywać pod maską dwornej uprzejmości zarówno miłość, jak i nienawiść. Gotowa, by to uczynić, skierowała się do drzwi.

W tej samej chwili rozległo się pukanie i do komnaty wszedł niepozorny, zgarbiony człowieczek, widziany przez nią przelotnie w Sorelois, miasteczku zamienionym przez złe czary w cmentarz. Jego żalosna postać budziła w niej odrazę.

- Pani - rzekł, kłaniając się w pas czarownik - zechciej wybaczyć, że ośmielam się przeszkadzać ci w tak ważnej chwili.

- Po co więc przychodzisz?

- Chcę ci coś pokazać.

- Potem.

Ruchem ręki chciała go odprawić, lecz on, wbrew jej woli, stał dalej w drzwiach.

- Uwierz mi pani, nie mogę czekać, bo będzie za późno. Musisz to zobaczyć teraz.

Jego głos przeszedł w tajemniczy szept:

- Nie chciałbym, żeby tak piękna dama, tak szlachetna królowa, popełniła niewybaczalny błąd tylko dlatego, że nie zechciała w porę mnie wysłuchać. Błagam, pani, przynajmniej spójrz!

- Szybkim ruchem wyciągnął z kieszeni małe lustro z obsydianu. Zrobił to tak gwałtownie, że cofnęła się odruchowo.

- Popatrz w jego taflę, pani. Przyjrzyj się dokładnie, co w niej widzisz.

Ginewra bez przekonania spojrzała w czarny owal lusterka. Miała odpowiedzieć, że nic w nim nie widzi, gdy nagle tafla pojaśniała, zrobiła się czerwona, potem fioletowa, wreszcie błękitna. Na niebieskim tle pojawiły się złote gwiazdy, a następnie łoże. Leżał na nim nagi mężczyzna. Miał zamknięte oczy i błogi uśmiech na ustach. Bez trudu rozpoznała młodego rycerza.

- Z bijącym sercem zbliżyła dłoń do powierzchni lusterka, jakby chciała je pogłaskać. W tej samej chwili pojawiła się w nim sylwetka młodej kobiety o białej cerze. Była naga lub prawie naga, bo spowita tylko w muślinową tunikę.

- Królowa cofnęła dłoń i zacisnęła palce. Widziała, że kobieta w lusterku usiadła na łożu i gładziła czoło śpiącego. Ginewra pragnęła, by jak najprędzej się obudził i kazał tamtej wyjść. „Musi to zrobić” - myślała. „Przecież kocha tylko ją jedną! Tamta kobieta - mówiła do siebie oburzona - która teraz gładzi go czule po policzkach, brodzie i piersi - nie ma prawa go dotykać!”.

On jednak nie przegonił tamtej. Ginewra widziała wyraźnie, jak uśmiecha się ze szczęścia, obejmuje ją mocno, tuli do siebie i całuje w usta.

- Nie! - krzyknęła.

Podbiła pięścią lusterko od spodu i wytrąciła z rąk Baudemagusa. Kruchy przedmiot upadł na kamienną posadzkę i rozbił się na kawałki.

Zupełnie jak moje serce, pomyślała królowa, patrząc na połyskujące okruchy obsydianu, który po chwili odzyskał dawną czerń.

Baudemagus rzucił się na kolana i gorączkowo próbował je zebrać.

- Co myśmy zrobili, pani? - jęczał przerażony. - Co myśmy najlepszego zrobili?

### 3. Odtrącenie

Podczas gdy Saksończycy usuwali z dziedzińca martwe ciało Malaganta, Gowen pomagał Lancelotowi zdjąć zbroję. Wykończony walką rycerz rozbierał się w milczeniu i nie odpowiadał na gratulacje towarzysza. Sprawiał wrażenie, że nie zdaje sobie sprawy z tego, co wokół niego się dzieje.

-Co ci jest? Wygrałeś pojedynek, a po twojej minie można by pomyśleć, że go przegrałeś.

Lancelot popatrzył na niego ze smutkiem.

-Wygrałem, to prawda, lecz nigdzie nie widzę królowej.

Gowen poklepał go po ramieniu.

-I tym się tak trapisz? Oj, przyjacielu, czasem zachowujesz się jak dziecko. Nie widzisz jej w oknie, bo na pewno ze-

szła na dół, aby przyjąć twój hołd i osobiście ci podziękować - rzekł i pociągnął go za rękę ku drzwiom do wielkiej sali.

- Chodź wreszcie i pamiętaj, że jedną z cnót najbardziej cenionych przez królową jest skromność. Ciesz się zwycięstwem, ale z pokorą. Jeżeli poprosi cię, byś został jej przybocznym rycerzem, twoja reputacja w Logrze będzie niemal równa mojej.

Słowa Gowena rozweseliły Lancelota, odzyskał pogodny wyraz twarzy i od progu szukając wzrokiem ukochanej, z uśmiechem wszedł do wielkiej sali. Tymczasem ujrzał jedynie królową Elfydę leżącą przy kominku. Obok niej krzątały się trzy panny służebne.

Zawiedziony, lecz świadomy swych obowiązków, podszedł i złożył jej pokłon. Stara dama oddychała z trudem. W jej bladej, pomarszczonej twarzy jedynie oczy pozostały nadal żywe.

- Zbliź się, Lancelocie - powiedziała słabym głosem. Ukląkł przy niej i ujął z szacunkiem dłoń, którą mu podała.

- Ten pojedynek zabrał ci syna, pani. Składam ci, jako matce, wyrazy szczerego żalu.

- Mój żal, bardziej niż matki, jest żalem królowej. Małgant, mój syn, był zaślepiony żądzą władzy, miał wygórowane ambicje i to doprowadziło go do zguby. Teraz Gorre pozostanie bez władcy. Co stanie się z moją ukochaną wyspą i moim ludem?

- Nie obawiaj się pani, królowa Ginewra, rycerz Gowen i ja zapewnimy króla Artura o twoich mądrych i sprawiedliwych rządach, o których prawdopodobnie sam wie. Na pewno weźmie Gorre pod swoją opiekę i zapewni jej mieszkańcom bezpieczeństwo i dostatek.



- Dziękuję ci, Lancelocie. Takiego młodzieńca jak ty każda matka pragnęłaby mieć za syna. Posłuchaj mnie, wiele znaków przepowiada twój los. Staraj się dobrze je odczytać i nie zbaczaj z drogi do celu.

Uścisnęła mocno dłoń rycerza.

- Mogę spokojnie umrzeć, gdyż widziałam i dotykałam Wybranego oraz podziwiałam jego czyny.

- Wybranego? Wyjaśnij mi, co to znaczy.

- Odpowiedź, Lancelocie, znajdziesz w swoim sercu.

Królowa Elfryda wolno zamknęła powieki i wydała ostatnie tchnienie. Jej ręce wypuściły z objęć dłonie Lancelota i ciężko opadły na kołdrę.

Lancelot podniósł się z kolan i oddalił w milczeniu. Trzy dworki rzuciły się z płaczem do nóg swojej pani i zaintonowały modlitwę za zmarłych.

Gowen dotknął jego ramienia.

- Chodźmy do królowej.

Obaj rycerze opuścili salę i wyszli na korytarz. Gowen był niespokojny, lecz by nie trapić przyjaciela, postanowił zachować swoje obawy dla siebie. Nie było w zwyczaju, by dama - a zwłaszcza Ginewra - nie podeszła zaraz po pojedynku do zwycięskiego rycerza. Martwił się, czy jej nieobecność nie była skutkiem kolejnego podstępu Malaganta i oddanych mu Saksończyków.

Na szczęście nie miał czasu na podobne rozmyślenia, gdyż Ginewra zdrowa i cała ukazała się na schodach prowadzących na parter. Rozradowany Lancelot przyspieszył kroku. Gowen, który nie zauważył jej zagniewanej miny, zawołał wesoło:

- Pani, Lancelot nie może się doczekać spotkania z tobą. Zasłużył na twoje uznanie, prawda?

Oczy królowej były zimne jak lód, usta ściągnięte:

- Nic nadzwyczajnego nie zrobił - wycodziła przez zaciśnięte wargi. - Spełnił tylko swój rycerski obowiązek.

- Jak to, pani? Uwolnił cię z rąk Malaganta. Sama widziałś, jak ciężką walkę musiał stoczyć. Był to jeden z najtrudniejszych pojedynków, jakie kiedykolwiek obserwowałem.

- A co? Wolałby może, żeby był łatwiejszy? - zapytała z ironią.

- Nie to chciałem powiedzieć - odparł Gowen przykro zaskoczony postawą królowej. - Pragnąłem tylko zwrócić ci uwagę, że przyjmując go tak chłodno, nie postępujesz sprawiedliwie. Kilkanaście razy narażał życie w twojej obronie.

- Cóż, jeżeli czynił to dla nagrody, tracił jedynie czas.

- Pani, jak możesz...

- Zamilcz, Gowenie! Zapominasz się\*. - przerwała ostro.

- Robię to, co uważam za stosowne, i nie mam zamiaru się przed tobą tłumaczyć.

Zraniony w swej dumie i oburzony niesprawiedliwością, jaka spotkała jego przyjaciela, Lancelota, rycerz, nie dał się uciszyć.

- A jednak chciałbym znać powody twojego postępowania, gdyż nie uważam, że jest to jedynie zwykły kaprys.

Ginewra poczerwieniała z oburzenia. Lancelot chwycił Gowena za ramię:

- Daj spokój! Nie chcę, byś z mojego powodu poróżnił się z królową.

Bardzo blady, powiedział to cichym, matowym głosem. Pierwszy raz od początku rozmowy Ginewra raczyła skierować wzrok w jego stronę. Jej spojrzenie pełne niechęci dotknęło go tak boleśnie, że wolałby, aby udawała, iż nie dostrzega jego obecności.

- Masz coś do powiedzenia, Lancelocie? Dotarło do mnie, że takie imię znalazłeś sobie gdzieś po drodze.

Rycerz zwiesił głowę.

- Smutno mi, pani.

- Smutno? Nie rozumiem. Po tylu bohaterskich czynach cały Kamelot będzie mówił tylko o tobie, a dziewczęta walczyć będą o twoje względy.

- Mało mnie to obchodzi, pani.

Ginewra zawahała się. Patrzyła na pochylone nisko czoło młodego rycerza, na jego pokorną postawę i zarzucała sobie, że mimo okrutnej zdrady, jakiej się dopuścił, w głębi serca ma dla niego tyle czułości.

- Chcesz mi powiedzieć, Lancelocie, że gardzisz miłością?

- Nie pani. Wręcz przeciwnie.

- Co to znaczy?

Opuścił głowę jeszcze niżej i milczał.

- Mów, czekam!

- Jestem za... Moje serce jest zajęte, pani.

- Kochasz? - zapytała lekko drżącym głosem.

- Tak, kocham.

Poruszona jego wyznaniem Ginewra skinęła na Gowena. Rycerz zrozumiał, że rozmowa staje się zbyt osobista i dyskretnie się oddalił. Lancelot i Ginewra zostali sami. Młodzieniec stał u stóp schodów, królowa kilka stopni wyżej.

- A więc oddałeś już komuś swoje serce. Panny na dworze będą niepokieszone. Jak ma na imię twoja ukochana?

- Nie mogę wymówić jej imienia, pani.

- Wstydzisz się? Nie ma powodu, przecież jesteśmy sami. Zakochani mężczyźni zazwyczaj chętnie mówią o damach, które ich kochają.

- Niestety, moja mnie nie kocha.

- Skąd wiesz? Powiedziała ci?
- Niekiedy spojrzenia i gesty mówią więcej niż słowa.
- I to jest powód twego smutku?
- Tak, pani.
- Zdradź mi jej imię, a chętnie się za tobą wstawię.
- To nic nie da.
- Dlaczego?
- Gdyby miała wrażliwe serce, mój smutek rozproszyłby się już teraz, w jednej chwili.

Ginewra zadrżała. Powiedział „już teraz”. Czyżby chciał dać jej do zrozumienia, że... W jej sercu odezwały się wątpliwości. Może, niemądra, dała się zwieść przebiegłym sztuczkom Baudemagusa? Może specjalnie wyczarował sceny, które widziała w lusterku, licząc, że na widok zdrady poczuje zazdrość tak silną jak miłość, którą go darzyła, i odtrąci go na zawsze. Musiała się o tym przekonać.

- W takim razie - ciągnęła pozornie żartobliwym tonem - najlepszym krokiem będzie wyrzucić niewdzięczną z serca i z pamięci.

- To niemożliwe. Nie mam siły ani ochoty.

Ginewra zeszła niżej i znalazła się tuż obok Lancelota. Pragnęła położyć drżącą dłoń na twarzy młodzieńca. Jego tajemnicze odpowiedzi, pełne półsłówek, niedopowiedzeń i aluzji kryły - była już prawie pewna - wyznanie, którego nie śmiał wypowiedzieć otwarcie. Jeszcze jedno słowo, a ostatnie obawy się rozwiążą.

- Być może, rycerzu, zapomniałeś o najważniejszym?
  - O czym, pani?
  - Czy powiedziałeś jej kiedyś wprost, że ją kochasz?
- Lancelot podniósł głowę. Bliska obecność Ginewry krępowala go. Nie miał odwagi spojrzeć jej oczy. Zbyt dobrze

pamiętał ból, jaki mu zadała swoim lodowatym spojrzeniem. Brak mu było siły, by znieść coś takiego kolejny raz. Nie zauważył, że w twarzy królowej nie było już obcości ani chłodu.

Przypomniawszy sobie sen z zamku króla Pelleśa, zdradziecki napój oraz rozkosz, jakiej doświadczył w ramionach fałszywej Ginewry.

- Tak pani, pewnej nocy, wyznałem jej miłość.

Królowa przymknęła powieki. Słyszając te słowa, przypomniała sobie sceny widziane w lusterku: błękitny pokój, łóżko i swojego rycerza obejmującego inną kobietę. Nie przypuszczała, że zazdrość może tak bardzo boleć. Odsunęła się od Lancelota na kilka kroków.

- Skoro tak, przekonasz się, co znaczy być oszukanym, zdradzonym i poniżonym.

- I nic na to nie poradzę?

- Nic. Zasłużyłeś na cierpienie, więc cierp!

Kilka godzin później Ginewra, Gowen i Lancelot opuścili zamek Gorre, w którym trwały przygotowania do pogrzebu królowej Elfrydy i jej syna Malaganta. Nie zauważyli, że Morgana i Mordret obserwują ich z okna na szczycie wieży.

- Nie jest ci przykro, matko? - kpił Mordret. - Zniszczyliśmy takie piękne uczucie.

- Najpierw zniszczę Lancelota i Ginewrę, potem przyjdzie kolej na Artura.

- We właściwym czasie.

Królowa i dwaj rycerze wsiedli do łodzi i bez trudu przeprawili się przez cieśninę oddzielającą wyspę od lądu. Po

śmierci Czarnego Rycerza fale uspokoiły się, morze otaczające wyspę Gorre stało się gładkie jak stół.

Twarz Ginewry była zacięta i nieruchoma jak maska. Dopóki nie wylądowali na przeciwległym brzegu, dopóty nie odezwała się ani słowem. Lancelot z zaisępną miną siedział w milczeniu, jakby nieobecny, a rozmowny zazwyczaj Gowen, po kilku nieudanych próbach nawiązania kontaktu, zrezygnował i zamknął się w sobie.

Przycumowali łódź do pomostu i stromą, niebezpieczną ścieżką wspięli się na skraj wysokiego skalnego płaskowyzu, gdzie stało kilka kolorowych namiotów. Gowen rozpoznał z daleka Iwena i Brehu, którzy wyszli im na spotkanie.

Obaj powitali z szacunkiem królową i wysłuchali najświeższych wiadomości, po czym uściskali serdecznie Gowena. Rycerz wskazał Lancelota i głosem pełnym dumy rzekł:

- Oto prawdziwy bohater! To on pokonał wczoraj Malaganta, a wcześniej dokonał wielu niezwykłych czynów, oczywiście z moją nieocenioną pomocą.

- Rycerzu - zawołał Iwen, ściskając mu dłonie - dopiero od niedawna masz imię, a już okryłeś je sławą! Poznałeś trudy i niebezpieczeństwa rycerskiego stanu, teraz czas, byś zaosztował sławy i przyjemności należnych rycerzom.

Lancelot z trudem zdobył się na słaby uśmiech:

- Dzięki ci za życzliwe przyjęcie, Iwenie.

Gowen objął go ramieniem.

-Rozchmurz się, przyjacielu. Za tydzień będziemy w Kamelocie, a wtedy skrzyżujemy miecze, jak to było umówione.

- Nie licz na to, Gowenie - oświadczyła królowa. - Ty, Iwen i Brehu będziecie moją eskortą. Lancelot nie pojedzie do Kamelotu.

- Dlaczego, pani? Wszyscy na niego czekają. Sam król pragnie go zobaczyć.

- Twój młody przyjaciel ma na głowie inne, ważniejsze sprawy. Chodzi o kobietę.

- Niech ją sprowadzi na dwór!

Ginewra podała ramię Iwenowi na znak, że uważa rozmowę za skończoną.

- Chcę jak najprędzej stąd wyjechać. Pospiesz się Gowenie!

Iwen posłusznie udał się z królową do obozowiska, rozgniewany Gowen zaś ociągał się z wykonaniem polecenia.

- Co za humory?! Można by przypuszczać, że od towarzysztwa Malaganta pomieszało jej się w głowie - mruknął, wskazując na Ginewrę.

-Więcej szacunku, Gowenie! Mówisz o królowej! - skarcił go Lancelot.

- Chcesz mnie pouczać? Po tym, jak cię potraktowała?

- Jest królową. Nic nie poradzę, że mnie nienawidzi.

Gowen wzruszył ramionami.

- To jakieś kaprysy. Odczekaj miesiąc lub dwa i wróć do Kamelotu. Zobaczysz, że o wszystkim zapomni.

- Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek wrócił do Kamelotu.

- Przestań! Tak jak ja jesteś rycerzem króla Artura, a nasze miejsce jest u jego boku. Nie pogodzimy się z twoim odejściem.

- Dzięki, przyjacielu.

W obozowisku giermkowie kończyli zwijać namioty.

- Co zamierzasz robić? Dokąd się udasz?

- Zostaw mi konia, jakoś sobie poradzę.

- Do zobaczenia wkrótce, Lancelocie - powiedział Gowen i poklepał go po ramieniu.

Młody rycerz odjechał w stronę skalistego brzegu, a gdy był już dość daleko, odwrócił się i podniósł rękę.  
- Zegnajcie - powiedział ze smutkiem.

Dłuższą chwilę stał nieruchomo wpatrzony w morze i walczył z pokusą, by rzucić się w przepaść. Odkąd nie mógł liczyć na miłość Ginewry, życie przestało mieć dla niego jakikolwiek sens. Dzień był słoneczny i ciepły, lecz on czuł przeszywający chłód. Chłód ten pochodził z niego samego, z jego zmrożonego żalem serca.

Kiedy wreszcie oddalił od siebie myśl o samobójstwie i odszedł od brzegu, po obozowisku nie było śladu. Osiodłany biały rumak gotowy do drogi stał spokojnie i skubał rzadką trawę. Gowen i Iwen zniknęli w oddali, a z nimi Ginewra.



# Dolina bez Powrotu

## 1. Prawda i legenda

Mijało lato, bardziej suche i gorące niż zazwyczaj. Słońce świeciło jasno na bezchmurnym niebie. Doliny i wzgórza porastała gęsta zielona trawa, wśród której kwitły różnokolorowe piękne kwiaty. Mimo upału nie brakowało wilgoci. W rzekach i strumieniach płynęła czysta, przejrzysta woda, a źródła wytryskiwały nawet tam, gdzie nie widziano ich od końca Złotego Wieku.

W Logrze i sąsiadujących z nim królestwach rozpoczął się okres pokoju i pomyślności. Król Artur nie miał już wrogów, a przynajmniej sądzono, że ich nie ma. Organizował festyn za festynem, turniej za turniejem. Nigdy wcześniej życie w jego zamkach w Kamelocie i Karduelu nie upływało tak beztrudnie i radośnie. Od lat też miłość króla do żony nie była tak widoczna, jak po jej powrocie z niewoli. Ginewra po przykrych doświadczeniach związanych z porwaniem, znacznie się zmieniła. Była nadal piękna, lecz jakby dojrzała. Rysy jej twarzy wyostrzyły się, cera stała się bledsza.

Spośród rycerzy jeden Gowen - z natury tak wesoły i otwarty - pogrążył się w melancholii, która odbierała mu dawną chęć do uciech. Niekiedy wczesnym rankiem, nim jeszcze zmęczony całonocną zabawą dwór zaczynał budzić się do życia, wspinał się na wysoką wieżę obserwacyjną i daremnie wypatrywał powrotu Lancelota.

Nadeszła jesień. Doliny, wzgórza i lasy pożółkły, poczerwieniały, zbrązowiwały. Liście opadły. Niebo coraz częściej pokrywały pędzone wiatrem chmury, początkowo białe, kłębiaste, później ciężkie, ołowiane, nabrzmiałe deszczem. W Kamelocie i Karduelu gromadzono stopy drewnianych polan. W kominkach rozpalano ogień, który swym migotliwym żółtym blaskiem bardziej oświetlał, niż ogrzewał wychłodzone wielkie komnaty.

Rycerze przesyleni nieustannymi ucztami i turniejami zaczęli się nudzić. Król stracił dobry humor. Mieszkańcy zamku widzieli nieraz, jak głęboką nocą zmartwiony i ponury błąka się po korytarzach, jakby obawiał się zbliżyć do komnat Ginewry. Królowa przestała pokazywać się publicznie. Nikt nie wiedział, co się z nią dzieje. Panny służebne szeptały między sobą, że całymi dniami leży w łóżku, a jeżeli już zdecyduje się wstać, siedzi godzinami w oknie i nieruchomo patrzy w dal, za mury miasta, jakby czekała, że ktoś lub coś wróci jej dawną radość życia.

Uciekając przed nudą, rycerze, za przykładem Gowena, coraz częściej wyjeżdżali z zamku na długie polowania. Przemierzając usiane zwiędłym listowiem leśne drogi i błotniste ścieżki, zapuszczali się w poszukiwaniu zwierzyny aż na granice królestwa. Wieczorem, przy ognisku, na którym piekła się upolowana zdobycz, snuli tęskne opowieści o dawnych czasach. Nikt nie miał odwagi wyznać głośno, że

żałuje czasów, gdy wojna wypełniała treścią życie rycerza i nadawała mu sens. Iwen, Brehu, Karadigas i inni setki razy wypytywali Gowena o okoliczności związane z pościgiem za Malagantem. Chcieli znać w najdrobniejszych szczegółach przebieg pojedynku zakończonę klęską Czarnego Rycerza. Opowiadając setny raz tę samą historię, Gowen ozdabiał ją nowymi, coraz bardziej wyszukanyimi detalami, uwypuklającymi wyjątkową waleczność i charakter Lancelota z Jeziora. Przeżywane wciąż na nowo jego czyny budziły w zachwyconych słuchaczach nadzieję, że i oni doświadczą kiedyś podobnych przygód.

Pewnego późnojesiennego dnia rycerze polowali w lasach Kornwalii. Podążający tropem jelenia Gowen znalazł się nagle sam nad brzegiem morza i ujrzał pierwsze płatki śniegu. Lekkie i puszyste wirowały w powietrzu unoszone wiatrem. Kiedy był dzieckiem, niania mówiła mu, że to anielskie pióra. Stara kobieta nie chodziła do kościoła, wychowana w wierze przodków czciła pogańskie bóstwa i ich kapłanów, druidów. Nie rozumiała nowej religii i żartowała z niej. Na widok pierwszego śniegu mówiła: „Patrz, Gowenie, twój Bóg szykuje sobie wspaniałą ucztę. Oskubuje anioły z piór”. Jeszcze przez kilka lat podrastający chłopiec wyobrażał sobie, że Archanioł Michał z Archaniołem Gabrielem pieką się na rożnie jak ogromne kurczaki.

Myśląc o odległym dzieciństwie, wpatrywał się w opadający na plażę i drzewa śnieżny puch, gdy nagle ujrzał zbliżającą się z naprzeciwka bladą, niematerialną sylwetkę. Pograżony we wspomnieniach pomyślał, że to anioł, lecz opamiętał się szybko i ruszył na spotkanie domniemanego ducha.

Nieznajomy również musiał go dojrzeć, gdyż stanął w miejscu i czekał. Gowen był coraz bliżej. Poruszony nie-

spodziewanym spotkaniem wpatrywał się w szatę jeźdźca: biały płaszcz i kaftan wydały mu się znajome, podobnie jak cała postać szczupła a zarazem muskularna. Kiedy zobaczył twarz, nie miał już żadnych wątpliwości:

- Lancelot!

Zeskoczył z konia, podbiegł do rycerza i wziął go w ramiona.

- Lancelocie, przyjacielu! Myślałem, że nie żyjesz!

Tulił go do piersi, jakby chciał się upewnić, że nie śni.

-Wróciłeś! Nareszcie!

Lancelot nie odpowiedział na jego powitanie. Stał nieruchomo, sztywny jak posąg. Zmieszany Gowen rozluźnił uścisk i cofnął się parę kroków.

- Nie poznajesz mnie? - zapytał.

- Oczywiście, że cię poznaję, Gowenie.

Powiedział to bez śladu emocji. Po prostu stwierdził fakt i tyle.

Gowen spoglądał na przyjaciela z wyraźną troską. Mimo śnieżycy miał gołą głowę. Włosy pokryte białymi płatkami śniegu wyglądały tak, jakby były przyprószone siwizną. Wychudła twarz, niedbały zarost na policzkach i zapadnięte, podkrążone oczy sprawiały, że wyglądał znacznie starzej. Patrzył przed siebie obcym niewidzącym spojrzeniem, jakby nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Zmartwiony jego stanem Gowen próbował nawiązać rozmowę.

- A zatem, Lancelocie, zdecydowałaś się wrócić do Kame-lotu. Wszyscy na ciebie czekają. Wiele o tobie opowiadałem.

- Znalazłem się tu przypadkiem.

- No cóż, przypadek może okazać się szczęśliwy.

- Wracam na północ.

- Pieszo?
- Straciłem konia w czasie walki. Przez dwa dni ścigałem saksońskiego księcia i jego dwóch rycerzy. To dlatego zapędziłem się tak daleko.
- Walczyłeś z Saksończykami? O ile wiem, nie prowadzimy już z nimi wojny. Artur zawarł z nimi pokój.
- To moja własna wojna, Gowenie. Nieważne, kim byli ludzie, których zabiłem. Ci akurat byli Saksończykami. W ostatnich miesiącach stoczyłem wiele walk w Irlandii i w Szkocji.
- Z jakiego powodu?
- To moja osobista sprawa.  
Gowen dotknął ręką jego ramienia.
- Nie stójmy na śniegu. Schrońmy się pod drzewami. Rozpalimy ognisko i spokojnie porozmawiamy.
- Mówiłem ci, Gowenie, że muszę wracać.  
Wyraźnie zniecierpliwiony nie patrzył w oczy dawnemu przyjacielowi.
- Zegnaj! - rzekł krótko i odwrócił się, by ruszyć swoją drogą. Świeży śnieg sięgał mu do kostek.
- Kiedy wrócisz? - zapytał głośnie Gowen.  
Nie otrzymał odpowiedzi.
- Biały rycerz uszedł kilka kroków. Na białym tle zasypanej śniegiem plaży wyglądał jak duch.
- Czego ty szukasz, Lancelocie? Odpowiedz, na Boga!
- Śmierci! Śmierci, Gowenie - odpowiedział rycerz, nie odwracając głowy. - Chcę zginąć w walce. Szukam rycerza, który mnie pokona i uwolni.
- Od czego ma cię uwolnić?
- Ode mnie samego. Kto wie, może ty kiedyś uczynisz mi tę łaskę.

- Nie licz na to.

Błada sylwetka Lancelota szybko zniknęła w śnieżnej zamieci. Kilka razy Gowen wzywał go do powrotu, lecz serce podpowiadało mu, że przyjaciel nie odpowie na jego wołanie.

Lancelot powiedział prawdę. Istotnie, od kilku miesięcy przemierzał rozległe ziemie położone na północ i zachód od Logru. Błąkając się nieustannie między Irlandią i Szkocją, staczał pojedynki za pojedynkiem. Każdego napotkanego po drodze rycerza wzywał do walki na śmierć i życie i zawsze zwyciężał. Był zacięty i bezlitosny. Pokonanym przeciwnikom nigdy nie darował życia.

Wieści o okrutnym Białym Rycerzu, którego imienia nikt nigdy nie poznał, przekazywane z ust do ust, docierały do najodleglejszych zakątków. W relacjach o jego wyczynach, które z każdym dniem były coraz liczniejsze i coraz bardziej przerażające, prawda mieszała się z fikcją. Opiewający je bardowie od siebie dodawali wciąż nowe niesamowite szczegóły, tak że wielu słuchaczy wątpiło w istnienie rycerza i sądziło, iż jest postacią legendarną. Wkrótce stał się tak popularny, że dorośli z upodobaniem rozprawiali o jego talentach, a chłopcy w zabawie sprzeczali się między sobą o to, który wcieli się w jego postać.

Wesoły nastrój mijał, gdy bohater powieści, żywy i prawdziwy, pojawiał się niespodziewanie na skrzyżowaniu dróg lub przy bramie miasta. Rzucił wyzwanie, a kiedy jakiś śmiałek stanął z nim do walki, powalał go na ziemię i podcinał mu gardło.

Najdzielniejsi rycerze Szkocji i Irlandii pokonanie Białego Rycerza uważali za punkt honoru. Wiedzieli, że kto tego dokona, zyska sławę bohatera, a jego imię przejdzie do historii oraz legend rycerskich. Niektórzy sami szukali okazji, by się z nim potykać, lecz nawet oni nie mieli szans. Byli też tacy, którzy chcąc położyć kres niebezpieczeństwu czyhającemu na każdego rycerza w dzień i w nocy, zawierali sojusze i wbrew wszelkim przyjętym zasadom próbowali podejść go podstępem, atakowali grupowo po kilku lub kilkunastu, przygotowywali zasadzki. Wszystko na próżno. Biały Rycerz, gdziekolwiek się pojawił, zostawiał za sobą śmierć i żałobę.

Rycerze, którzy mieli szczęście i nie spotkali go na swojej drodze, zamykali się we własnych warowniach i nie reagowali na jego wyzwania. Gdy się pojawiał, podnosili zwodzony most, rozstawiali na murach łuczników i kazali im strzelać tak długo, aż nieproszony gość nie odstąpi.

Po pewnym czasie w północnych krainach zabrakło przeciwników. Lancelot zmuszony był udać się bardziej na południe, gdzie liczył na spotkanie z Saksończykami. Prowadził bardzo wyczerpujące życie. Po wschodzie księżycy pozwalał sobie na krótki czujny sen, za dnia uganiał się po drogach i bezdrożach, i toczył mordercze walki. Jednej nocy, po raz pierwszy od wyjazdu z Gorre, miał dziwny sen. Przyśniło mu się, że walczy z miedzianym rycerzem, jakiego spotkał w podziemiach Sorelois, pod zaczarowanym cmentarzem. Walka trwała długo i była bardzo wyrównana. W pewnej chwili zrzucił hełm z głowy przeciwnika i zobaczył samego siebie. Zmagał się z samym sobą i dlatego nie mógł rozstrzygnąć tego pojedynku.

Po przypadkowym spotkaniu z Gowenem po raz pierwszy nie zdecydował się na sen. Szedł całą noc, jakby chciał

znaleźć się jak najdalej. Uciec od znajomych ludzi i miejsc, od dawnego życia, z którym nie miał i nie chciał mieć żadnych związków. Teraz czekała go tylko śmierć.

Wczesnym rankiem spotkał na drodze samotnego rycerza z Kornwalii. Nieprzytomny ze zmęczenia, pełen odrazy do samego siebie, wyzwiał go, powalił kilkoma ciosami miecza i zabrał mu konia.

Postanowił podążać dalej na północ. Wokół panowała martwa cisza. Śnieg pokrył ziemię puszystym dywanem, umilkły ptaki i zwierzęta. Ukołysany jednostajnym rytmem konnej jazdy rycerz usnął w siodle, z głową zwieszoną na piersi.

Nagle koń zatrzymał się, a wyrwany ze snu Lancelot otworzył oczy. Była ciemna noc. Przed nim, wśród śnieżnej przestrzeni, rysowały się czarniejsze niż niebo ruiny zamku króla Pelleśa, w którym spędził ową fatalną noc.

Potrząsnął głową, by odpędzić złe wspomnienia, i już miał zawrócić, gdy nagle w oknie jednej z wież ujrzał migotliwe światółko.

Zaciekawiony popędził konia i wkrótce znalazł się na pokrytym śniegiem dziedzińcu. Panujący wewnątrz mrok był tak gęsty, że rycerz nie widział nawet kształtu wielkiego kominka podpartego na czterech kolumnach. Posuwał się naprzód po omacku, a mimo to bez trudu odnalazł drzwi do korytarza, a następnie na schody prowadzące na wieżę. Odgłos jego kroków na kamiennych stopniach rozbrzmiewał głośno, wielokrotnie echem. Choć nadal nic nie widział, pewnie wspinał się w górę, jakby nogi same go niosły. Wreszcie nad głową ujrzał płamę światła, padającą przez otwarte drzwi izby na końcu korytarza. Przy małym stoliku, stojącym obok leżącego na gołej posadzce siennika, siedział Galehot i jadł coś z glinianej miski.



- Co tu robisz? - zapytał zdziwiony Lancelot.

Giermek nie wydawał się zaskoczony widokiem. Przywitał Białego Rycerza, jakby rozstali się przed kilkoma dniami, i rzekł z uśmiechem:

- Na pewno jesteś głodny. Upiekłem zająca. Usiądź, proszę, na moim miejscu i jedz.

- Najpierw odpowiedz na moje pytanie.

- Mieszkam tu.

- Dziwny pomysł.

-Ale dobry. Wprowadziłem się do tego zamku, gdyż przypuszczałem, że prędzej czy później ty też tu przybędziesz.

- Czekaleś na mnie?

- Od wczesnej jesieni. Po naszym rozstaniu przy Moście Miecza udałem się do Kamelotu i najpierw tam czekałem na ciebie. Po powrocie królowej wszyscy mówili o twoich czynach i spodziewali się twojego powrotu. Byłem pewny, że wrócisz. Bywałem na turniejach, obserwowałem potyczki najlepszych rycerzy, lecz nawet najdzielniejszy z nich nie byłby godnym ciebie przeciwnikiem.

- Lancelot usiadł na kamiennej ławie przy kominku i grzał ręce w ciepłe żarzących się polan.

- Powiedziałeś, kim jesteś?

- Nie. Obiecałeś, że sam przedstawiś mnie królowi Arturowi, nie chciałem więc ci uchybić. Kiedy nadeszła jesień, zrozumiałem, że dalsze oczekiwanie nie ma sensu. Wstąpiłem do Sorelois, na dwór mojego ojca, ale tam też nikt cię nie widział. Wtedy postanowiłem, że pojedę na zamek króla Pellesa.

- Nie rozumiem, skąd wzięła się twoja pewność. Tylko przypadek sprawił, że tu trafiłem. Usnąłem w siodle i koń

sam mnie tu przyprowadził. Inaczej wcale byś mnie nie zobaczył.

—Czułem, że się pojawisz, i nie zawiodłem się. Teraz pozostaje mi jeszcze czekać na przybycie Ellany.

—Zabraniam ci wypowiadać jej imienia!

—Wybacz, bez przerwy o niej myślę, a ty jesteś pierwszym człowiekiem, jakiego widzę od wielu tygodni. Muszę się przed kimś wygadać.

—Jeszcze ci nie przeszło? Widocznie napój miłosny, który ci podała, był wyjątkowo mocny. Ten, który wypilem ja, działał tylko jedną noc.

—Ellana podała ci napój miłosny?

—Nie ma się czemu dziwić. Kochała mnie, a ponieważ odrzuciłem jej względy, uciekła się do magii, żeby zrealizować swój cel.

Galehot pochylił się nad miską. Lancelot zauważył, że jego twarz nagle posmutniała, i pożałował, że wyznał mu prawdę. On, który od miesiący prawie się nie odzywał, rzucał tylko wyzwania, zabijał pokonanych i nie korzystał z należnego zwycięzcom prawa łaski, widząc cierpienie młodzieńca, zlągodniał i skruszonym głosem powiedział:

— Wybacz, Galehocie, że cię uraziłem. Nie wiem, po co opowiedziałem ci tę historię. Zresztą, do Ellany też nie powinienem mieć pretensji. Ona przynajmniej mnie kochała. Teraz rozumiem, jaki ból czuła, gdy wzgardziłem jej uczuciem. Dziś wiem, co znaczy kochać bez wzajemności.

-Ty, Lancelocie? Ty, najdzielniejszy, najpiękniejszy z rycerzy Logru i całej ziemi zostałeś odtracony? To niemożliwe!

Lancelot milczał, wpatrzony w ogień płonący na kominku.

- Moja miłość była niemożliwa - westchnął.  
- Nie mogę sobie tego wyobrazić. Wszystkie panny i damy w Kamelocie marzyły tylko o tobie!

- Oprócz jednej.  
- Nie zauważyłem takiej. Musiała się dobrze ukrywać.  
- Gdybyś przyznał się, że jesteś moim giermkim, na pewno byś ją zobaczył.

Galehot podrapał się w czoło.

- Dalej nie rozumiem. Powiedz, proszę, jak ma na imię.  
Lancelot zawahał się, potem wzruszył ramionami, jakby było mu już wszystko jedno.

- Tobie powiem. Wiem, że dochowasz tajemnicy.

- Przysięgam na Boga!

- Ta, którą kocham, to Ginewra.

- Królowa? - wybełkotał giermek.

Rycerz skinął potakująco głową i spuścił wzrok.

- Trudno uwierzyć! Królowa, żona króla Artura? Jak to się stało?

Lancelot roześmiał się gorzko.

- Mówisz tak, jakbym zachorował lub był ofiarą wypadku. Choć w sumie masz rację: ta miłość niszczy mnie jak nieuleczalna choroba.

Machnął ręką.

- Dość już! Nie ma o czym mówić.

Galehot usiadł bliżej.

- Właśnie, że jest! Powinieneś powiedzieć, co leży ci na sercu. Poczujesz ulgę, a poza tym przemyśl wszystko jeszcze raz i może zrozumiesz, dlaczego cię odtrąciła.

- Nie ma co rozumieć. Nienawidzi mnie i to wszystko.

- Jej nienawiść musi mieć jakąś przyczynę. Co jej uczyniłeś?

- Służyłem jej swoim mieczem, walczyłem w jej obronie, uwolniłem ją z rąk Malaganta.

Galehot przykucnął obok i cierpliwym głosem powiedział:

-Wszystko to prawda, Lancelocie. Uważam jednak, że mówisz zbyt skrótowo, zbyt pobieżnie. Spróbuj opowiedzieć wszystko dokładnie, przypomnij sobie więcej szczegółów staranniej dobieraj słowa.

- To nie takie proste. Każesz mi przeżywać wszystko od nowa, rozdrapywać dawne rany, ujawniać uczucia, które od miesięcy staram się w sobie zdusić.

- Zrób to dla twojego dobra!

Lancelot oparł się plecami o kominek i zmrużył oczy.

- A więc, posłuchaj...

- ...i odeszła, trzymając pod rękę Iwena. Więcej jej już nie zobaczyłem.

Galehot z uwagą słuchał wynurzeń Lancelota. Kiedy rycerz skończył, siedział dłuższą chwilę oparty o kominek, obejmując rękami kolana, i milczał.

Lancelot wstał z ławki i podszedł do okna, za którym panowała głęboka noc.

-I co o tym wszystkim sądzisz?

- Moim zdaniem w całej historii jest wiele tajemniczych okoliczności, które mnie niepokoją: niewiadomych, dziwnych znaków, nagłych zmian sytuacji.

- Mów jaśniej!

Galehot wstał i masując zbolące krzyże, rzekł:

- Obaj mieliśmy okazję spotkać Morgane. Ty poznałeś ją jako Errandę. Przyjęła cię w swoim zamku i zaoferowa-

ła gościnę, podczas której omal nie straciłeś życia. Zataiła przed tobą obecność Malaganta i jego branki, a następnego ranka, bez uprzedzenia, wyjechała razem z nimi. Potem trafiła do mnie. Przybyła do Sorelois pod nieobecność mojego ojca i rzuciła na miasteczko zły czar. Nie uczyniła tego osobiście. Wykorzystała Baudemagusa, czarownika Malaganta, któremu poleciła zamienić je w przyszły cmentarz.

- To wszystko wiem. I co dalej?

-Zastanawiałeś się, dokąd udała się z synem Mordretem? Odpowiedź jest oczywista: z Malagantem do Gorre. Mówisz jednak, że jej tam nie widziałeś, prawda?

- Nie widziałem ani jej, ani Mordreta.

-A jednak byli w Gorre, to pewne. Dlaczego zatem Morgana nie interweniowała w czasie pojedynku? Dlaczego nie użyła magicznej mocy, by pomóc Czarnemu Rycerzowi, który był jej sojusznikiem? Dlaczego wreszcie wcale się nie pokazała?

- Nie mam pojęcia, ale ty, zdaje się, znasz odpowiedź.

- Nie, ale mam pewne przypuszczenia. Wydaje mi się, że Morgana miała za nic Malaganta i wasza walka nic ją nie obchodziła. Pragnęła osiągnąć własny cel, lecz niestety nie wiem jaki. Wiem jedynie - jak wszyscy zresztą - że nienawidzi swojego przyrodniego brata i poprzysięgła mu zemstę. Prawdopodobnie, wykorzystując ciebie i Ginewrę, w niego właśnie zamierzała uderzyć.

Lancelot obruszył się i chciał coś powiedzieć, lecz Galehot przyłożył palec do ust, dając znak, żeby mu nie przerwał.

-W moim rozumowaniu pojawia się jednak pewien szczegół, którego nie rozumiem.

- Jaki?
- Wybacz szczerość, ale twój szczęśliwy związek z Ginewrą powinien być po myśli Morgany.
- Nie opowiadaj głupstw!
- Powinno jej zależeć, by królowa cię pokochała, ponieważ gdybyś odebrał ją królowi, byłby to dla niego okrutny cios. Tracąc żonę, straciłby nie tylko najdroższą osobę, lecz także honor i majestat władcy.
- Wiem, że masz rację, i jest mi przykro - przyznał Lancelot, nie patrząc mu w oczy. Twoje rozumowanie ma sens, ale liczą się fakty. Królowa nie tylko nigdy mnie nie kochała, lecz wprost mnie nienawidzi. Morgana rozumowała prawdopodobnie tak jak ty. Nienawiść Ginewry pokrzyżowała jej plany. Wszystkie magiczne sztuczki okazały się zbyt słabe, by wzbudzić w jej sercu wiarołomną miłość.
- Taki wariant jest możliwy, lecz mało prawdopodobny. Przychodzi mi do głowy inna wersja, bardziej odpowiadająca wrodzonym skłonnościom Morgany. Jako czarownica jest ona bardziej obeznana z nienawiścią niż z miłością. Kto wie, czy nienawiść Ginewry, tak okrutna i nieuzasadniona, nie jest przypadkiem jej dziełem?
- Naprawdę? - zawołał Lancelot, a w jego sercu natychmiast odżyła nadzieja. - Wierzysz, że to możliwe?
- Chwycił Galehota za ramiona i potrząsnął nim radośnie, po chwili zastanowienia jednak jego entuzjazm zgasł.
- Nie, nie wierzysz. Mówisz tak, żeby mnie pocieszyć. Po co Morgana miałaby wzbudzać w królowej nienawiść do mnie?
- Po to, żeby cię zniszczyć. W walce zbrojnej jesteś niepokonany. Przed czarami broni cię opieka Damy z Jeziora. Dlatego uderzyła w najczulszy punkt twojego serca.

- Za co się na mnie mści? Nic jej nie zrobiłem. Dopóki jej nie spotkałem, nie wiedziałem nawet, że istnieje.

- Za to ona wiedziała o tobie. Widocznie stoisz na przeszkodzie jej planom i postanowiła się ciebie pozbyć.

Lancelot stał oparty o framugę okna i rozmyślał.

- Załóżmy, że masz rację - powiedział. - I co z tego? Nie wiem, jak walczyć z Morgana. Jak zmusić ją, żeby wyrwała z serca Ginewry nienawiść, którą w nim zaszczepiła?

- Wróć do domu, Lancelocie. Wróć do Jeziora.

- Proponujesz mi ucieczkę?

- Jaką ucieczkę, rycerzu? Będziesz walczył, a pomoże ci w tym jedyna osoba, która oprócz Merlina, zdolna jest unieszkodliwić Morgana.

Lancelot rzucił się w stronę Galehota.

- Wiwiana! - zawołał.

Chwycił giermka w ramiona i omal nie udusił go z wdzięczności.

## 2. Powietrzne Więzienie

Przez kilka dni Lancelot podążał na południe, w kierunku odwrotnym niż podczas swojej pierwszej podróży do Camelotu. Tym razem nie towarzyszyła mu wspaniała świta, nie miał też na sobie pięknej białej szaty. Podróżował sam jeden, okryty sukiennym brudnoszarym płaszczem, w pogniecionym pancerzu, noszącym ślady ciosów miecza i kopii. Na pierwszy nocleg zatrzymał się w zamku Lawenor. Wbrew swoim dotychczasowym zwyczajom, zbliżywszy się do rycerskiej siedziby, nie wyzwał nikogo na pojedynek, lecz pokornie poprosił miejscowego barona o gościnę. Od daw-

na nie spał tak spokojnie, nie lękając się, że podczas snu ktoś pozbawi go życia. Następnego ranka wsiadł na okręt, by przedostać się na drugi brzeg morza.

Kilkakrotnie zmieniał konie, dzięki czemu jego powrót trwał niespełna tydzień. Siódmego dnia rano ujrzał wreszcie rozległe, połyskujące w słońcu Jezioro.

Drobny puch bielił wzgórze i lasy nadjeziornej krainy, a powierzchnia wody pokryta była cienką warstwą lodu. Lancelot wprowadził do wody konia, który przerażony nie chciał zrobić ani kroku. Rycerz zeskoczył z siodła i ciągnąc wierzchowca za uzdę, zmusił go do zanurzenia się w głębokiej toni.

Jako że Jezioro było tylko złudzeniem, woda natychmiast zniknęła, podobnie jak zimowy krajobraz. Młody rycerz i jego rumak przemierzali zielone łąki i lasy, radowali się śpiewem ptaków gniazdujących masowo w tej nieznającej zimna ani słoty okolicy. W głowie Lancelota ożyły wspomnienia z dzieciństwa. Z rozrzwinięciem myślał o cudownych dniach, gdy ścigał jelenie, błąkał się beztrosko nad rzeką, marzył o przyszłych bohaterskich czynach. Zrozumiał, że Galehot udzielił mu dobrej rady, a on słusznie go posłuchał.

Pierwszą osobą, którą ujrzał, zbliżając się do zamku, był stary nauczyciel - Karadok. Rozpoznał od razu jego przygarbioną sylwetkę i charakterystyczny chód. Jak zawsze trzymał ręce skrzyżowane na plecach i potrząsał głową, jakby bił się z myślami.

- Karadoku! - zawołał Lancelot.

Nauczyciel stanął w miejscu, przez chwilę patrzył na niego, jakby nie wierzył własnym oczom, wreszcie roześmiał się radośnie.

- Chłopcze! Ty tutaj?



Rozpostarł ramiona, chcąc go uściskać, lecz opamiętał się, przybrał typową dla siebie stateczną minę starego wychowawcy i marszcząc czoło, zapytał:

- Jak to? Przybywasz tak nagle, bez uprzedzenia? Wszyscy myśleliśmy, że dawno nie żyjesz!

Dawny uczeń położył mu rękę na ramieniu.

- Jak widzisz, panie, żyję. Lecz poniekąd masz rację: jeszcze kilka dni temu byłem jak martwy.

- Zajmujesz się teraz filozofią? Trudno w to uwierzyć. Pasuje do ciebie jak do mnie zbroja - odparł wyraźnie rad, że widzi młodzieńca przy życiu, i popchnął go w stronę wejścia do zamku.

- Zamiast tracić tu ze mną czas, biegnij do Wiwiany!

Lancelot posłuchał od razu i czym prędzej popędził do zamku. Szybko mijał kolejne komnaty i korytarze, przeskakując po trzy stopnie, wspinał się po schodach, wzbudzając powszechną radość służebnych, szczęśliwych z jego powrotu. Pocałował po drodze okrągłą jak jabłko, rumianą twarz swojej starej piastunki, pozdrowił przelotnie Saredę, poklepywał przyjaźnie po ramionach mijanych giermków, dawnych towarzyszy dziecięcych zabaw. Wreszcie zdyszany wpadł do komnaty Wiwiany.

- Matko! - zawołał od progu.

Wiwiana blada i przezroczyista jak opłatek leżała wyciągnięta na łóżku. Błyszczące od gorączki oczy podkreślały głębokie, sine cienie. Patrzyła na przybysza w milczeniu, a żaden mięsień nie drgnął w jej nieruchomej twarzy.

Lancelot klęknął i zobaczył na jej policzkach łzy. Przytuliła go do siebie.

- Nie mów tak do mnie. Teraz już wiesz, kto jest twoją prawdziwą matką.

- Inteligentny chłopak z tego Galehota - powiedziała, kiedy opowiedział jej wszystkie przygody, jakie przeżył od-  
ką rozstali się w Kamelocie.

Prawdę mówiąc, Wiwiana wiele z nich знаła, gdyż o wy-  
czynach młodego rycerza często mówiono i tu, nad Jeziorem.  
Kiedy Lancelot błakał się po drogach Szkocji i Irlandii, sława  
jego legendarnych zwycięstw dotarła do każdego zakątka An-  
glii, a nawet do zamorskiej Galii. Wiwiana znała szczegóły je-  
go walki z Malagantem, wiedziała o uwolnieniu Ginewry, nie-  
obce były jej także jego inne przygody. Wiedziała również  
o trwającej kilka miesięcy nieobecności rycerza w Kamelocie,  
który triumfalnie obchodził nastanie pokoju. Martwiły ją do-  
chodzące coraz częściej relacje o jego śmierci. Według jed-  
nych utonął, według innych - został ścięty, rozerwany na ka-  
wałki, starty w proch. Tylko sprzeczność docierających do  
niej informacji pozwalała zachować resztki nadziei, że kiedyś  
go zobaczy.

- Sądzisz, że to Morgana wszystko uknuła?

- Jestem skłonna w to uwierzyć.

- Dlaczego to zrobiła? - dziwił się Lancelot. - Kim ja dla  
niej jestem? Nie mogę w żaden sposób jej zaszkodzić.

- Nie wiesz wszystkiego, mój drogi.

- Powiesz mi w końcu, co powinienem wiedzieć? -  
uniósł się młodzieniec. - Od kiedy przybyłem do Kamelotu,  
żyłem wśród tajemnic i niedomówień.

- To nie takie proste - oświadczyła.

- Nie rozumiem, dlaczego.

Wiwiana zawahała się.

- Urodziłeś się i zostałeś wychowany tak, by pomyślnie wypełnić zadanie, które wypełnić może tylko jeden człowiek na tej ziemi. Warunkiem koniecznym, byś uwieńczył to zadanie sukcesem i odnalazł to, co miałeś odnaleźć, było to, że wyrośniesz z dala od świata. Tylko pełna izolacja gwarantowała, że nigdy nie dowiesz się, co masz odnaleźć, ani jaki charakter ma mieć to poszukiwanie.

- To jakiś absurd! Jak mógłbym szukać czegoś, czego nie znam, czy znaleźć coś, czego nie szukam? Nawet gdyby, skąd miałbym wiedzieć, że to właśnie to?

- Na tym polega głęboki sens poszukiwania, Lancelocie. Rycerz wybrany przez Boga ma kierować się czystym sercem i tylko jemu ma powierzyć swój los. To serce podpowie mu, że zadanie zostało zakończone i że znalazł to, co miał znaleźć. Ci, których spotkałeś na swej drodze, zwracali się do ciebie w sposób dwuznaczny i niezrozumiały, wierząc, że to ty jesteś Wybranym. Nie mogli mówić inaczej, wtedy bowiem twoja misja straciłaby sens i nie byłbyś już zdolny jej kontynuować.

Lancelot pokręcił głową.

- Ta rozmowa nie ma sensu. Nie dowiem się z niej więcej, niż dotąd wiem. Powiesz mi przynajmniej, czy naprawdę masz pewność, że to ja jestem tym... Wybranym?

Wiwiana umilkła i w komnacie zapadła kłopotliwa cisza.

- Nie, Lancelocie, nie jestem już pewna. Widzisz, kiedy opowiadałeś mi przed chwilą o swoich przygodach, miałam wrażenie, że zbliża się moment, w którym okaże się, że zadałeś Dwa Pytania, które miały otworzyć ci dostęp do przedmiotu, będącego celem poszukiwania. Okazja taka była ci dana, lecz ty jej nie wykorzystasteś. Twoje serce nie podpowiedziało ci, że masz to uczynić.

—Kiedy to było?

—Nie mogę ci powiedzieć. Nie mam do tego prawa. Jeden człowiek może udzielić ci takiej odpowiedzi, jeżeli uzna, że to konieczne.

—Kto?

—Ten, kto zna całą prawdę.

Nigdy wcześniej Lancelot nie był w lochach pod zamkiem. Nie wiedział nawet, że są tak głębokie. Wiwiana dała znak, wypowiedziała jakieś zaklęcie i pierwsza zaczęła schodzić po krętych stopniach, których końca Lancelot nie mógł dostrzec, mimo że podziemia oświetlało jasne, przyjemne światło. Gdyby nie ono oraz świeży wiosenny zapach, myślałby zapewne, że to zejście do piekieł.

Szli już dość długo, a schody zdawały się nie mieć końca. W chwili gdy młody rycerz stracił nadzieję, że kiedyś dojdą na miejsce, niespodziewanie znaleźli się na pięknej polanie. Lancelot podniósł głowę. Zamiast kamiennego sklepienia, jakiego można się było spodziewać, ujrzał pogodne błękitne niebo. Na środku polany stał drewniany szałas, a obok tryskało bogate w wodę źródło. Pochylony starszy mężczyzna w skromnym płóciennym ubraniu zanurzał w nim dzban.

Wiwiana zatrzymała się kilkanaście kroków od niego. Lancelot zauroczony tym sielskim obrazkiem, który zadziwił go tym bardziej, iż wiedział, że są oto głęboko pod ziemią, poszedł dalej przed siebie. Nagle uderzył w ścianę, której nie było. Starzec z dzbanem roześmiał się na widok młodzieńca jedną ręką rozcierającego obolałe czoło, drugą badającego niewidzialną ścianę.

- Powinnaś uprzedzać swoich gości o grożącym im niebezpieczeństwie, Wiwiano - rzekł z lekką kpina.

- Cieszę się, że humor ci dopisuje, Merlinie - odpowiedziała tym samym tonem. - Kogo dzisiaj grasz? Starego pustelnika?

Merlin udał, że strząsa pył z koszuli.

- Gdybyś mnie powiadomiła o swojej wizycie, wybrałbym inną rolę. Od kiedy zamknęłaś mnie w tym powietrznym więzieniu, każda chwila jest dla mnie wielką niewiadomą. Przyznam, że lubię niespodzianki. Dopóki mogłem przepowiadać przyszłość, życie nie miało dla mnie smaku. Co to zresztą było za życie!

- Mimo to wiesz zapewne, po co do ciebie przyszliśmy.

Starzec uśmiechnął się do niej, podniósł dzban do góry i dał znak, że idzie do szałasu.

-Zaparzę miętę. Jej odświeżający, pieprzny smak nigdy mi się nie znudzi, tak jak ty, Wiwiano - zażartował i poszedł zagotować wodę.

- Kim jest ten Merlin i co tu robi - chciał wiedzieć Lancelot.

- To mój stary przyjaciel - odrzekła krótko.

Z szałasu wyszedł przystojny jasnowłosy mężczyzna w zielonym kaftanie i eleganckich zielonych spodniach.

- A ten skąd się tu wziął?

-To też Merlin. Taki wygląd przybierał w czasach, gdy... - zawiesiła głos - gdy byliśmy sobie bardzo bliscy - szepnęła, a głośno zapytała:

- Czyżbyś liczył, że znów mnie oczarujesz?

- Chcę, żebyś wróciła pamięcią do tamtych szczęśliwych dni.

- Uważasz, że były szczęśliwe?

- Odkąd odizolowałaś mnie od świata i odebrałaś mi moc czytania w ludzkich sercach - rzekł smutnym głosem — szukam ucieczki w przeszłości i coraz bardziej za tobą tęsknię, moja Wiwiano.

- Bardzo wzruszające.

Roześmiał się głośno.

- Nieprawdaż?

- Jak zwykle grasz komedię.

Zadowolony z siebie Merlin usiadł swobodnie przy źródelku, patrząc z upodobaniem, jak woda przepływa mu między palcami.

- Jestem gotowy, słucham cię.

- To raczej my chcemy posłuchać ciebie.

- Naprawdę? Tak bez żadnego wstępu. Szkoda, bardzo lubię twój głos...

- Słuchamy cię, Merlinie - powtórzyła spokojnie Wiwiana.

Merlin wytarł palce o kaftan, położył się bokiem na trawie, oparł wygodnie na łokciu i zaczął opowiadać.

- Któregoś dnia, przed laty, maleńki synek króla zmarłego z żalu po utracie swojego królestwa został przygarnięty przez pannę precudnej urody, żyjącą w zamku pod Jezio-rem Złudzeń. Wychowała go ona na doskonałego rycerza. Pewien mężczyzna, uważany powszechnie za najmądrzejszego i najroztropniejszego z ludzi, przecząc tej pochlebnej opinii, popełnił błąd i pokochał ową piękną pannę. Pragnąc pozyskać względy damy, przekazał jej część swej magicznej mocy i wyjawiał najcenniejszą przepowiednię. Przepowiednia ta mówiła, że wychowany przez nią chłopiec okaże się Wybranym, któremu dane będzie zadać Dwa Pytania, pozwalające jemu właśnie odnaleźć Graala.

Merlin zmienił pozycję na siedzącą, westchnął głęboko i mówił dalej:

- Lancelocie, święty Graal to naczynie, które służyło Chrystusowi podczas Ostatniej Wieczerzy. Ustanowił wtedy sakrament Eucharystii: przemienił chleb w Swoje Ciało, a wino w Swoją Krew. Jak wiesz, jeden z dwunastu apostołów, Judasz, wydał Go kapłanom. Chrystus został ukrzyżowany, by mogła się spełnić tajemnica Zmartwychwstania.

Po tych słowach zamilkł na chwilę i przyglądał się sikorce, która usiadła na brzegu źródelka i zanurzyła dziobek w krystalicznej wodzie.

- Uczniowie Chrystusa starannie przechowywali cenne naczynie. Pewnego dnia Józef z Arymatei, który sprawował nad nim pieczę, przybił z kilkoma towarzyszami do brzegów Anglii i ukrył Graala w sobie tylko znanym miejscu. Następnie stworzył Okrągły Stół, skupiający króla oraz najwybitniejszych, najszlachetniejszych rycerzy. Przy stole pozostawił jedno wolne miejsce. Było ono zarezerwowane dla tego, kto odnajdzie Graala i postawi go na środku stołu. Wielu śmiazków pragnęło zająć honorowe miejsce siłą. Wszyscy ginęli i trafiali niezwłocznie do piekieł. Jedynie Wybrany, rycerz bez skazy, otrzyma łaskę od Boga, znajdzie Graala i zasiądzie na należnym sobie miejscu. Kiedy wypełni tę misję, na ziemi na tysiąc lat zapanuje powszechna szczęśliwość.

Sikorka odleciała, a Merlin wstał i patrząc w górę, śledził jej lot.

- Od czterystu lat rycerze daremnie poszukują Graala, pokonując po drodze rozmaite, często bardzo ciężkie próby. Nie będę ci ich wymieniał, gdyż różnią się w zależności od rycerza, który jest im poddawany. Mówmy o tobie. Pamiętaj dzień, kiedy jeszcze jako chłopiec bez wahania ofiaro-

wałeś swego pięknego konia młodemu giermkowi, spieszącemu się, by zdążyć na proces zabójcy swojego krewnego? Albo ten, kiedy oddałeś wspaniałego tłustego kozła ojcu, który nie nie upolował, a wydawał za męż swoją córkę?

- Nie zrobiłem nic nadzwyczajnego.

- Tak tylko ci się wydaje. Kto inny, oprócz ciebie, byłby gotowy tak postąpić? Przejdźmy teraz do Zdradzieckiego Łoża. Pochłonęło ono więcej ofiar niż sto lat krwawych pojedynków. Ty wyszedłeś zwycięsko z tej próby, prawda?

- Tak, panie. Do dziś nie wiem, jak udało mi się uniknąć ciosu.

- Uniknąłeś, bo musiałeś uniknąć. Podobnie jak zdjęć zły czar, który zamienił miasteczko Sorelois w Przyszły Cmentarz. Twój grób, jako jedyny, pozostał na miejscu. Jak myślisz, dlaczego? Bo to był twój grób. Czekał na ciebie, byś mógł podnieść kamienną płytę i odczytać na niej swoje imię. Gdybyś nie był Wybranym, lub raczej potencjalnym Wybranym, inne imię byłoby tam zapisane.

- Dlaczego potencjalnym, Merlinie? - wtrąciła się Wiviana. - O tym mi nie mówiłeś.

- Nie mówiłem? Widocznie zapomniałem. Obym nie zapomniiał wyjawić również innych szczegółów. Ale przejdźmy do rzeczy. Następną próbą, którą pokonałeś, był Most Miecza. Brawo! Wykazałeś się wielką odwagą. Szkoda, bo narażałeś się zupełnie niepotrzebnie.

- Dlaczego, Merlinie?

-Zadania, jakie miałeś obowiązkowo spełnić, były trzy. Trzy jak trzy Osoby Boskie.

Rozłożył palce:

- Pierwsze wypełniłeś, kiedy oddałeś konia i kozła, drugie - gdy uniknąłeś morderczego ciosu spadającej włóczni,



trzecie - kiedy zdjąłeś czar i zmieniłeś z powrotem Przyszły Cmentarz w żyjące miasteczko, i odczytałeś swoje imię. Zupełnie nie rozumiem, po co narażałeś życie podczas przeprawy przez Most Miecza.

- Musiałem uwolnić królową!

- Królową, mówisz? Piękną Ginewrę! Kiedy przedstawiałem ją Arturowi była najpiękniejszą kobietą w całej Anglii. Bardzo się zmieniła?

Zanim Lancelot zdążył odpowiedzieć, Merlin odpowiedział sam sobie:

- Na pewno nie. Sądząc po miłości, jaką ją darzysz, musi być nadal bardzo piękna. Ale to nieistotne, wróćmy do tematu. O ile się nie mylę, zatrzymałeś się w Korbenik, w zamku króla Pellelesa?

- Wolałbym o tym nie pamiętać.

- Masz swoje powody, a ja dodatkowo obciążę twoje sumienie innymi. Podczas wieczerzy, kiedy siedziałeś z królem przy stole, do komnaty weszli giermkowie. Jeden niósł włócznię. Przypominasz sobie?

- Włócznia krwawiła, zdziwiłem się.

- Wynika z tego, że nie byłeś zupełnie ślepy. Następnie przed wami przeszli dwaj giermkowie niosący świeczniki z płonącymi świecami, a za nimi trzeci. Widziałeś go?

- Tak, niósł złote naczynie wysadzone drogimi kamieniami.

- Zwykłe naczynie?

- To był Graal! Na krew Chrystusa!

- Właściwe skojarzenie, Lancelocie - uśmiechnął się Merlin. - Szkoda, że przyszło ci do głowy tak późno. Tak, Lancelocie, twoje oczy widziały Krwawiącą Włócznię, którą rzymski żołnierz przebił bok Chrystusa, oraz Graala. Ty jed-

nak pozostałeś ślepy i nie zadałeś Dwu Pytań, których Pelles od ciebie oczekiwał. Na Boga, o czym wtedy myślałeś?!

- O Ginewrze, panie. Tylko o niej.

- Oj, miłość, miłość! Co ona potrafi zrobić z człowiekiem! Nie będę robił ci wyrzutów. Wiwiana może potwierdzić, jak przez nią sam zapadłem na tę groźną chorobę, która odbiera zmysły i rozum.

- Daruj sobie te gorzkie uwagi i powiedz lepiej, dlaczego, kiedy wyjawiałeś mi swoją przepowiednię, nie przestrzegłeś mnie, że Wybrany może pokochać królową i liczyć na jej wzajemność? - odezwała się Wiwiana.

- Wolałem być przezorny. Sam wymyśliłem dla niego tę małą dodatkową próbę.

- Oszukałeś mnie!

- W sumie i tak mnie pokonałaś. Wybacz, że nie pozwoliłem odebrać sobie reszty rozumu.

- Przez ciebie, przez twój brak zaufania do mnie, sama doprowadziłam do ich spotkania. Przecież to ja skłoniłam Lancelota, by służył królowej swoim mieczem. Przez ciebie i twoją - jak mówisz - dodatkową próbę zszedł z drogi do celu. Przez ciebie on, Wybrany, nigdy nie odnajdzie Graala.

- Przypisujesz mi zbyt wielką moc, moja droga. Nie byłbym w stanie przeszkodzić Wybranemu w dotarciu do Celu. Jednak, tak naprawdę, może on o sobie powiedzieć, że został wybrany przez Boga dopiero wtedy, gdy Graal znajdzie się w jego rękach. Wcześniej jest tylko potencjalnym Wybrany. Lancelot pokonał długą drogę. Żaden inny potencjalny Wybrany nie zaszedł tak daleko. Żaden nie widział Krwawiącej Włóczni i Graala na własne oczy. Tak niewiele zabrakło, by mógł wrócić zwycięsko do Kamelotu i zasiąść przy Okrągłym Stole na czekającym na niego wolnym miejscu.

Coś tak błahego jak miłość sprawiło, że zaprzepaścił swoją szansę.

- Jesteś złym starym głupcem!

Merlin uśmiechnął się do niej gorzko.

- Masz rację. Lepiej skończmy tę komedię - powiedział i na oczach Wiwiany oraz Lancelota z przystojnego eleganckiego mężczyzny przemienił się w zgarbionego starca w zniszczonym, płóciennym ubraniu.

- Rycerzu - rzekł, siadając ciężko przy źródle - ponieważ przez wymyśloną przeze mnie próbę nie osiągnąłeś Celu, uważasz mnie pewnie za swojego wroga. Wiedz, że nim nie jestem. Ja tylko podpowiedziałem ci jakąś drogę, ale to ty sam wszedłeś na nią z własnej woli i kroczyłeś nią z wielką ochotą i determinacją. Co się stało, to się nie odstanie. Radzę, nie oglądaj się za siebie. Idź odważnie naprzód. Kochasz Ginewrę? Odzyskaj ją!

- To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Nigdy nie zdobyłem jej względów. Ona mnie nienawidzi.

- Biedny, niemądry chłopcze! - uzalił się nad nim Merlin. - Jesteś ślepy i głuchy jak ja. Zapewniam cię: w sercu Ginewry jest tyle nienawiści do ciebie, ile miłości do mnie w sercu Wiwiany.

- Skąd wiesz?

- Opowiem ci jeszcze jedną historię, tym razem ostatnią, już i tak za bardzo się rozgadałem. Dawno temu byłem doradcą króla Utera Pendragona. Był to władca potężny i niezwykle popędliwy. Starłem się go dyscyplinować, lecz nie zawsze udawało mi się powściągnąć jego gwałtowne żądze. Któregoś razu ujrzał Igreń, żonę księcia Kornwalii, i oczarowany jej urodą, zapalał do niej wielką namiętnością. Ponieważ

wierna Igrena odrzuciła jego zaloty, zdobył ją podstępem. Używając magicznej mocy, pomogłem mu przybrać postać jej męża, a ona nieświadoma niczego, przyjęła go do swej sypialni. Owocem ich miłości był Artur, przyszły król. Córka Igreny i księcia, Morgana, która przyszła na świat obdarzona pewnymi nadprzyrodzonymi zdolnościami, przejrzała mój stosunkowo prosty podstęp i bez trudu rozpoznała Utera. Zapałała do niego wielką nienawiścią, którą przeniosła później na jego syna, swojego przyrodniego brata. Kiedy dorósł i objął władzę, uwiodła go i urodziła syna Mordreta. Był to pierwszy akt jej zemsty.

Merlin zaczerpnął powietrza i po chwili mówił dalej.

- Morgana pragnęła osiągnąć podwójny cel: posadzić Mordreta na tronie Artura oraz sprawić, by to właśnie on odnalazł Graala. Mordret nie jest rycerzem bez skazy, nie ma czystego serca, o jakim mówi przepowiednia, lecz jego matce to nie przeszkadza. Nie zależy jej, by na ziemi zapanaował okres tysiącletniej szczęśliwości. Jej żywiołem jest Zło, a Zło zapanuje na świecie, jeżeli Graal trafi w ręce kogoś innego niż Wybrany.

Lancelot słuchał z rosnącym zainteresowaniem, a starzec kontynuował wypowiedź:

- Pojawienie się na dworze tajemniczego młodzieńca bez imienia w wigilię świętego Jana przstraszyło Morgane, która zna na pamięć każde słowo przepowiedni. Próbowała wciągnąć cię w pułapkę Zdradzieckiego Łoża, lecz wyszedłeś z niej obronną ręką. Zrozumiała wtedy, że musi się ciebie pozbyć. Przy całej swej przebiegłości Morgana nie wiedziała jednak, gdzie ukryty jest Graal, dlatego nie przypuszczała, że trafisz do króla Pellesa. Nie wiedziała, że przez to, iż nie zadałeś Dwu Pytań, przestałeś być Wybranym i nie staniesz już dla niej

zagrożenia. Nie wiedząc, jak cię zniszczyć, postanowiła wykorzystać twoją jedyną słabość: miłość do królowej. Wiedz, mój chłopcze, że Ginewra cię kochała, kochała ponad wszystko na świecie, ponad życie. Jej miłość do ciebie była silniejsza niż poczucie honoru i wierności Arturowi. Pamiętaj też, że im większa jest miłość, tym większa towarzyszy jej zazdrość. Morgana, która jak nikt inny zna się na złych uczuciach, doskonale o tym wiedziała. Pokazała jej scenę, kiedy ty i Ellana, córka Króla Rybaka... Sam wiesz, do czego wtedy doszło.

- Ellana! - zawołał oburzony Lancelot. - Obym jej nigdy nie poznał.

- Mylisz się, mój drogi. Noc spędzona z nią była potrzebna.

- Do czego?

- Nie czas o tym mówić. To już ciebie nie dotyczy. Na dziś koniec. I tak za dużo powiedziałem.

Merlin wstał i wolnym krokiem zaczął się oddalać.

- Zegnaj, mój chłopcze. I strzeż się Morgany.

Lancelot nie wiedział, co odpowiedzieć. Słowa Merlina wstrząsnęły nim do głębi serca. Odkąd usłyszał zdanie: „Ginewra cię kochała, kochała ponad wszystko na świecie”, nie mógł doczekać się chwili, gdy padnie przed nią na kolana i wyjaśni powody nieporozumienia, które ich rozdzieliło. Odwrócił się i wszedł na schody prowadzące z Powietrznego Więzienia na górę do zamku.

Wiwiana ociągała się z odejściem i kiedy starzec był już blisko drzwi, zawołała:

- Merlinie, zaczekaj!

Odwrócił się zaskoczony.

- Chcę ci coś powiedzieć.

- Słucham.

- Wiedz Merlinie, że mimo wszystko cię kochałam. Pokiwał głowa z niedowierzaniem.
  - Kiedy?
  - Były takie chwile.
- Merlin roześmiał się cicho i wszedł do szałas.

### 3. Dolina bez Powrotu

Lancelot postanowił spędzić resztę dnia z Wiwianą i przenoć w jej zamku. Spacerowali razem po polach i łąkach, ciesząc się wzajemnie swoją obecnością. Patrząc na znajomy krajobraz, Lancelot wspominał beztrudnie dzieciństwo, kiedy nie myślał o dorosłym życiu i nawet nie przypuszczał, jakie przygody zgotuje mu los.

- Nie gniewasz się na mnie? - zapytała niespodziewanie Wiwiana, gdy znaleźli się nad brzegiem rzeki.

- Za co miałbym się gniewać?

- Poniekąd to za moją przyczyną zboczyłeś z drogi do Celu, jaki mogłeś osiągnąć.

- Mam teraz inny cel. Porzućmy już tamten temat.

Wieczorem spożyli razem wieczerzę, a następnie - jak za dawnych czasów - Lancelot rozegrał partię szachów z Karadokiem. Tym razem stary nauczyciel wygrał bez trudu. Młody rycerz zbyt zajęty był myślą o rychłym spotkaniu z Ginewrą, podczas którego wyjaśni przyczyny fatalnego nieporozumienia. Niepokoił się, czy zechce go przyjąć, dziwiąc się zarazem jej zazdrości. Przecież nie chciał zdradzić królowej, a jeśli już to uczynił, to wyłącznie dlatego, że ta druga przybrała jej postać. Wczesnym rankiem, zanim Wiwiana się obudziła, opuścił zamek. Chciał oszczędzić jej i sobie goryczy pożegnania.

Dosiadł wierzchowca, wziął też z sobą luzaka, którego prowadził na lonży. Po pięciu dniach przebył kanał i znalazł się w wyspiarskiej części królestwa Logru.

Śnieg stopniał, błotniste drogi stały się grząskie, pełne kałuż. Łąki pokrywała żółta, rzadka trawa, a na tle szarego nieba rysowały się czarne kikuty bezlistnych drzew. Zbliżał się zmierzch, lecz Lancelot nie zatrzymał się w Lawenorze. Postanowił nie tracić czasu na nocleg, by jak najszybciej dotrzeć do Kamelotu. Robiło się ciemno, kiedy na skrzyżowaniu dróg przecinających rozległą równinę, zobaczył znajomą sylwetkę karła z wózkiem.

Wóznica okręcił końce lejców wokół palców i zapadł w drzemkę. Na odgłos końskich kopyt obudził się nagle i podskoczył z wrażenia.

- Paniczu, ty tutaj?! - zawołał. - O tak późnej porze? Musiałeś chyba zabłądzić.

- Powiedz lepiej, co ty robisz w tych okolicach. Ostatnim razem widzieliśmy się zupełnie gdzie indziej.

- Mój wózek potrzebny jest wszędzie. Rozbójnicy, mordery i zdrajcy popełniają nikczemne czyny w całym kraju. A ty, rycerzu, nadal szukasz swojej ukochanej?

- Być może. Oświadczam ci jednak, że nigdy więcej nie wsiądę na twój wózek, choćby nie wiem, co się działo!

Karzeł roześmiał się szyderczo.

- Rozbawiłeś mnie wtedy, paniczu. W moim zawodzie rzadko mam okazję do śmiechu. Musisz kochać tę damę ponad życie, skoro pozwoliłeś się tak upokorzyć.

- Nad życie, dobrze to ująłeś.

- Mam nadzieję, że kiedy przybędziesz do Karahais, przyjmie cię tak, jak na to zasługujesz - rzekł i wyciągniętą ręką wskazał drogę prowadzącą na zachód.

- Mylisz się - odparł Lancelot. - Spotkam ją w Kamelocie.  
- Udasz się, dokąd zechcesz, paniczu, lecz jeżeli szukasz tej samej damy, którą widziałem w dniu świętego Jana z Czarnym Rycerzem i jego rudymi zbirami, to zapewniam, że niedawno ze swoją siostrą jechała tędy do Karahais.

- Nigdy nie słyszałem o Karahais, co to za zamek?

- Jedna z zimowych rezydencji królewskich, przytulniejsza od wielkich, zimnych komnat Kamelotu. Leży niedaleko stąd, dotrzesz do niej przed świtem.

Lancelot patrzył to na wschód, to na zachód i wahał się, co ma zrobić.

- Dlaczego miałbym ci wierzyć?

Karzeł odpowiedział mu chrapliwym śmiechem.

-A dlaczego nie? Poprzednio cię nie oszukałem. Nie bój się, tym razem nic od ciebie nie chcę! Wskazuję ci drogę, a ty sam wybieraj, dokąd chcesz jechać. Jeżeli do Kamelotu, możesz mi towarzyszyć, bo właśnie tam się udaję - rzekł i uderzył konia batem. Wózek potoczył się wolno drogą na wschód.

Lancelot ruszył za nim i zawołał do woźnicy:

- Jesteś pewny, że pojechała do Karahais?

- Tak pewny, jak tego, że ty szalejesz z miłości, paniczu.

Lancelot zawrócił wierzchowca i galopem popędził na zachód.

Karzeł roześmiał się szyderczo, lecz jeździec go nie usłyszał.

Mimo ciemności Lancelot nie dawał rumakowi chwili wytchnienia. Za wszelką cenę pragnął przed świtem dogonić



orszak Ginewry. Pochylny nisko, przytulony do końskiej szyi tak ściśle, że tworzył z nim niemal jedną całość, pędził jak strzała w ślad za swą ukochaną.

Przy takiej prędkości nie mógł dostrzec czyhającej na nierównej drodze przeszkody i wpadł z koniem do głębokiej kałuży wypełnionej rzadkim tłustym błotem. Zwierzę pośliznęło się i straciło równowagę, a rycerz, wykonawszy w powietrzu kozła, wylądował na mokrej ziemi. Wyszedł z wypadku bez szwanku, lecz niestety, stracił wierzchowca. Koń z przetrąconym kręgosłupem i złamaną nogą dogorywał na środku drogi.

Lancelot odwiązał tarczę przytroczoną do łąku siodła, przymocował ją sobie do szyi i pieszo ruszył w dalszą drogę.

Po kilku godzinach nocnego marszu był tak wyczerpany, że musiał zatrzymać się na krótki odpoczynek. Wszedł w zarośla, umościł sobie poślanie z suchej ściółki i owinięty szczelnie peleryną zapadł w sen.

Obudziło go blade zimowe słońce. Skostniały z zimna, wykonał kilka skłonów, by przywrócić krążenie krwi. Miał dziwny sen, lecz mimo wysiłku nie mógł przypomnieć sobie jego szczegółów. Krótka gimnastyka poprawiła mu nastrój. Strząsnął z ubrania zeschnięte liście i wyszedł z krzaków na drogę. Niebawem znalazł się na skraju lasu. Niedaleko zobaczył dwa niewysokie, porośnięte świerkowym lasem wzgórze, rozdzielone wąską doliną. Wejścia do niej bronił biały kamienny mur. Ścieżka, na której stał, prowadziła wprost do furtki.

Lancelot bez zastanowienia poszedł przed siebie i z radością stwierdził, że bramka jest otwarta. Już parę kroków wcześniej poczuł zaskakujący o tej porze roku zapach świe-

zych letnich kwiatów. Pchnął drzwiczki i stanął jak wryty: podmuch ciepłego powietrza musnął mu twarz i dłonie. Za murem rozciągał się wspaniały ogród, opadający lekko w głąb doliny. Chabry, fiołki, konwalie i prymule tworzyły piękne rabaty, wśród których szemrały strumyki wypełnione krystalicznie czystą wodą. Było tak ciepło, że Lancelot rozebrał się i zostawił pancerz oraz pelerynę na jednej z ławek z różowego marmuru, których wiele stało tu i ówdzie w cieniu pnących róż, glicynii i dzikiego wina. Dziękował opatrności, że postawiła na jego drodze karła z wózkiem. Gdyby go nie spotkał, udałby się do Kamelotu. Tymczasem karzeł nie kłamał. To miejsce w zimie było o wiele przyjemniejsze niż stolica w pełni lata.

Wysypana drobnym żwirem, wysadzana żonkilami i niezapominajkami ścieżka prowadziła do wysokiej dębiny. Lancelot był pewny, że zamek Karahais jest już blisko za drzewami.

Niedaleko krawędzi lasu zobaczył małą cieniłą polankę, a na niej fontannę z różowego marmuru, takiego samego, z jakiego wykonane były ławki w ogrodzie. Na jej brzegu siedziała młoda kobieta w stroju do konnej jazdy i układała bukiet z kwiatów.

Ginewra! Od wejścia do ogrodu był pewien, że ją tu znajdzie. Ten ziemski raj był miejscem stworzonym specjalnie dla niej, by mogła w nim odpoczywać i zażywać przyjemności. O ile łatwiej będzie mu - tu, w tym pięknym otoczeniu, z dala od zgiełku dworskiego życia - wyznać jej prawdę i prosić o wybaczenie.

Ginewra nie zauważyła jego obecności. Patrzyła w inną stronę, zajęta układaniem bukietu. Lancelot zbliżył się bezszelestnie. Nie podniosła głowy. Miała lekko otwarte usta,

widocznie nuciła coś cichutko, lecz on nie słyszał melodii. Usiadł za nią na krawędzi marmurowej misy.

fej złote włosy, przerzucone na jedną stronę przez ramię, podkreślały delikatność białej szyi. Jakże pragnął je pogłaskać. Powstrzymał jednak dłoń, by nie rozgniewać królowej. Musiał dać jej czas, by przywykła do jego obecności, a następnie znaleźć słowa zdolne trafić wprost do jej serca i wypełnić nienawiść zaszczerpioną w nim przez Morgane.

-Ginewro...

Wypowiedział to imię ledwo słyszalnym szeptem z obawy, że ujrzy w ukochanych oczach niechęć. Nie drgnęła, tylko nieobecna jak przedtem dołożyła kolejny kwiat do bukietu.

- Ginewro - powiedział głośniej.

Odwróciła lekko głowę. Uśmiechnął się przeproszająco i szukał słów, żeby ją ułagodzić, lecz nawet nie spojrzała w jego stronę. Strząsnęła z kolan pojedyncze płatki, wzniosła wzrok ku górze i jak pogrążona we własnym świetle, przyglądała się kołysanym przez wiatr liściom dębów. Lancelot zwiesił głowę.

-Wiem, Ginewro, że postanowiłaś nigdy ze mną nie rozmawiać i nigdy na mnie nie spojrzeć. Choć nie znałem przyczyn tej niechęci, szanowałem twoje życzenie i długo trzymałem się z dala od ciebie...

Królowa nie zareagowała na jego słowa. Wstała obojętnie z miejsca i poszła w stronę ogrodu. Zmartwiony Lancelot szedł krok za nią.

- Dlaczego udajesz, że mnie nie słyszysz? Pozwól przynajmniej, żebym ci coś wytłumaczył. Okaż mi tę łaskę, proszę.

Ginewra wyszła spod drzew, a jej włosy zaślniły w słońcu jeszcze jaśniej. Nie zważając na prośbę rycerza, szła żwirową ścieżką dalej w głąb ogrodu.

- Po zwycięstwie nad Malagantem zapytałaś, czy moje serce jest zajęte - mówił dalej Lancelot. - Zgodnie z prawdą powiedziałem, że tak. Dlaczego nie domyśliłaś się, że należy do ciebie? Dlaczego nie zrozumiałaś, że tylko twoja niechęć i pogarda nie pozwalają mi wyznać tak prostej i słodkiej prawdy? Zostałaś oszukana, pani, tak jak ja zostałem oszukany. Wysłuchaj, mnie...

Nie słuchała. Podeszła do ławki ukrytej w cieniu kwitnącej glicynii, położyła na niej swój bukiet, potem usiadła i — niedostępna - nieobecny, obojętny wzrokiem patrzyła na otaczające ją rabaty.

- Skończ tę okrutną grę, pani - rzekł błagalnym tonem Lancelot. - Spójrz na mnie i wysłuchaj, co mam do powiedzenia.

Nieczuła na prośby ani na ton głosu młodzieńca, włożyła dłoń we włosy i odrzuciła je do tyłu. Złoty płaszcz sięgający poniżej pasa, okrył jej szyję i plecy. Po kolejnym niepowodzeniu Lancelot poczuł się nieszczęśliwy i upokorzony. Złość spotęgowana bezsilnością przepełniała mu serce. Zdecydowanym krokiem podszedł do Ginewry i spojrzał jej prosto w twarz.

- Ostatni raz proszę, pani. Racz mnie wysłuchać!

Powiedziawszy te słowa, rozpaczliwie szukał w jej oczach śladu jeśli nie namiętności, to przynajmniej zainteresowania, życzliwości czy współczucia. Znalazł jedynie wyraz obcości, wskazującej na całkowity brak związku z realnym światem. Miał wrażenie, że królowa patrzy na niego, lecz go nie widzi. Zaciśnął pięści i w akcie rozpaczki wymówił cicho słowa, które tak dawno chciał jej powiedzieć:

- Kocham ciebie, Ginewro...

Królowa mrugnęła dwa razy powiekami. Na jej ustach pojawił się uśmiech. Drżąc z emocji, Lancelot rozłożył ramiona, by objąć ją i przytulić do piersi. Nie musiał nic mówić, wyjaśniać, tłumaczyć. Sam uścisk wystarczy, by zrozumiała, co do niej czuje.

Nie przestając patrzeć mu w oczy, podeszła bliżej, a on radosny jak więzień, który po latach odzyskiwał wolność, wziął ją w ramiona. Jakże się zdziwił czując, że obejmuje ramionami powietrze. Uśmiechnięta twarz królowej przybliżyła się do jego twarzy. Ze zdumieniem stwierdził, że Ginewra, na którą patrzył, do której mówił i którą próbował objąć, była niematerialna jak duch. Kiedy sobie to uświadomił, krzyknął przeraźliwie na całe gardło.

Odpowiedział mu szyderczy śmiech.

Odwrócił się i zadrżał na całym ciele. Ginewra zniknęła, a na ławce przy żwirowej alejce siedziała Morgana.

- Ciekawe doświadczenie, rycerzu. Prawda? Dzięki mnie przeżyłeś wielką chwilę. Sprawiałam, że mogłeś patrzeć na ukochaną, zaznać jej bliskości, mówić jej o swoich uczuciach. Wielu kochanków marzy o takim spotkaniu, a ty, niewdzięczniku, wydajesz się niezadowolony.

- Co uczyniłaś królowej?

- Ginewrze? Nic. Przebywa na razie tam, gdzie jej miejsce, w Kamelocie, u boku mojego brata. Ta, którą tu widzisz, jest tylko złudzeniem, niematerialnym sobowtórem. Lecz powiedz, Lancelocie, czy sama miłość nie jest także jedynie złudzeniem, absurdalnym wytworem chorej wyobraźni, niszczącym człowieka i sprowadzającym go na manowce?

Lancelot dobył miecza i ruszył na Morgane, a ona, nie wzruszona nagłym atakiem, rzekła spokojnie:

- Powściągnij emocje, rycerzu. Nie wszystkie problemy da się rozwiązać siłą.

Nie zważając na nic, rzucił się na nią, lecz miecz trafił w pustkę. Morgana, podobnie jak Ginewra, pozbawiona była ciała.

- Ostrzegałam cię. Odłóż broń, i tak mnie nie dosięgnie. Zresztą, nie zostanę długo, ten ogród ze swoimi kolorami i zapachami napawa mnie wstrętem.

Lancelot posłusznie wsunął miecz do pochwy. Opuściły go wszystkie siły, stał się bezwolny i obojętny.

- Jesteś zbyt popędliwy, młodzieńcze - stwierdziła Morgana. - Powinieneś się uspokoić. Pobyt w tym miejscu dobrze ci zrobi. Długi, bardzo długi pobyt. Ten ogród stanie się odtąd twoim więzieniem. Będziesz mógł w nim do woli pielęgnować swoją beznadziejną miłość.

Lancelot mimo woli spojrział w głąb ogrodu, gdzie fałszywa Ginewra zrywała żonkile.

Morgana popatrzyła w tę samą stronę i zadowolona z siebie powiedziała:

- Ona też tu będzie. Powinieneś być mi wdzięczny. Po zostanie w tym ogrodzie dopóty, dopóki ty będziesz w nim przebywał. Nie opuści cię więcej. Daruję ci ją. Prawda, jaka jestem wspaniałomyślna? Jest, owszem, pewna niedogodność: nie będziesz mógł jej dotykać, a jeżeli się do niej odezwiesz, nie odpowie ci. Cóż to jednak ma za znaczenie, skoro prawdziwa Ginewra, jak mówią słabi poeci, mieszka w twoim sercu.

Lancelot obrzucił Morganę złym spojrzeniem i syknął groźnie:

- Dopadnę cię kiedyś i zabiję!

- Łudź się, niepoprawny marzycielu! A na razie życzę ci miłego pobytu w Dolinie bez Powrotu - rzekła i rozplynęła się w powietrzu.

Lancelot udał się w stronę białego muru w poszukiwaniu furtki, przez którą wszedł do ogrodu. Nie został po niej najmniejszy ślad. Sam mur też był inny, trzy razy wyższy i o wiele potężniejszy. Zrezygnowany poszedł w drugą stronę. Za dębina odkrył piękny sad, a za nim mur podobnej wysokości. Brzegi doliny porastały świerki tak gęste i zwarte, że nawet małe dziecko nie przecisnęłoby się między nimi. Lancelot zdał sobie sprawę, że nie będzie miał możliwości ucieczki.

Przez pierwsze dni starannie unikał spotkania z „Ginewrą”. Zauważył, że od świtu do zmierzchu powtarza mechanicznie te same gesty: zrywa te same kwiaty, siada w tym samym miejscu na marmurowej krawędzi fontanny, dokładnie w tym samym momencie uśmiecha się i dotyka dłonią włosów. Starał się przebywać jak najdalej od niej. Często chronił się w sadzie, pod drzewami, których owoce dostarczały mu pożywienia. Falszywa królowa zapuszczała się tam tylko jeden raz dziennie. Zrywała zawsze to samo czerwone jabłko, odgryzała jeden kęs i zostawiała je na ławce.

Po pewnym czasie niema rezygnacja ustąpiła miejsca wściekłości. Lancelot zlorzeczył Morganie i rzucał pod jej adresem najbardziej niewybredne obelgi. Wzywał ją, by przybyła osobiście lub przysłała kogoś ze swoich rycerzy. Jednak Morgana pozostawała obojętna na jego krzyki.

Zmęczony i zniechęcony wycofał się w najodleglejszy zakątek sadu i leżał tam dłuższy czas w bezruchu, bez jedzenia i bez picia, wierząc, że w końcu śmierć przyniesie mu wybawienie. Widocznie jednak prawa natury nie działały w zaklętym ogrodzie. Nie wychudł ani nie osłabł, jakby głodówka nie wywarła żadnego wpływu na stan jego zdrowia. Był skazany na życie, przynajmniej dopóty, dopóki taka będzie wola Morgany.

Którejś nocy przyszedł mu do głowy nowy pomysł.

- Zaczekaj, pani. Pomogę ci zrywać kwiaty - zaproponował. Pochylił się nad rabatą i unikając dłoni Ginewry, odciął łodygę w tej samej chwili, co ona.

- Błękit irysa podkreśli żółć zonkili, tak jak złote włosy podkreślają barwę twoich oczu.

Dołożyła kwiat do bukietu, uśmiechnęła się, jakby chciała podziękować za komplement, i poszła dalej. Lancelot z rękami skrzyżowanymi na plecach szedł tuż za nią. Zatrzymywał się, kiedy stawała, siadał na ławce, kiedy odpoczywała. Opowiadał jej o swoim dzieciństwie w zamku Wiwiany, o przygodach, jakie spotkały go w drodze do Gorre, o zielonych łąkach Irlandii i górach Szkocji. Od czasu do czasu pozwalał sobie na żarty i z radością patrzył, że reaguje na nie wesołym uśmiechem. Innym razem siedział obok niej w milczeniu, jak ktoś, kto wie, że bliska osoba rozumie go doskonale nawet bez słów. O zachodzie słońca życzył jej dobrej nocy i oddalał się do sadu. Tam, pod osłoną nocy, przygotowywał drobiazgowy plan na następny dzień.



Odkąd przestał być biernym uczestnikiem zdarzeń, poczuł się znacznie lepiej. Czynna postawa okazała się najskuteczniejszą metodą walki z cierpieniem, jakie zadała mu Morgana.

Z biegiem czasu poznał na pamięć każdy ruch, każdy gest, każde skinienie „Ginewry” i sam starał się organizować spacerów tak, jakby miał wpływ na ich przebieg. Dopasowywał idealnie swoje ruchy do jej ruchów, swoje gesty do jej gestów. Wiedział dokładnie, nad którym kwiatem się pochylać, by właśnie ten wybrała i włożyła do bukietu. Wiedział, kiedy zażartować, by wywołać jej wesołość, a kiedy powiedzieć coś miłego, by nagrodziła go uśmiechem. Siadał na ławce, a ona tuż potem siadała przy nim, jakby odpowiadała na jego zaproszenie. Gdyby ktoś obcy wszedł do ogrodu, nie ośmieliłby się im przeszkodzić, nie chcąc burzyć doskonałej harmonii panującej w tym związku.

Mijały lata. Lancelot stracił swój młodzieńczy wygląd i zmienił się w dorosłego mężczyznę. Jego rysy wyostriły się i wyszlachetniały, a przystojna sylwetka nabrała większej powagi.

Zdarzało się, że nie mógł opanować żalu i całą noc płakał. Ile jeszcze lat będzie musiał spędzić w niewoli? Po takiej nocy nie szedł na spotkanie z Ginewrą. Spędzał samotnie dzień i stopniowo odzyskiwał nadzieję. Może w końcu przyjdzie dzień, kiedy odzyska wolność?

**KONIEC**

# Spis treści

Rozdział I - DZIECIŃSTWO .....	7
1. Porwanie.....	7
2. Jezioro.....	18
Rozdział II - BEZIMIENNY RYCERZ .....	36
1. Podróż .....	36
2. Prezentacja .....	41
3. Miecz .....	50
4. Wyzwanie .....	54
5. Karzeł z wózkiem.....	61
6. Zdradzieckie Łoże .....	71
Rozdział III - KRÓL RYBAK.....	81
1.Bród.....	81
2. Pierścień .....	86
3. Przyszły Cmentarz.....	94
4. Imię .....	110
5. Kaleki król .....	122
6. Podstępny toast .....	133
Rozdział IV - WYSPA GORRE .....	142
1. Most Miecza .....	142
2. Obraz kochanków .....	160
3. Odrącenie .....	179
Rozdział V - DOLINA BEZ POWROTU .....	189
1. Prawda i legenda .....	189
2. Powietrzne Więzienie .....	203
3. Dolina bez Powrotu .....	218

Christian de Montella

*Krew i śnieg*

Nad państwem Artura po długim okresie pomyślności i dobrobytu gromadzą się ciemne chmury. Wszystko wskazuje, że nadchodzi ciężka zima. Percewal, młody Walijczyk, wychowany z dala od świata w ostępach Zagubionego Lasu, przypadkowo spotyka rycerzy Okrągłego Stołu i dołącza do ich grona. Dokonuje bohaterskich czynów. Walecznością i odwagą równy jest Lancelotowi, choć brak mu obycia i dwornych manier. Czy ocali świat arturiańskich ideałów przed niebezpieczeństwem grożącym mu ze strony czarownicy Morgany, jej syna Mordreta i sprzymierzonych z nimi ciemnych mocy? W królestwie Logru zapowiada się bezlitosna walka na śmierć i życie. Na białym śniegu widać już wyraźnie czerwone plamy krwi.

Walczcie u boku rycerzy króla Artura o zwycięstwo Światła nad Ciemnością, Dobra nad Złem!